

# Piękna, straszna Amazonia

Fiedler Arkady



calibre 0.9.27

## **PIĘKNA, STRASZNA AMAZONIA**

### 1. Brazylijskie cło

Brazylia dała się kochać — jak mawiali Polacy o Warszawie, ale nie wszyscy

Brazylijczycy tego pragnęli. Wielu tłumilo to kochanie. Już w ambasadach

brazylijskich sekretarze starali się studzić sentymenty podróżnych do uroczego kraju, zwłaszcza obrzydzać zapędy tym od pióra, którzy chcieliby zbyt wścibiać nosy w sprawy indiańskie. A potem, po niewczasie, powstawały żale do różnych Peter

Flemingów, Frank Arnauów i podobnych numerków, wsadzających gorzkie pigułki do

swych uszczypliwych „Przygód brazylijskich” i innych niemiłych dla Brazylii języków książek.

U mnie tego nie było. Nie zraził mnie sekretarz ambasady, mimo że traktował mnie per nogam; nie zniechęcił chargé d'affaires, nikt nie zdołał odebrać mi ochoty, więc pewnego dnia zimowego wyruszyłem do Brazylii na m/s „Norwidzie”. W duszy

miałem słońce, chociaż chmury wisiały nad Bałtykiem. Słońce miałem, bo czekała

mnie Amazonka, puszcza, Indianie, motyle. I Rio.

Opuszczając Bałtyk, przysięgałem sobie na wszystkie brody proroków, że najmniej będą mnie obchodzili sami Brazylijczycy. Płoszony ich przeczeniem, a nie chcąc rozplýwać się w wymuszonych panegirykach, postanowiłem omijać ich z daleka, nie poruszać ich tematu, jak najmniej o nich wspominać. Ostatecznie, wobec potęgi

Amazonki i ogromu puszczy jakże drobne wydawały się ich usterki, tak uporczywie im wytykane przez dokuczliwych cudzoziemców! Że Brazylijczycy często spychali

załatwianie pilnych spraw na jutro, na osławione „amanha”?

5 dotrzymywali słowa? Że portier hotelu przyrzekał, a nie ł gościa o czwartej rano? Że elegancki młodzieniec, siedzi

wygodnie w autobusie, nie ustępował miejsca staruszce? Morderca, jeśli bogaty, mógł

łatwo wykupić się od winy y? Ależ to były błańostki, głupstwa, specialites du pays, m należała się taryfa ulgowa.

połowy Atlantyku wszystko szło gładko. Duch dopisywał,

sprzyjało, morze było spokojne, i sumienie także. Ale gdy płynęliśmy ku Brazylii, gdzieś koło

równika, zaczęło się. niepokój, zrazu lekki i strawny, z dnia na dzień uporczywiej kał się do serca. Budziło się lichy, zakradał się głupi strach. wstyd, że u takiego bohatera amazońskiego — strach. Jak sięgałem pamięcią, brazylijscy celnicy zawsze życzliwie sili się do mnie i moich tobołów, nie miałem z nimi szczególnych zatargów. Ale ostatnimi laty ponoć szpetnie zaostrzyli

Wszystkie relacje podróżnicze psioczyły kaducznie na cel-w w Rio de Janeiro, a chyba najwięcej powodu do lamentu w tej książce miał angielski etnograf Maybury-Davis, który wjeździe do Rio cło na długie tygodnie zaszpurowało beczki bagaż z obozowym sprzętem, pomimo że przybywał na ogłoszenie brazylijskiego ministerstwa spraw

zagranicznych. cóż teraz do Brazylii przywoziłem razem z moim towarzyszem

przyrodnikiem Zygmuntem Pniewskim, istne szaleństwo, precyzyjne aparaty

fotograficzne i jedną kamerę filmową tudzież sto kilkadziesiąt do nich filmów; idealny żer dla złej sprawiedliwości celników. Więc w miarę coraz gorętszych wiatrów,

władających piękną Brazylię, chwyciły człowieka niejasne czucia, a w nieustraszonym dotychczas sercu wzrastał paniczny niepokój.

' Recife, gdzie na dwa dni przystanęliśmy, zamigotał prózek nadziei: Brazylia okazała się wciąż dawną, nieodrodną Brazylią. Oto pewien polityczny luminarz, zazdrosny o swe wpływy, w przeddzień naszego przybycia do Recife wzorowo strzelił innego tuza, posła Robsona Mendesa z Alagoas, a po

wyczynie zbyt nie ukrywał. Nie, nie ukrywał się. O zabójstwie donosiła cała lokalna prasa dość nonszalancko,

w tonie wyraźnej pobłażliwości i niemal podziwu dla zabójcy. Więc otucha wstąpiła także i w serce podróżnika obarczonego pięcioma aparatami, że celnicy w Rio de

Janeiro tak samo nie poskapią mu pobłażliwości.

Figa z makiem, nie byli pobłażliwi. Jeszcze bagażu nie zdążyliśmy otworzyć, a w celników piorun strzelił, zawrzała im krew. Mieliśmy razem siedem walizek, (oprócz Pniewskiego jechała także moja żona), więc oni z urzędowym gniewem parsknęli na nas, że jedna walizka za wiele.

— Tylko sześć walizek zgłoszono w Gdyni, czy to prawda? — oburzał się najzjadliwszy z celników i patrzył na nas złym okiem inkwizytora. — Sześć walizek. Czy to prawda?

— Prawda! — przyznawaliśmy. — Ale...

Zjadliwy celnik miał twarz Lucyfera, a usta sardoniczne:

— Więc skąd się bierze ta siódma walizka? Dlaczego siedem, jeśli ma być ich tylko sześć?

— Bo... bo...

Rzecz polegała na tym, że w istocie w Gdyni zameldowaliśmy tylko sześć sztuk

bagażu, bo jedną walizkę włożyliśmy w drugą, ażeby później mieć rezerwowe miejsce dla zdobytych w puszczy zbiorów. Gdy jednak teraz nastały gorące dni, zdjęliśmy nasze ciepłe ubrania zimowe i wypchaliśmy nimi siódmą walizkę...

Sekretarz polskiej ambasady, przybyły po nas do portu, przystąpił do celnika; starał

się nas wytłumaczyć: w Gdyni był mróz, nosili zimową odzież, grube płaszcze. Teraz wzięli na siebie lekkie ubrania, a zimowe poszły do dodatkowej walizy, właśnie tej siódmej...

— Ale dlaczego fałszywie meldowano w Gdyni liczbę sześciu walizek? — coraz

groźniej obstawał przy swoim zjadliwiec. — Skąd ta podejrzana rozbieżność?

Antonio, brat mej żony, wieloletni mieszkaniec Brazylii, stateczny mąż, budzący na ogół zaufanie, wkroczył i z uprzejmą cierpliwością wyłuszczał, że nic w tym

podejznanego: w Gdyni był wielki mróz, nosili grubą odzież. Teraz ciepło, odłożyli grubą odzież...

M •

izyfy Antonio także daremnie się trudził, grochem o ścianę rzucał. Urzędnik cały jeżył

się we wrogości i biesił; nie rozumiał i nie chciał rozumieć. Fatalna różnica sześciu siedmiu walk urastała do demonicznej kabały, niewymiernej winy. Zawzięta twarz

celnika wróżyła katastrofę. Przypomnił mi się angielski etnograf (którego nazwisko uciekło mi w tej chwili z pamięci), zatrzymany w Rio przez wiele tygodni, i ogarnęło mnie kłopotliwe zdumienie, że podobna chryja i mnie nie omi-a. Dopiero po chwili przypomniałem sobie jego nazwisko: ybury-Daris.

\ tymczasem cerber z kostyczną satysfakcją wmawiał w nas ustępstwo jakiejś

nikczemnej przemytniczej machlojki, nie ery wszy jeszcze naszych aparatów i filmów.

Do portu przybyła, by nas powitać, także Paola, młodsza siostra mej żony, również od lat mieszkająca z mężem w Rio. dna Włoszka o wymownych oczach i jedwabnym

głosie, szlachetnie opanowanych ruchach. Gdy dowiedziała się o naszych tarapatach, nie zdziwiła się. Kazała nam odstąpić nieco walizek i przemówiła cichym głosem do celnika. Inaczej niż dotychczas: przemówiła łagodnie, miękko, z proszącym

uśmiechem Nikt z nas dotąd w sprawie walizek nie uśmiechał się do zgryźliwego

urzędasa. Przyglądałem się z daleka jego rozmowie i z osłupieniem stwierdziłem, jak szybko on tajał. Jucha > patrzył już złym okiem na miłą kobietę, już twarz mu się chyłkiem rozjaśniła, Lucyfer się

rozanielał, uśmiech sardoniczny nabierał lubieżnej gładkości. Wydało mi się, że oczy głuszca chodziły mgiełką nagłej pożądlivości.

[ już wiedziałem, że oto naprawdę przybyliśmy do Brazylii. Paola zawołała na nas, byśmy otworzyli walizki, ale on, szar-nt, uprzejmię się sprzeciwił: - Nie, nie potrzeba otwierać! Dziękuję! — I ochoczo nakreślił kredą magiczne znaki na walizkach i

gościnnie puścił nas w kraj.

Gdy w kwadrans później Paola wiozła nas wiecznie urzeka-cą Avenidą Rio Branco ku swemu domowi, zapytałem ją, co taściwie mówiła do celnika, że tak magicznie podziałało.

— Mówiłam: w Gdyni był mróz, nosiliście tam zimowe ubrania, teraz wzięliście na siebie lekkie...

— I nic więcej?

— Nie, nic więcej...

Seryjność podobnych wypadków: przed trzema laty, gdy z Rio de Janeiro

wylatywałem do Gujany Brytyjskiej, na lotnisku rozegrała się prawie taka sama

historia, z tym tylko, że z odmienną płcią. Sekutnica urzędniczka, młoda Brazylijka, zawzięła się, by robić trudności z bagażem, ale roztopiła się jak lód w słońcu, gdy na scenę wkroczył i ślicznotę poprosił młody, przystojny Włoch, ówże Antonio, budzący zaufanie. Widocznie należało to do klimatu Brazylii.

## 2. Kult kontrastów

Brazylia to szczodry kraj zamieszkały przez cudaczných ludzi. Ludzi, na których Amerykanin Północy spoglądał z pogardą, działacz społeczny — z rozpaczą, kobieciarz z rozkoszą, poeta z zachwytem, architekt z niedowierzaniem, literat z kłopotliwym rozczuleniem.

Jakże tu nie rozczulać się na myśl o tym, co podawał O Cruzeiro, tygodnik wytwornie ilustrowany i chyba w tej kategorii jeden z najlepszych na świecie. O Cruzeiro wyrażał

myśli i marzenia większości Brazylijczyków o pewnym poziomie zarobkowym, a czynił to w sposób niezrównany, niemal doskonały.

Więc gdy przybysz dostawał się na ląd w Rio de Janeiro, pędził do kiosku, kupował O

Cruzeiro i czytał o Brazylii i Brazylijczykach. „Rio umiera" alarmował we wstępnym artykule były prefekt miasta z racji ostatniej powodzi, jaka spadła na metropolię: klęska ogromna, wiele ruder zmytych, rzeki na ulicach, ale że Rio aż umiera?

A już o stronę dalej wpadamy w ekstrawagancki romans w Rzymie dwojga młodych

dzieci sławnych rodziców. Widzimy ich, bosko rozigranych i czule w siebie

wpatrzonych, to na lambrecie na ulicach Rzymu, to w słynnej kawiarni Greco. Ona, piętnastoletnia Romina, córka Tyrone Powera, on, Stan Klossowski, ponoć syn

malarza-surrealisty Balthusa, beatnik włosiasty, a przy tym spadkobierca 12

miliardów lirów. To ważne dla czytelników O Cruzeiro: 12 miliardów. Następny

artykuł zawiera już wyższy stopień pieprzności: „O amor brasileiro de Ann-Margret”.

Aktoreczka z Hollywoodu, owa Ann-Margret, blond wyderka naga, ale w futrze,

pozazdrościła Brigitte Bardotce i przyjechała do Brazylii, by równie gorąco jak Francuzka wykochać się z brazylijskim przystojniakiem z Rio.

A oto gwałtowny skok: schody kościelne, kościół, ołtarz i młoda, śliczna pokutnica.

„Śluby Izabelli Krystyny”, też aktoreczki, lecz szlachetnie schludnej, pracującej w brazylijskiej telewizji. Obcięła się z jakichś egzaminów w szkole, więc przyjechała do Rio, by przebłagać Nieba i Los i odbyć kalwarię ze świecą w ręce. Wzruszająco na klęczkach pełźnie stu kamiennymi schodami w górę do kościoła na skałce, a potem modli się przy ołtarzu, a potem uszczęśliwiona opuszcza kościół. I przypadkiem, jak na zawołanie, przy tym wszystkim znajduje się fotograf, cudownym przeznaczeniem zesłany, więc z furją i entuzjazmem fotografuje wszystkie te sceny i od jego zdjęć wieje nabożnym nastrojem na stronicach O Cruzeiro.

Ale już przewiało: Joi Lansing, „zmysłowa sekretarka Dean Martina, przyszła Jayne Mansfield”, prezentuje się czytelnikowi w całej kobiecej krasie od stóp do głowy w dwóch kreacjach, przy zdobywczym prowokacyjnym uśmiechu na niewinnej

twarzyczce: raz w skróconym stroju bikini, ledwo ogarniającym smaczne okrągłości, drugi raz w żółtej sukience, z której równie walecznie wrywały się ku wolności biustowe rebeliantki. Mocny, playboyowy akcent, przysmak dla redakcji naszego

czasopisma literackiego 'Współczesność’.

Ale zaraz potem — dla kontrastu — czcigodna uroczystość rodzinna w bogatym domu polityka z racji przystępowania córeczki do komunii świętej: dygnitarz, zasłużony dla społeczeństwa i dla Brazylii, zbiera oto godziwe swej różnorodnej działalności owoce.

Jest, rzecz prosta, i społeczna niwa na łamach O Cruzeiro. Z tej beczki artykuł z łezką nad niedolą

garimpeiros, poszukiwaczy złota, w dystrykcie Chapada do Norte: na

blisko dwieście tysięcy mieszkańców istnieje tam tylko jeden lekarz. Na pomoc,

Brazylio! SOS! — woła szlachetnie tygodnik, chociaż wszyscy wiedzą, że nikt z pomocą nie przybiegnie.

Dobrze było westchnąć i zaszlochać nad losem brazylijskiej biedoty, ale nie trzeba za głęboko się martwić i nie za długo. Przecież istnieją kraje bardziej nieszczęśliwe niż północno--wschodnia połać Brazylii, na przykład Indie. Relacja o Indiach w O

Cruzeiro nie tylko niesie ulgę dla własnego sumienia, ale wyzwala w czytelniku na domiar szlachetne współczucie chrześcijańskie, bo artykuł: „Indie między głodem a świętą krową” to publicystyczny majstersztyk, także co do ilustracji; uderza we właściwy ton, operuje śmiałą przenośnią, wzrusza.

Jeszcze kilka ogłoszeń w formie atrakcyjnych artykułów, siejących optymizm już bez półnagich babek i bez kościołów, a więc pouczających, jak być szczęśliwym w

prefabrykowanym domku sielankowym, jak zrobić z siebie Tarzana o mięśniach Jacka Dilingera, jak przyswoić sobie chwyt „karate”, zadające śmierć z pustych, bezbronych rąk maleńkich — a to wszystko spięte mocną, nieodpartą klamrą ufności w przyszłość, wyrażonej przez jednego z terażniejszych ministrów. Onże mąż, jeszcze młody, już korpulentny, dziarsko uśmiecha się w przyszłość na całej stronie O

Cruzeiro, a w jędrnym artykule kompetentnie głosi, że jeszcze nie jest byczo, ale byczo będzie.

Różne nasze Panoramy, Przekroje i Ojczyzny mogłyby wiele nauczyć się od O

Cruzeiro: ognia, pieprzyku, dosadnej pointy. Przeciętny czytelnik zamykał brazylijski tygodnik z uczuciem, że minister wyrażał się o Brazylii zbyt skromnie i zbyt ostrożnie, bo wszakże już teraz było byczo. Ze strony tygodnika lał się barwny potok

świadomości, że już nie ma trosk i że życie jest piękne, a dla każdego krewkiego Brazylijczyka tym piękniejsze, że tak urzekająco najeżone kontrastami: obok

czcigodnej uroczystości rodzinnej polityka — rzymskie puszczenie się uroczej

piętnastolatki z milionerem beatnikiem; obok pobożnej Izabelli Krystyny ocierające się o nią czarowne wampy z hollywoodzkiej Północy. Nie, pomimo klęski powodzi Rio nie umierało, a Chrystus na Cor-covado rozciągał nad Cudownym Miastem — Cidade

Maravilhosa — nieustannie swe ręce.

O Cruzeiro uderzał w czuły punkt Brazylijczyków: poruszał ich kult zuchwałych

paradoksów i przywoływał ich namiętność do zaskakujących kontrastów.

O Cruzeiro był wspaniały: przedstawiał nam tak urocze życie w Brazylii, tak upajał i czarował, że już byłoby nietaktem, ba, bluźnierstwem przypominać sobie, że owi

biedacy w Chapada do Norte nie tylko nie mieli lekarzy, ale i chleba, i na przednówku corocznie tłumnie umierali z głodu.



### 3. Chrystus na Corcovado

W Rio, tak urzekającym wszędzie, gdzie tylko spojrzeć, mieszkaliśmy w dzielnicy wyjątkowo ponętnej: Jardim Botani-co. Było to ludne, a wąskie, choć długie gardło, ściśnięte między jeziorem a górą Corcovado. Jezioro nazywało się Lagoa Rodrigo de Freitas. Patrząc z naszego tarasu na trzecim piętrze w stronę Atlantyku poprzez lagoę, widziało się bliżej smutne favele na stoku malowniczej góry dos Cabritos, a dalej, już po drugiej stronie jeziora, wytworną dzielnicę Ipanema. Lubiłem tę Ipanemę: tu ongiś przyjaźniłem się z Edmundostwem Osmańczykami, a dziś mieszkali w tej dzielnicy Eugeniusz i Danuta Haciscy, on młody inżynier stoczni, ona młoda lekarka, a

obydwoje ujmujący kulturą i sercem.

Patrząc w przeciwną stronę, ku góróm, należało mocno zadzierać głowę, by sięgnąć wzrokiem na wspaniały szczyt Corcovado i zobaczyć imponujący posąg Chrystusa.

Mieszkaliśmy tuż u stóp tej góry i gdy czyste niebo pozwalało, widzieliśmy

14

posąg o każdej porze dnia i nocy, bo w ciemnościach iluminowano go silnymi

jupiterami. Był na wysokości około siedmuset metrów, ale, miłe optyczne złudzenie, zawsze wydawał się na potężniejszej górze, a on sam jeszcze większy, niż był w istocie.

Brazylijczycy, rywalizując z nowojorską Statuą Wolności, wzniesli w Rio de Janeiro ów posąg Chrystusa jako symbol błogosławieństwa i dobroci, chociaż tego rodzaju symbole — jak wiadomo — w ostatnich czasach piekielnie zamorusały swe dobre imię.

Więc jakże było z błogosławieństwem i dobrocią na górze Corcovado? Posąg kierował

swe szlachetne oblicze ku centrum Rio. Złośliwi zarzucali mu, że postać Chrystusa wzniesionymi rękoma zbyt gorliwie błogosławiła politycznym mataczom, w tej części miasta grasującym, ostatnia zaś powódź górze bynajmniej nie przysporzyła chwały.

To właśnie z masywu Corcovado, spod stóp posągu, głównie spływał burzący żywioł

na miasto, on też zrywał chałupy przeważnie biednych ludzi i przeważnie oni ginęli w wyniku katastrofy.

Gdy przybyliśmy do Rio, bieda właśnie minęła. Pora deszczowa miała się ku końcowi, słońce mocno prażyło na przemian z coraz mniejszymi ulewami. Ale pewnego dnia i nas złapało.

Autobusem rano, przy dobrej pogodzie, prysnęliśmy, Zygmunt Pniewski i ja, na parę godzin do śródmieścia, oddalonego od naszego domu o dobre dziesięć kilometrów. W

międzyczasie lunęła rześista, choć krótkotrwała nawałnica. Gdy wracaliśmy, już nie padało, natomiast na naszej Rua Jardim Botânico, dotychczas suchej ulicy, powitała nas nagła powódź, podziwu godna.

Z autobusu musieliśmy wyskakiwać na przystanku do rozhukanego potoku, który

walił ze stoków Corcovado. Wzburzone nurty były mętne, więc brodzący człowiek nie wiedział, jaki będzie następny jego krok: po łydki czy po szyję w wodzie. Prąd wyrwał

w pobliżu płytę kamienną z kanalizacji i tworzył w tym miejscu pokaźny wir. Gdyby wpaść tam do wody, to pewnie amen: wir nieuchronnie wciągnąłby człowieka w

podziemny kanał. Więc człowiek z Polski, jeden i drugi, jak zaczarowany

15

wlepiając wzrok w wirowatą kipieli, zataczał i szacunkiem wielki, czujny krąg dokoła wodnej pułapki.

Później, już przy kieliszku Bacardi, zastanawialiśmy się, czy to był dla nas dzień pechowy czy nie, i czy mieć żal do cieknącej góry. Co prawda szpetnie zbrukaliśmy sobie portki, ale poza tym, ocierając się o odrobinę grozy, doznawaliśmy ciekawych dreszczyków. Więc w miarę działania bursztynowego nektaru spoglądaliśmy z coraz mniejszym wyrzutem na szczyt Corco-vado, a dzieło Pawła Landowskiego,

Brazylijczyka polskiego pochodzenia, ocenialiśmy coraz serdeczniej z rosnącym uznaniem. Tak jak na to zasługiwało.

#### 4. Parque Lage

Tuż w pobliżu naszego domu w Rio mieliśmy, niezależnie od powodzi, jeszcze inną niezgorszą makabrę: ową ulicę Jardim Botânico. Budziła zachwyt i równocześnie ciarki.

Musiała to być wyjątkowo ważna magistrała między śródmieściem a południowymi wylotami z Rio, bo przez calusieńki dzień panował tu niesamowity ruch samochodów.

Nie panował; srożył się.

Trasa, prościuteńka na tym odcinku przez parę kilometrów, wylęgała w furiatach za kierownicą najgorsze instynkty i kazała im rozpędzać się z piekielną szybkością na złamanie karku. Trudno było przechodzić przez ulicę: widziany z daleka wehikuł już niemal w oka mgnieniu walił na przechodnia i tylko gwałtowny podskok naprzód

zachowywał człowieka przy życiu. Sensacje były nazbyt przejmujące, a niezbyt przyjemne.

Na chodniku wzruszenia się nie kończyły. Wielotonowe ciężarówki, jakie przeważnie tu mknęły w studwudziestokilometrowym pędzie, miały człowieka, kroczącego po chodniku, co kilka sekund i co kilka sekund uderzały w jego nerwy przeraźliwym rykiem i podmuchem wichru.

16

To jakby Penderecki do obłędnej potęgi. Na żadnych ulicach świata nie czułem się tak przytłoczony dzisiejszą cywilizacją, jak tu, na Rua Jardim Botânico, gdzie brazylijskie ciężarówki-giganty zdawały się ścierać przechodnia w proch.

I chyba nigdzie nie było tyle zwariowanego kontrastu: do tej rozhukanej

nowoczesności na ulicy przylegała o miedzę, tuż, tuż o kilka kroków, domena

najdalsza od cywilizacji, bo prastara puszcza brazylijska, a była to najprawdziwsza puszcza tropikalna, równie bujna i odwieczna jak puszcza nad Amazonką. Skłębioną masą gąszcz porastał zbocza masywu Corcovado, stromymi stokami spuszczał się w

dół, ku nizinom, i tu dochodził do samej Rua Jardim Botânico: omszałe drzewa, w tym miejscu rosące od zamierzchłych czasów, dosłownie rzucały cień na oszalałe ciężarówki. Stare rzeczy i nowe uderzały o siebie w brutalnie groteskowym spięciu.

To bezpośrednie sąsiedztwo puszczy i cywilizacji musiało za-frapować przed

kilkudziesięciu laty włoskiego milionera Lagę, który zakupił od miasta pas lasu, przylegający do Rua Jardim Botânico, i w głębi, z dala od ulicznego gwaru, wystawił

sobie i swym potomkom wielkopańską rezydencję. Knieję pozostawił na swej

posiadłości prawie nietkniętą, tylko poprzecinał ją drożynami dla znamienitych gości, bywających u niego, ażeby mogli zażywać przechadzek wśród dziewiczego gąszczu.

Włoch posiadał miliony, ale mniej daru przewidywania, bo nie zabezpieczył sobie zaplecza łapówkowo-politycznego: gdy podczas drugiej wojny światowej Brazylia

wypowiedziała wojnę Włochom, nieborak drogo zapłacił za niedopatrznie. Pewien

zachłanny dygnitarz prasowy w Rio- wywłaszczył go i capnął sobie cenną rezydencję, ale nie na długo: po wojnie stracił łaski u rządu i musiał zwrócić łup, lecz już nie pierwotnemu właścicielowi. Włoch Lagę w ogóle wypadł z bieżni, wypchnięty na szary bok, natomiast do terenów parku zapalali

afektem spekulanci budowlani. Ale oni

także niczego nie dopięli, bo było łąpczywych rąk naraz zbyt wiele. Tak oto dawna posiadłość Włocha zawisła w prowizorium, a sam park stał się na razie publiczny.

Pozwalano wchodzić tu dzieciom i ich matkom, także

2 — Piękna, straszna Amazonia

17

zakochanym parom tudzież filmowcom, szukającym fragmentów autentycznej

puszczy brazylijskiej. Słowem: udostępniono park przechodniom nie budzącym

podejrzeń, a także dwom zwabionym przybyszom z Polski.

Park oczarował nas, gdyż roił się od wyśmienitych motyli. Pierwsza nasza wędrówka alejami tej dziwnej puszczy wywoływała nieklamany zachwyt, tyle widzieliśmy tu

ciekawych motyli. Gdziekolwiek spojrzeć, radował się wzrok.

A gdy zaskoczyliśmy przed sobą na dróżce kilka olbrzymich Caligo, mających na tylnej stronie skrzydeł rysunek wielkich sówich ślepi — nie wierzyliśmy własnym oczom.

Nadobne motyle opijały się na ziemi sokami sporego owocu, spadłego z drzewa, i już nie ulegało dla nas wątpliwości, że wtargnęliśmy w ustronie, przypominające sny motylarza o edenie. Panowały tu dla nas nastroje bajki.

Parku strzegła dość liczna straż, częściowo umundurowana, częściowo w cywilu, a zbrojna w tęgie rewolwery. Krążyła pilnie po alejach i wypatrywała złych czynów, a dwóch czy trzech cerberów stało niedaleko bramy wejściowej i policyjnym wzrokiem ogarniało każdego wchodzącego, z wyjątkiem chyba dzieci. Kogo oni wypatrywali?

Rabusiów? Nikt tu nic kosztownego nie przynosił. Zwyrondnialców, dopuszczających się sprośności z nieletnimi smerdami? Ej że. Może kidnaperów, uciekających z

porwanym dzieckiem w głąb puszczy na górze Corcovado? Może pilnowali moralności zakochanych par, by publicznie nie gorszyły niewinnych oczu? Ale przecież łatwo było tu zniknąć w gąszczu i całą mocą grzeszyć w ukryciu przed calusieńkim światem.

Pokpiwaliśmy sobie zdrowo, choć ukradkiem, z gorliwości strażników, dopóki nie

stwierdziliśmy, że i nas także zaliczyli do osobników podejrzanych. Okazało się, że przede wszystkim nas. Cerbery kołowały w naszym pobliżu i nie spuszczały nas z oczu.

Stała mi w pamięci czterowiekowa historia Brazylii i niewygaśły kompleks dawnego pilnowania

niewolników oraz łowienia Indian: strażnicy w Parque Lage, z

tradycyjnego nawyku, urządzali na nas łowy i nieustannie pilnowali naszych

18

kroków. Było to śmieszne, ale również intrygujące, w końcu raczej niemiłe. O co nas posądzali, do diabła?

Wyglądaliśmy na ludzi chyba normalnych, ubranych jak należy, z tym tylko, że na milę rzucało się w oczy to, iż byliśmy cudzoziemcami. Ksenofobia? Brazylijczycy przechodzili obecnie kolejną falę niechęci do gringów-jankesów, o czym wkrótce

przekonaliśmy się dobitnie w interiorze kraju, a każdy biały cudzoziemiec uchodził w tym kraju automatycznie za jankesa.

Mała przechadzka o pół kilometra od naszego domu w Rio, a ile zdumiewających

niespodzianek: prześliczny zakątek puszczy, bogactwo motyli, ucieszne łowy na

człowieka, a po wyjściu z parku na ulicę — piekło oszałamiających samochodów. Oto cierpki urok Brazylii.

## 5. Pniewski wypędzony z raj

Park Lage — powtarzam — ciągnął się u stóp Corcovado wzdłuż ulicy Jardim Botânico w nizinnym pasie puszczy, szerokim tu na niespełna ćwierć kilometra i

poszatkowanym alejami niby labiryntem. Poza tym pasem teren gwałtownie się

wznosił, tworząc strome zbocza góry Corcovado, i natychmiast przechodził w rzetelną, nietkniętą puszcę.

Tam wyżej bytowały ptaki inne niż na dole i grasowały dzikie zwierzęta leśne, może nawet drapieżniki, a wyjątkowo wiele było ponoć węży. I także inne latały motyle niż w samym parku: wśród wierzchołków pojawiały się jak błyszczące gwiazdy wielkie

niebieskie Morpha, za którymi toczyliśmy tęsknym spojrzeniem Tantalów i głodnych wilków.

Park Lage miał dwa wejścia, poza głównym także uboczne, mniej pilnowane.

Następnego dnia po odkryciu ślicznego ustronia, o ósmej rano, weszliśmy do środka parku ubocznym wejściem, nie zauważeni przez strażników. Krokiem niby

rozmarzonych spacerowiczów dążyliśmy ku miejscu wzruszeń z dnia poprzedniego i

rzeczywiście, nadzieje nie zawiodły. Ujrzelśmy Caligę; było ich pięć. Siedziały znów na ziemi alei,

od samego

19

rana pijąc sok rozdeptanego owocu. Były już wstawione. Do-skoczyliśmy, trzepnęli siatkami, każdy złapał swego olbrzyna. Reszta uciekła. Motyle, wielkie jak położone obok siebie dwie dłonie, w locie podobniejsze były do niemałych ptaków niż do

owadów.

Jeden odfrunął tylko o kilka metrów i siadł na pniu pobliskiego drzewa. Złożył

skrzydła i wytrzeszczył na nas swe niesamowite „oko sowy”, wymalowane na spodzie jego skrzydeł. Instynkt niezliczonych pokoleń jego przodków taką właśnie podsunął

gatunkowi samoobronę, mającą groźnym okiem przerazić napastników. Więc Caligo,

także i teraz ufny w swą magiczną broń, przycupnął na pobliskim pniu i straszył mnie sowim okiem. Swą omyłkę przypłacił życiem; talizman tym razem zawiódł.

Tak zaczęły się pomyślnie łowy. Były tu Ageronie trzaskające w locie, i wytworne Heliconie o wąskich a długich skrzydłach, i pokaźne Uranie, które się przyoblekły w granat i zieleń, a sunęły jak księżęta tych chaszczy.

Czasem pojawiał się wytworny Morpho, wysoko wśród wierzchołków, i zmuszał do

patrzenia w górę, a wtedy zawsze uderzała nas nieprawdopodobnie piękna sceneria.

Puszcza, bynajmniej nie jednolita, lecz postrzępiona mnóstwem przepaści, zwłaszcza tam, gdzie potoki złościły głębokie wyrwy na stokach — puszcza tworzyła przejmujący amfiteatr, wznoszący się do samego szczytu Corcovado.

Co za fantastyczny widok! Poszczególne fragmenty lasu wyglądały jak kulisy

paradoksalnego teatru, a wpatrując się w nie można było doznać oszołomienia i łatwo stracić świadomość istnienia i czasu. Człowiek poddawał się naiwnym wzruszeniom: w jakich czarach byliśmy, że oto urok tej przyrody pogrążał nas we śnie z otwartymi oczami?

Feerię krajobrazu potęgowały jeszcze motyle Morpho. Należały do okazałego gatunku menelaus. Gdy pojawiały się wśród wierzchołków drzew i zaraz znikwały, przychodziły człowiekowi do głowy kapryśne skojarzenia.

Bo oto staliśmy o jakie trzysta metrów od ulicy i od niej

20

przenikał do nas poprzez gąszcz Parku Lage ów monstrualny turkot pędzących

ciężarówek. Był to ryk wściekłych robotów cywilizacji, oszalałych zwierząt z żelaza, i w pewnej chwili wydało nam się, że owe bestie rzucą się ze złością na drzewa stojące dokoła nas. Że lada chwila, a natrą z pasją na zielony gąszcz, by zniszczyć

majestatyczny spokój puszczy, ich odwiecznego wroga. Był to jak gdyby fragment walki na śmierć i życie dwóch nieubłaganych potęg tego kraju, walki cywilizacji i puszczy.

Uświadomienie sobie tych zmagania było chyba najgłębszym konkretnym wrażeniem, jakie przeżywaliśmy w tych dniach. Tak głębokim, że nawet niezwykle perypetie

Zygmunta Pniewskiego schodziły właściwie na drugi plan.

W tym czasie on sam chodził na motyle łowy, gdyż ja jeździłem do śródmieścia i w Bibliotece Narodowej przeglądałem książki o Amazonii. Strażnicy gonili go, jak gdyby był zwierzem, wypędzali go z Parku na inne zbocza góry Corcovado, a tu, niestety, towarzysz dostał się w zasięg faweli. Żył tam tysiące nędzarzy w ostatniej biedzie, nieszczęsne męty milionowego miasta, i tam na ubocznej ścieżce dopadł Pniewskiego rzezimieszek. Łapserdak, chcąc go obrabować, gwałtownie złapał jego torbę

naramienną, rozwarł ją, dobył z niej noża i grożąc napadniętemu wzniesioną bronią, wskazał na zegarek ręczny, że go chce mieć.

Na szczęście Pniewskiemu nie zamarł głos w gardle. Krzyknął z całych sił „policja!”, co łobuza, niewątpliwie fuszera wśród nożowników, tak poraziło, że szybko złożywszy nóż, rzucił go pod nogi swej niedoszłej ofiary i dał drapak.

Oto cierpki, powtarzam, smak Brazylii, ale i to drastyczne zajście nie osłabiło naszego przejęcia się zjawiskiem, może najdonioślejszym w tym kraju, zjawiskiem nieustannej walki między cywilizacją a puszczą. Gdziekolwiek podążymy na tym subkontynencie, nawet w najdalszych zakamarkach nad górną Madeirą, wszędzie towarzyszyć nam

będzie widmo tej upiornej wojny między człowiekiem a amazońską przyrodą, upiornej, bo wojny bynajmniej nie zwycięskiej dla człowieka.

21

ETAP DBUGI-PORTO VELHO

ZBIEGOWISKO DON KISZOTOW I AL CAPONOW

6. Szlakiem bandeirantów

Złoto i kobiety były najpotężniejszą pasją Brazylijczyków od pierwszych chwil

istnienia Brazylii i, na dobrą sprawę, pozostały ich nieodrodną pasją do dnia

dzisiejszego. Nie kołodziej, nie bliźnięta karmione przez wilczycę, nie ojcowie-pielgrzymi stwarzali początki Brazylii, lecz krwisty junak, tęgi gach i niezmordowany producent dzieci w jednej osobie — Diego Alva-rez.

Ów zuchwalec wszedł do brazylijskich czytanek i tym samym stał się duchową

własnością narodu, wzorem dla pokoleń. Tuż po odkryciu Brazylii młody Diego

Alvarez znalazł się w tym kraju w okolicy dzisiejszego Salvadoru (Bahii) i tam osiadł.

Na przestrzeni tysięcy mil wybrzeży był on przez długie lata jedynym Europejczykiem, ale miał niebывałą werwę, a poza tym rusznicę i amunicji w bród.

Dzięki tym pomocom wziął za łeb okolicznych Indian ze szczepu Tupinamba.

Nieposłusznych wojaków karał piorunem z rusznicy, natomiast oddane mu Indianki, które dobierał sobie obficie, wynagradzał zapładnianiem ich łona. Gdy niespełna trzydzieści lat później przybył w te strony pierwszy, portugalski gubernator Brazylii, Martin Alfonso de Souza, zdumiał się, gdy zastał tu rodaka na czele tak licznej rodziny Metysów, synów i wnuków. Dziarski Diego Alvarez ze swoimi ludźmi oddał

gubernatorowi bezcenne usługi przy budowie stolicy kolonii, Bahii, i przy opanowaniu kraju.

W sto lat później Portugalczycy już mocno siedzieli na całym wybrzeżu i wytępilli w tym rejonie Indian lub wchłonęli ich

25

metodą Alvareza. Niespokojni i prężni przybysze nieustannie parli coraz dalej w głąb kraju. Uprawiali trzcinę cukrową, następnie bawełnę, ale bardziej ich urzekało złoto, znalezione w Minas Gerais u schyłku XVII wieku, a jeszcze więcej podniecały

diamenty, nieco później odkryte w Goias.

Dwoma głównymi szlakami, północnym i południowym, wdzierali się konkwistadorzy

na zachód, ale północny szlak, w górę Amazonki, srodze ich zawiódł: nie było tam złota ani diamentów i Portugalczycy tylko zadowolić się musieli łapaniem Indian.

Więc łapali ich zamasyście, z zawziętością, całymi wsiami. Według opisów

ośnionych podróżników XVI i XVII wieku żyło wtedy nad brzegami Amazonki do

dwóch milionów tubylców; po brutalnych wyprawach zaborców nie została się nad



wielką rzeką w sto lat później i setna część dawnej ludności.

Lepsze widoki otwierały się zdobywcom na południowym szlaku. Tu, z płaskowyżu

Sao Paulo, zapuszczali się śmiałkowie ku południowym kresom Mato Grosso i dalej ku granicom Paragwaju i Boliwii. W tych stronach było złoto, były diamenty i było huk indiańskiej zwierzyny. A ciągnęli na zachodnie wertepy zabijacy nie lada,

awanturnicy twardzi i nieustraszeni, chciwi łupu i chwały — słynni pauliści. Tworzyli zaborcze chorągwie, stąd ich nazwa bandeirantes, i wdzierali się w odległe ustronia, zalewając sadła hiszpańskim sąsiadom. Mieli w swych szeregach rotę siepaczy,

szczególne srogich dla Indian. Byli to spłodzeni przez nich Metysi, tak zwani

Mamelucy, plon indiańskich branek i portugalskich najeźdźców; zabijaki, wychowani przez ojców w pogardzie dla swych wolnych pobratymców w puszczy, oddawali

Portugalczykom bezcenne usługi.

Miejszem wypadowym dla wypraw stała się Cuiaba, mieści' na leżąca w sercu krainy bogatej w cenne minerały, w pobliżu granic hiszpańskich. Tam niedaleko, w Boliwii i Paragwaju, jezuici stworzyli zasobne skupiska tysięcy ułagodzonych Indian,

wdrażając ich w lepsze warunki życia na roli: wymarzone mateczniki ludzkie dla bandeirantów.

Hej, pohulali sobie pauliści od serca, rozpasali się, wodze

26

puścili zbójceckim żądom. Sporo krwi napsuli jezuickim spryciarzom, a bezwzględna pięścią sięgnęli do obfitych łowisk. Moc indiańskich niewolników potrzebowali

Portugalczycy do swych kopalń: wciąż było za mało czerwonych robotników, ginących w kopalniach jak muchy. Także portugalskim plantacjom na wybrzeżu godziło się

dostarczać ręce do roboty.

Natomiast rębacze skwapliwie zachowywali Indianki dla siebie. W tych pierwszych czasach kolonii, kiedy na jedną kobietę przypadało kilku jurnych Portugalczyków, indiańskie dziewczki stanowiły pożądaną zdobycz. Toteż dla wielu paulistów łapanie Indianek było potężnym bodźcem wypraw na zachód, często nie mniej ważnym niż

złoto i diamenty.

Bandeiranci zawsze cieszyli się, i do dziś cieszą się, ogromną wziętością w Brazylii. Ich zuchwałość

i rozmach budziły od wieków powszechną dumę. Śmiałkowie stali się

bohaterami narodu, uchodzili za wzór do naśladowania. Czy słusznie? Byli wściekle odważni, to prawda, i niepohamowani, i zadzierzyści, ale jednocześnie byli okrutnymi niszczycielami. Bezwzględni, zapatrzeni jedynie w doraźny zysk, siali spustoszenie, żyli rabunkiem. Kiepski ideał dla wielkiego narodu.

Dzisiejsi Brazylijczycy, świadomi swego pociągu do dorywczowości, drwinkowali ze siebie samych, mówiąc o niezniszczalnych zasobach i żyzności Brazylii: co ludzie za dnia tu marnowali, to w nocy bujnie odrastało. Niestety, miła pociecha nie dotyczyła wytępionych szczepów: ci Indianie przepadli dla ludzkości raz na zawsze.

Tym samym" szlakiem bandeirantów sprzed dwóch wieków lecieliśmy teraz, Zygmunt Pniewski i ja, na zachód. Nocowaliśmy w Sao Paulo, ruszając o świcie dalej. Przez kilka godzin lotu znamienne dla Brazylii zmiany pod nami; w pierwszej godzinie

widzieliśmy bogactwo kraju, liczne plantacje kawy, i wcale przyzwoite zaludnienie.

Potem nagle osiedli było mniej, głusza coraz większa, kraj raptownie się wyludniający

— i pierwsza wielka rzeka w poprzek: Rio Parana. Rzeka, która nie chciała nic słyszeć o Amazonce i płynęła w przeciwnym kierunku, na południe.

27

Za rzeką dzicz stanu Mato Grosso. Roślinność uboższa, niedopojona w porze suchej: to luźny busz, zwany przez Brazylijczyków cerrados. Tu pora deszczowa widocznie jeszcze nie minęła, bo bezmierna powódź, jak gdyby kpiąc z podręczników, zalewała na dziesiątki kilometrów olbrzymie płaszczyny kraju. Woda, widziana z góry,

przeświecała przez trawy i krzaki. Były to wschodnie krańce największego ponoć na ziemi mokradła — Pantanal.

Wtedy na myśl przyszedł mi francuski etnolog Lśvi-Strauss, który przed

kilkudziesięciu laty zwiedzał te strony i ciekawie opisał szczep Kadiueo. Indianie ci żyli w głębi Pantanal i pewnie dzięki moczarom uchronili się od bandeirantów.

Przeciwnie, sami zaborczego ducha będąc, ujarzmiali sąsiednie plemiona. Był to

szczep niepospolity: stworzył pewne formy organizacji społecznej i dzieląc się na kilka klas, doszedł do niejakego stopnia rozwoju. Miał szlachtę, i to o niesłychanym, wręcz maniackim poczuciu własnej wyższości. I miał kobiety, prawie wszystkie znamienite artystki o wyrobionym pojęciu piękna. Mianowicie na swych twarzach malowały

wyrafinowane w rysunku wzory geometryczne, koła, esy floresy, o tak przedziwnie subtelnej

kompozycji, że jeszcze w początkach XX wieku ściągali tu etnografowie, zwabieni rewelacyjnym uzdolnieniem Indianek Kadiueo.

Osobliwa była zarozumiałość tych Indian: pewna ich wioska, zaproszona przez

gubernatora stanu do przybycia do Cuiaby, stawiała się cała z wyjątkiem jednej młódki kilkunastoletniej. Smarkula, będąca w wieku małżeńskim, obawiała się, że gubernator zechce ją wziąć za żonę, a tak poniżającego mezaliansu panna by nie przeżyła:

gubernatora uważała za indywiduum należące do znacznie niższej kasty.

Więc szczerp Kadiueo o tak uderzających cechach wybijał się ponad wszystkie inne plemiona nizin południowoamerykańskich, ale w końcu i jego nie ominął smutny los: w Rio de Janeiro mówiono mi, że wyginął niemal doszczętnie, po prostu zmogły go zawleczone przez białych ludzi choroby. A więc wyszło na to, że dumna pannica

słusznie stroniła od gubernatora.

28

Około południa półgodzinny przystanek w osławionej Cuiabie. Po chłodzie w

samolocie żar na ziemi ledwo z nóg nie zwalił Pniewskiego. W trzy godziny później, u celu podróży w Porto Velho nad górną Madeirą, z kolei na mnie uderzyły siódme poty, gdy bezczelny taksówkarz zdarł ze mnie potrójną cenę za przejazd z lotniska do

miasta. Ale byliśmy na kresach Brazylii i także tutaj brano nas, niestety, za

amerykańskich gringów: za to się płaciło.

I, co więcej, już od trzystu kilometrów otaczała nas parna puszcza amazońska, ziejąca gorączką, chorobami i przerostem pasożytów.

## 7. Zbzikowane miasto Porto Velho

Porto Velho, stolica terytorium (nie stanu) Rondônia, było paradoksem, trąciło niezłą groteską. Terytorium, rozległe prawie jak cztery piąte Polski, było niemal bezludne, żyło tu bowiem w puszczach, na sawannach i nad rzekami tylko trzydzieści pięć

tysięcy dusz. Oznaczało to, że w stosunku do przestrzeni przeciętnie jeden człowiek rozwalał się na siedmiu kilometrach kwadratowych; bezludzie wyjątkowo głucho

nawet jak na pustoszę południowoamerykańskie.

Otóż to bezludne terytorium miało niedorzecznie wielką stolicę, liczącą przeszło pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców. (Dokładnie: w 1961 roku miało 51 049

mieszkańców). Więc Porto Velho było niesamowite; sprawiało wrażenie

wyolbrzymiałej głowy na pustym, nijakim kadłubie; dawało wizję gigantycznego

grzyba, wyrosłego na nikłym trzonie, na doszczętej jałowiźnie.

Nienaturalna głowa, zawieszona w takiej próżni, pędziła z natury rzeczy żywot

karykaturalnie wypaczony, trawiony różnymi spazmami. Tłukł się tu efektowny

melanż don Kiszotów, Al Caponów i eldoradowych obwiesiów; było to rendez-vous

rzezimieszkowych romantyków.

Porto Velho, stworzone przez jankesów, budujących tu kolej

29

żelazną, istniało, na przekór nazwie „Starego Portu”, zaledwie pół wieku i miało w sobie wszelkie cechy Dzikiego Zachodu w wersji brazylijskiej. Tym tylko różniło się od westernów z Hollywoodu, że panował tu żywy autentyzm, nie było sztucznych kulis, a po zaułkach miasta przyczajały się rzeczywiste, żywe typy: czarne, półczarne i mało co jaśniejsze. Było to miasto wielu kombinatorów, rozległych koszar, zakonnych szkół i okazałego szpitala. Naprzeciwko pałacu gubernatora wybudowano tu dla ludzi afer

„Hotel Porto Velho” tak wzniosły jak sam pałac rządowy. Hotel wieczorem nęcił

światłami, natomiast pałac tonął w ciemnościach, toteż gubernator, pomimo że rzadki w swej stolicy gość, chętniej ponoć przebywał w hotelu z kompanami niż w pałacu za biurkiem.

Do tego hotelu dostaliśmy się jak pięść do nosa.

Realia w Porto Velho: rzeka Madeira spławna w dół aż do Amazonki, więc to port

łączący z całym światem; w drugą stronę, ku granicy Boliwii, piekielne progi na rzece, więc w Porto Velho zaczynała się kolej żelazna Madeira-Mamoré, omijająca

przeszkody. Więc cyna: w Rondónii niedawno odkryte złoża cyny stworzyły w Porto Velho kotłownię zapalczego ruchu, by dorwać się do bogactw. Wielu

niewydarzeńców nosiło tu rewolwery, ukrywane w portkach.

A dokoła puszcza, najtypowsza puszcza amazońska, nasyłająca lawiny chorób na

ludzi, i — powtarzam — wielki, a mimo to niedostateczny szpital.

Ów brazylijski Dziki Zachód był nie tylko dziki, ale i zboczony, bzikiem i frenezją podszyty. Ludzie dziwni, cudacznici. Spotykaliśmy na ulicach brudnych obszarpańców, cherlawych i bosych, ale z paznokciami u nóg malowanymi różowym lub czerwonym

lakierem. Po kie lichy tak zwariowana kokieteria?

Do biura linii okrętowej, obsługującej rzeczny ruch pasażerski do Manaus, wpadliśmy około piątej po południu i zastaliśmy trzech młodych urzędników. Jeden ucinał drzemkę nad maszyną do pisania, dwaj inni nie spali, ale byli bardzo senni. Prośbą

o podanie mi najbliższego statku wychodzącego do Manaus

o podanie ceny za przejazd wyrwałem tych dwóch z osowiałości. Nie wiedzieli, nie znali, ale kazali czekać. Marudzili przez blisko godzinę, wertowali akta, przeglądali stare kwity biletów, spierali się między sobą o datę wyjścia statku, a ceny również ustalić nie mogli.

Zbudzili tego trzeciego, który był nieco starszy, ale też niewiele wiedział. Po kilkunastu mrukliwych słowach wrócił do swej maszyny i udając przed nami, że pisze, zaczął wybijać litery na pustym wałku w takt melodii, jaka akurat przyływała do biura z ulicznego głośnika. Już nie ulegało wątpliwości, że byli to kretynowaci praktykanci, ale czemu trzymali nas nadaremnie przez rozwlekłą godzinę? Niech ich dunder!

W Porto Velho nie było żadnej księgarni, a nieliczne książki, na ogół buble,

sprzedawano w dwóch czy trzech innych sklepikach z różnymi towarami. Psiska

szwendały się po ulicach wrzodowate i cherlawe, także większość mężczyzn była

wybiedzona i chuda. Natomiast żołnierze, hej, co za wspaniałe byczki! W oczy rzucały się ich dziarskie postacie, a było ich bezlik, chyba kilka batalionów. Chojrak w chojraka, pysnie wypasieni, kresowi obrońcy ojczyzny, nie mieli wroga, by do niego strzelać, więc mężnie atakowali płęć piękną. Po fredrowsku. W Brazylii, wiadomo, wojsko wodziło rej. Toteż w Porto Velho szczęśliwe były wszelkie córy, a szczególnie dobrze miały się tej z Koryntu, których było jak maku.

Z okna naszego pokoju na pierwszym piętrze hotelu podziwialiśmy widok na całe

miasto i na wielką rzekę daleko przed nami, a tuż pod nami — na pralnię. Pralnia należała do hotelu, praczki zaś do wszystkich mężczyzn. Były młode, grubawe, wesołe i zaczepne. Gdy ujrzały w oknie dwóch estrangeirów z krajów północnych, cherubinka o złotawej czuprynie i tego starszego, robiącego wrażenie „jelenia” z forszą —

rozochociły się dziewczęta bardzo, wpadły w zapał i tylko cicho — by sąsiedzi nie słyszeli

— pokrzykując, a kwiląc, zachwalały nam swe wdzięki. Słały nam do góry kuszące

uśmiechy i gestami wyrażały ochotę, że chcą nas uwieść i poświęcić się dobrej

sprawie. Wobec takiego hołdu dla naszej męskości wypadało nam czuć się jak

padyszachowie w haremie, może doznać dumy wodzów naczelnych przy przeglądzie

armii — ale nic z tego, zachowaliśmy szlachetną powściągliwość.

Ludzie w Porto Velho, przyzywając się, wołali do siebie krzykiem ostrzejszym niż mieszkańcy na wybrzeżu: była to pozostałość zapewne z dawnych czasów

konkwistadorskich, gdy złapanych niewolników brutalnie pędzono jak bydło. Ludzie w Porto Velho pokrzykiwali i na nas. Zanim rozpowszechniła się wieść

o naszych łowach motyli, traktowano nas jak Amerykanów, wrogo i zaczepnie.

W niedzielę przed południem pewien zagorzalec gonił za nami, gdy szliśmy ku rzece, by ją fotografować. Goniąc wydawał już z daleka szorstkie okrzyki: „Hej, hej!”, wyzywające i tak znamienne dla tutejszych Br azyli języków. Złą wrzawą napelniał

ulicę i przechodnie byli ciekawi, jakiego ścigał złoczyńcę. Dopiero gdy nas doganiał, zrozumieliśmy, że to o nas chodzi,

i przystanęliśmy.

Miał cięte, czarne wąsiki, i szlachetny gniew w oczach. Dyszący, trzydziestokilkuletni bubek.

— Dokąd idziecie? — wrzasnął na nas, wskazując na mój rolleiflex.

Oślupiałem na taki impet: czyżby policja? Może tu zagrożone tajemnice wojskowe, może to łapanie szpiega?

— Nad rzekę idziemy! — odrzekłem zaniepokojony.

— Po co tam? Fotografować?

— Tak, fotografować — starałem się mówić bez drżenia w głosie. — Ładne widoki fotografować! Także rybaków!...

On rozdrażnionym ruchem rąk jakby odpychał na bok ładne Widoki i rybaków.

Zżymał się. Wyfukiwał do nas nakazująco:

— Nic z tego! Nie pójdziecie nad rzekę! Jest msza święta w kościele! Ludzie będą wychodzili ze świątyni i musicie ich fotografować! Tam wasze miejsce! Tam godny przedmiot waszego fotografowania!...

Kamień spadł mi z serca; więc nie był to akt policji, lecz pomysł maniaka. Brał nas za Amerykanów, zatem protestantów, i by nam dokuczyć, kazał fotografować katolików.

Dlatego wszczynął złowieszczy hałas, alarmował przeciw nam ulicę.

32

Motyl Caligo przykucnął na pniu i straszył mnie sowim okiem.

.Żelazne szkielety stały od widu lat na bocznym torze kolejouryg w Porto Velho... (śtr.

43)

Najeżając się do odprawy, zmobilizowałem całą moją znajomość języka

portugalskiego i grzecznie, acz dobitnie, na pograniczu złośliwości, mocno pukając palcem w pierś faceta, jasno mu wyłożyłem, żeby nie wścibiał nosa do nieswoich

spraw.

— To mój aparat! — kończyłem perorę. — I niech acan pozwoli, że to ja zadecyduję, co i kogo będę fotografował...

Nie czekając na jego odruch, odwróciliśmy się i zaczęli odchodzić. Typ stracił

bezczelność, zmieszał się: Amerykanie przeważnie nie władali portugalskim.

— To wy nie jesteście Americanos? — zawołał za nami.

— Nie — odpowiedziałem.

— A jakiej narodowości? — chciał jeszcze wiedzieć.

— Eskimosi!

Porto Velho było enklawą, szczelnie zamkniętą w puszczy wyjątkowo niezdrowej. Od kilku pokoleń groźna knieja nasyłała tu przeciw ludziom zabójcze bakterie, wirusy i miazmaty. Co prawda minęły już czasy, gdy mieszkańcy ginęli tysiącami. Liczne

apteki zrobiły swoje, lekarze jako tako okiełznali śmierć, ale niesamowitość pozostała.

W Porto Velho snuły się opary dziwactwa i obłądy; wielu było gorączkujących ekscentryków, jeszcze więcej wykolejeńców.

Tu puszcza trzymała ludzi w okowach szczególnie twardo.

8. My: ni psem ni wydrą

Na drugi dzień pobytu w Porto Velho ogromne wrażenie sprawiło na nas odkrycie przez Zygmunta Pniewskiego motyla sówki agryppiny, (*Thysania agrippina*),

rozpłaszczonej na ulicy niedaleko naszego hotelu przez samochód. Owa sówka budziła w nas zawsze głęboki, niemal mistyczny szacunek, bo była i rzadkim, i niewątpliwie największym z motyli na ziemi: ento- Pratorius w Manaus opowiadał nam o złowieniu szna Amazonia

33

niedaleko ujścia Amazonki agryppiny o skrzydłach rozpiętości czterdziestu dwóch centymetrów.

Więc zniekształcone resztki, znalezione na ulicy, były dla nas przeżyciem. Widzieliśmy w nich symbol, podwójny symbol: i prężnych sił puszczy, nasyłającej takiego olbrzyma na miasto, między ludzi, i także — na odwrót — wyraz jakby symbolicznego bronięcia się miasta, które kołami samochodu miażdżyło wysłannika puszczy.

W Porto Velho ludzie żywcem łapali innych mieszkańców leśnych, ptaki, i chętnie umieszczali je w klatkach. Na tylnej werandzie naszego hotelu, gdzie jadaliśmy

śniadania, wisiało pod sufitem kilka klatek pełnych ptaszków, małych papużek i

wróblowatych. Słońce do nich nigdy nie docierało, więc biedakom przeważnie dzień upływał w ospałości i zamroczeniu.

Skrzydłaci więźniowie, wynaturzeni jak wszyscy więźniowie, przecież jedną mieli jaśniejszą chwilę, ale tylko jedną jedyną. Mianowicie gdy po chmurnej nocy,

zwłaszcza po deszczu, poranne słońce zwiastowało gdzieś daleko pogodny dzień;

wtedy uwięzione ptaki także wybuchały radością i wesoło szczebiały. Ale tylko na krótką chwilę, nie im pisano uciechy dnia. Gdy dla innych istot" dzionek pięknie się rozwijał i darzył, one szybko zapadały w osowiałą drzemkę i w swój klatkowy smutek.

Więc tu, na tylnej werandzie hotelu, był żywy, choć krótki przeblysł nadziei. W tym czasie na przedniej werandzie, zwróconej w stronę pałacu gubernatora, panowały

szafy grające; panoszył się blichtr barwnych luster i sztucznych kwiatów, dziwny blichtr w ojczyźnie świetnego malarza Candido Portinari i architektów Niemeyera i Costy. Na przedniej werandzie



świeciło wieczorami wiele żarówek elektrycznych i siedziało wiele rozstrojonych ludzi. Tu także snuły się złudne nadzieje, choć nie na słońce i na wesoły dzień: chorobliwie marzono o cynie, odkryciach złota i o

kombinacjach. Aż dziw, ile tu było niewidzialnych klatek, w których tkwili ludziska, i ile zawitych nadziei, równie płonnych jak u więzionych ptaszków.

Grające szafy jazgotały potwornie metalicznym dźwiękiem i godzinami straszły śpiących w hotelu gości. Także nas.

34

Zaraz od pierwszej chwili stanowiliśmy dla mieszkańców Porto Velho intrygującą zagadkę, byliśmy ni psem ni wydrą. Nie mogli nas rozgryźć; nie wiedzieli, w której umieścić szufladzie. Aferzyści chcieliby domyślać się w nas Amerykanów, węszących za nowymi złożami cyny — ale psuliśmy im obraz, bo Amerykanami nie byliśmy.

Przybył do hotelu sam delegado, komisarz policji, by wziąć nas pod światło i

wyniuchać prawdę. Badał paszporty i wizy i stwierdzał z ubolewającym uśmiechem, że były w porządku. Dla pewności pokazałem mu swe książki w tłumaczeniach

angielskim i niemieckim — zdumiał się i bardzo ucieszył. Delegado opuszczał nas w przekonaniu, że jeśli byliśmy mataczami i szpiegami, to piekielnie cwanyimi, z

argumentem własnych wydanych książek. I znowu pozostawaliśmy intrygującą zagadką.

Nie bacząc na opaczne domysły, jakie powstawały dokoła nas, żywo krzątaliśmy się po mieście i robili swoje: fotografowaliśmy obiekty nie zakazane i łowili motyle. Był to, powtarzam, Dziki Zachód, więc siatki w naszych rękach budziły sensację i drwiny. W

oczach ludzi, na których patrzyliśmy jak na niewydarzeńców i rarogów, sami byliśmy jak niewydarzeńcy i rarogi. Wyrównywało to poniekąd obopólne rachunki, z tą tylko różnicą, że myśmy ich lepiej rozumieli, oni nas gorzej.

W tym morzu kresowej barbarii istniał w pobliżu hotelu parterowy budynek z

wielkim, imponującym napisem: „Museo Rondônia”. O muzeum i jego miłym

kierowniku, lekarzu, doktorze Ari Pineiro, słyszeliśmy już w Rio, ale ciekawość naszą zaspokoiliśmy dopiero na trzeci czy czwarty dzień pobytu w Porto Velho.

W muzeum zastaliśmy tylko starszą panią, która od razu wielką przyjaźnią zapałała do Zygmunta i z

dumą pokazywała dwie salki. Z dumą, chociaż były szczytem

muzealnego ubóstwa i niechlujności. Groch z kapustą w okropnym stanie i na domiar niewiele tego. Strzały takie, jakie knocono dla turystów w Rio de Janeiro,

reprezentowały folklor indiański. Połamane motyle oraz nieliczne ptaki i ssaki, pożerane przez mole i pleśń, przedstawiały faunę, a wduszone do słoików nieszczęsne rybki

35

i węże — odświeżały w pamięci wiersz Gałczyńskiego o skumbrii w tomacie. To nas nawet radowało.

Ale stara dozorczyńni muzeum, rażona tak gwałtownym afektem do Zygmunta, była

urocza, a jeszcze bardziej ujmujący okazał się doktor Ari Pineiro, kierownik muzeum, do którego dotarliśmy następnego dnia. Lekarz, zapędzony w tę dzicz leśną i ludzką, witał nas jak ludzi z innego świata, (którymi w istocie byliśmy). A że wiedział już o naszych motylich łowach, wyciągnął z jakichś półek rzadkie i drogocenne motyle, ale straszliwie zepsute, źle spreparowane, i kazał nam je podziwiać. Ku naszej grozie chwycił ich skrzydła palcami. Był w tym wszystkim oszołamiająco bezkrytyczny i

rozzewniał swym wysiłkiem dogodzenia nam.

Gdy zapytałem go, raczej mimochodem, o literaturę na temat Amazonki, porwał

arkusze papieru i z zacieklą lubością zaczął mi spisywać nazwiska autorów i tytuły książek. Był natchniony, pisał w transie. Co prawda kreślił pismem nieczytelnym, tak typowym dla lekarzy dziewiętnastego wieku, ale imponował erudycją: wytrzasnął jak z rękawa dwadzieścia kilka pozycji o Amazonii.

Był to miły pan w starszym wieku, serdecznie dobry i kulturalny człowiek, choć

oryginał. Przyjemna z nim rozmowa dopiero nam uprzytomniła prawem kontrastu, w

jakie pustkowie duchowe wpadliśmy w Porto Velho. Panował tu jakiś koniec

ludzkiego świata, uderzał zanik istot normalnie uczciwych. Jakże byliśmy lekarzowi wdzięczni, że go spotkaliśmy. Do tego świata dostaliśmy się jak rozbitkowie, my dwaj przelotnie, lekarz na stałe.

Tego dnia trafiło mnie natrętne porównanie: Ari Pineiro wydawał mi się podobny do motyla agryppiny, miazdzonego na ulicy.

## 9. Słoneczni ludzie i okrętne słońce

Pomni naszego postanowienia, by jak najwięcej motyli przywieźć z Brazylii dla

poznających szkół, z zapalem zabraliśmy się do łowienia zaraz na drugi dzień po przybyciu do Porto Velho. Do samej puszczy, oddalonej o przeszło kilometr od

śródmieścia, nie docieraliśmy i woleli pozostać na rogatkach miasta; tu mieliśmy znakomite łowiska wzdłuż toru kolejowego. W pobliżu płynęła olbrzymia Madeira, a z obydwóch stron toru stały wśród zapuszczonej zieleni chaty miejscowej biedoty. Owa zieleń — chwasty, krzewy i pozostałe po puszczy pojedyncze drzewa — zwabiała

motyle, motyle przyciągały nas, a tor przyciągał mieszkających tu ludzi: kroczyli na nim jak na drodze.

Motyli latało wiele, ale było to samo pospólstwo, równie upośledzone jak ludzie tej faweli; żadnych tu Morph ani papilionidów czy innej arystokracji. Wszakże wśród tego gminu niektóre motyle, choć niezbyt duże, napawały oko niezwykłym rysunkiem i kwiecistym kolorem. Co tu wiele gadać: były często śliczne i równie śliczne były przeważnie — co z przyjemnością stwierdzaliśmy — dziewczyny, zamieszkałe w

chatach obok toru. Gdy schludnie wystrojone wybierały się do śródmieścia i

przechodziły obok nas, zawsze witały dźwięcznym „boa dia” i uśmiechem, szczególnie przychylnym w stronę gładkoliciego Zygmunta.

Motyl *Anarthia roeselia*, co prawda nieduży, był urzekający. Jego amar-ant

przyjemnie kraśniał na tle ciemnego brązu z białymi cętkami, podczas gdy tylna

strona skrzydeł pulsowała żywym mahoniem. Gdy *Anarthia* leciał, zawsze przykuwał

wzrok swą soczystą czerwienią, a gdy siadał na kwiecie i rozkładał skrzydła, był

jeszcze ponętniejszy. Niestety miał kruche skrzydła, a czerwień szybko płowiejąca.

!

Do Porto Velho przybyliśmy akurat w okresie jego lotów godowych i wtedy

zauważyliśmy w tych zalecankach ciekawy; objaw. Zabawną historię. Wszystkie

samiczki *Anarthia*, nieco

37

większe niż samce, były wyblakłe i zdarte, wyraźnie podstarzałe, natomiast wszystkie samce były młodziutkie, właśnie wyklute z poczwarek, świeżuteńkie. Więc tu inaczej się odbywało niż zwykle wśród ludzi: tu sfatygowane matrony były zaczepne,

niedwuznacznie leciały na młodzieńców i ich sobie przyhołubiały. Działo się jak w owej frywolnej

piosence, w której „ożenił się młody ze starą”, albo jak z raptownym sentymentem starej dozorczyńi portovelhońskiego muzeum.

Fenomen owej rozbieżności wieku wśród motyli pozostał dla nas zagadką, natomiast na tym przedmieściu odkryliśmy jedną z tajemnic nagminnej w mieście dyzenterii: ludność, żyjąca w wąskim paśmie między torem kolejowym a Madeirą, wypróżniała

się wprost do rzeki i kał płynął z prądem w stronę miasta, gdzie z rzeki czerpano wodę do picia.

Jeszcze inna rzecz nas tu uderzyła, tym razem przyjemny paradoks: ludność owej

przedmiejskiej faweli odznaczała się niepowszednią dobroduszością i pogodą ducha, pomimo że klepała ostatnią biedę. Byli to Brazylijczycy ze znaczną domieszką krwi afrykańskiej. Już na trzeci dzień witano nas jak miłych znajomych. Nie ulegało

wątpliwości, że ci prości ludzie mieli wyjątkowo wesołe usposobienie i byli w jakiś sposób szczęśliwi, a wobec nich zaaferowani światowcy i spekulanci w naszym hotelu czynili wrażenie ponuraków, nieustannie czymś opętanych.

Podmiejscy poczciwcy często się upijali i wtedy wobec nas byli jeszcze wylewniejsi niż zazwyczaj. Pewien Murzyn pod gazem chciał nam zaimponować swą bywałością i

przemówił po angielsku. Ale zaraz, reflektując się, buchnął śmiechem i jowialnie oświadczył, że nie mamy go uważać za idiotę, chociaż puszył się swą angielszczyzną.

Zapał, z jakim zabraliśmy się do łowienia motyli, nie wyszedł nam na zdrowie,

uganianie się tego znalazło nam za skórę. Co prawda szybko przyzwyczailiśmy się do potu, strumieniami zlewającego nasze ciała, ale któregoś dnia przeholowaliśmy.

Zamiast uciec od słońca, jak zwykle, około dziesiątej godziny, zamarudziliśmy prawie do południa: Zygmunt, goniąc motyle,

38

lekkomyślnie oddalił się zbyt daleko od zwykłych naszych łowisk i zanim go przywołałem, minęła już jedenasta. A do hotelu jeszcze pół godziny drogi w pełnym, okrutnym

słońcu.

Od biegania i żaru srodze nas zamroczyło i, co gorsza, udar gwałtownie przyspieszył

proces tak zwanej aklimatyzacji. Jak trujące grzyby po deszczu, wyskoczyły na

naszych ciałach liczne wrzody, tak potwornie swędzące, że można było oszaleć. W

krwi naszej dokonywały się jakieś obrzydliwe bunty i draństwa i to nas przez szereg dni fizycznie

bardzo osłabiło. Wegetowaliśmy półgębkiem, półmiarą, półbystrością, na półobrotach.

A przecież świat dokoła nas wydawał się coraz czarowniej-szy i ciekawszy, wymagający pełnych sił i żywej wrażliwości.

O

## 10. Ku wojnie między człowiekiem a puszcza

, Czy straszyły owe żelazne szkielety? Chyba nie, nie przesadzajmy. Ale wyglądały groźnie i patetycznie, gdy sterczały na tle nieba. Stały od wielu lat na bocznym torze kolejowym w Porto Velho i codziennie obok nich przechodziliśmy, idąc na motyle

łowy.

Żalodne szczątki wagonów kolejowych, porzuconych na śmietnisko, przywodziły na

pamięć ludzką tragedię, jaką tu ongiś przeżywano. Byli to żelazni rozbitkowie po butnych przed laty planach i zwariowanych nadziejach, okrutnie zniweczonych; byli to inwalidzi i ostatni świadkowie niebywałej klęski, jaką puszcza zadała tu ludziom.

Wszystkiemu zawiniły progi i wodospady na rzece Madeira powyżej Porto Velho.

Piekielne progi. Powyżej nich wielkie bogactwo tkwiło w lasach Boliwii i wymagało wywiezienia, poniżej nich — spławne rzeki Madeira i Amazonka otwierały wyjście na cały świat. Ale w pośrodku jeżyła się kamienna barykada, było piekło progów. Na przestrzeni czterystu kilometrów istniało dwadzieścia przeszkód, w tym trzy istne wodospady. Niedaremnie jeden z nich nazywano Cachoeira Calderao do Inferno,

Odmęttem Piekła.

Nizinne obszary Boliwii, na wschód od Andów, obfitowały w gęste lasy, będące

południowymi redutami wielkiej puszczy amazońskiej. Tu nad rzekami Mądre de

Dios, Mamorć i Gua-porś pieniały się drzewa, dające wyjątkowo cenny plon: u samych górskich stóp rosły najbujniejsze krzewy kokainowe, a kauczuk z nizin boliwijskich uchodził za najlepszy na świecie.

43

Część tych płodów z trudem wydostawano poprzez andyjskie wąwozy na brzeg

Pacyfiku; inna część, z większym jeszcze trudem, spływała ku Amazonce, pokonując srogie progi na Madeirze.

Kto ważył się na szalony spływ, wiedział, co go czekało, więc się obwieszał amuletami i oddawał w opiekę swego świętego. Patronowie łodzi najchętniej najmowali Indian ze szczepu Mozo, chrześcijan od czasów jezuickich i świetnych znawców rzeki. Jednak także i ci nieustraszeni wioślarze nie zawsze wychodzili obronną ręką i raz po raz rozbijały im się łodzie na zdradliwych progach. A przy najgroźniejszych przejściach, gdy ludzie ciężko borykali się z wodnym żywiołem, czyhał na nich jeszcze inny wróg: Indianie. Rozzuchwaleni wojacy szczepu Karipuna nierzadko napadali na łodzie, by je ograbić i przy okazji wędrowcom z ochotą poderznąć gardła. Łączenie się załóg kilku łodzi w jeden konwój czasem odstraszało rabusiów — ale nie zawsze.

Do tych dwóch wrogów dochodził trzeci, może najgorszy, który najwięcej zabijał wioślarzy: mordercze choroby. Właśnie w rejonie progów grasowały wyjątkowo

zjadliwie. Nie tylko jakieś zgubne gatunki malarii, ale i inne, nie zbadane do dziś choróbka zwały przejezdnych z nóg i uśmiercały nieraz całe załogi do ostatniego wioślarza. Już kroniki z początków osiemnastego wieku wspominały o

niezdrowotności nad górną Madeirą i odtąd zła opinia, niestety aż nazbyt

uzasadniona, utrwaliła się ha stałe: te okolice uchodziły za najgorsze pod względem zdrowotnym w całym dorzeczu Amazonki.

Napięcia polityczne między Boliwią a Peru i Chile w połowie XIX wieku doprowadziły do wojny, w której Boliwia, przegrywając, straciła dostęp do Pacyfiku. Dla zbytu jej produktów, zwłaszcza kauczuku, pozostała droga otwarta tylko na północ, ku rzekom Madeira i Amazonce, i ujście to nabrało szczególnej wagi. Więc Boliwijczycy pierwsi zaczęli marzyć o uwolnieniu się od zmory progów na Madeirze.

Ich dążenia, rzecz prosta, podjęli Brazylijczycy. Boliwijczykom udało się zapalić do sprawy także amerykańskiego pułkownika Earla Churcha, inżyniera kolejnictwa, ówże Church, jankes pełen pionierskiego rozmachu, a nie mniej i smykałki do interesów, ongiś zdobył sławę w Argentynie, gdzie z pożytkiem się awanturował przy budowie kolei, a teraz, nad rzekami Madeira i Mamore, ujrzał wielkie dzieło swego życia.

„Wszystkie bogactwa Australii i Kalifornii zbledną wobec bogactw Boliwii, otwartych przy pomocy kolei, jaką zbudujemy dokoła progów rzeki Madeira" — wołał na cały świat. I przekonał świat.

Porwał Amerykanów i porwał Anglików, zaraził ich swą gorliwością, olśnił widokami, wzniecił ich chciwość. Rozpasaną chciwość. Rozpętał zwłaszcza zachłanność

Anglików. Francuzi właśnie kończyli Kanał Sueski, więc i Anglicy, najpotężniejszy wówczas na świecie naród, opływający w dumę i pieniądź jak żaden inny, rwali się do epokowego czynu. Łaknęli chwały i wielkiej gry. Łaszczyli się na nowe, nieprzebrane fortuny.

Tak oto największe w owym wieku potęgi cywilizowanego świata zespoliły się, by w głębi Brazylii, na pograniczu Boliwii, dokonać przełomowego dzieła. Ruszył do walki z przyrodą kapitał

londyńskiej City, ruszyli i czołowi inżynierowie w Anglii i Stanach Zjednoczonych. Zmobilizowano najprzedniejszą wówczas technikę, i rozbudowano całą dumę i butę dwóch anglosaskich społeczeństw. Wszystko zwarło swe siły, by pokonać puszcę nad Madeira i podporządkować ją interesom ludzi.

Wojna, jaką człowiek wypowiedział puszczy, okazała się bezprzykładnie okrutna i pochłaniała tysiące ludzkich ofiar, a trwała czterdzieści przeszło lat. I co najgorsza, nie wiadomo, czy ludzie ją wygrali. Ale to pewna, że tysiącami ginęli, przechodząc

niewysłowione męki. W obliczu puszczy człowiek wydawał się okresami nędznym robaczkiem, maleńkim i bezradnym.

Poszczególne fazy owych gigantycznych zmagania przypominały starogreckie tragedie, z tą tylko różnicą, że obecne były bardziej przejmujące, bo rozgrywały się wśród nowoczesnych reali, na naszych oczach.

Warto było przyjrzeć się poszczególnym scenom tej tragedii, wniknąć w owe wstrząsające amplitudy między zwycięstwem a klęską.

## 11. Miła książka Kellera

W tej nieszczęsnej armii kilkudziesięciu tysięcy zuchwalców czy bohaterów, którzy w ciągu czterdziestu lat walczyli z puszcą nad górną Madeirą, byli Anglicy, Amerykanie, Włosi, Irlandczycy, Niemcy, Hiszpanie, Indianie boliwijscy, oczywiście Brazylijczycy tudzież robotnicy ze wszystkich krajów Ameryki Południowej z wyjątkiem Argentyny i Chile, a znalazł się nawet jeden Polak, inżynier C. F. Kierzkowski — ale chyba

najsympatyczniejszą postacią z tej całej czeredy szaleńców był Niemiec Franz Keller.

W dramacie nad Madeirą odegrał ważną rolę, jednak miał szczęście, ominął go zły los.

Tragedia nie wciągnęła go w swój zgubny wir; on stał na zewnątrz, chociaż iblis-ko związany ze sprawami piekielnej rzeki. Był awangardą, która nie poniosła klęski jak siły główne.

Więcej: z jego nazwiskiem łączą się rzeczy nad wyraz przyjemne i niezatarte. Keller był nie tylko inżynierem, ale i znakomitym artystą, twórcą świetnych rysunków, a do tego niezłym pisarzem: napisał książkę, sam ją ilustrował i dzięki niej jego nazwisko przetrwało lepiej do dnia dzisiejszego niż owych trapiionych Churchów, Collinsów, Morsingów czy Mayów.

Gdy sprawa progów na Madeirze dojrzewała do jakiegoś rozwiązania, don Pedro II, cesarz Brazylii (nawiasem mówiąc: naj-kulturalniejszy z dotychczasowych władców Ameryki Południowej i chyba — paradoksalnie — jeden z najbardziej postępowych)

polecił Kellerowi, by udał się nad Madeirę i zdał mu sprawę, co tam w puszczy

piszczało, no i szumiało, i jak to rzeczne paskudztwo ujarzmić.

Keller wraz z synem Josephem wypłynął w podróż w 1868 roku poprzez Amazonkę w

górze Madeiry. Gdy przybył do Sao Antonio, małej osady nad pierwszym progim rzeki (miasta Porto Velho, o 6 kilometrów poniżej Sao Antonio, wtedy jeszcze nie było), Keller miał pod swymi rozkazami siedem łodzi, osiemdziesięciu boliwijskich wioślarzy ze szczepu Mozo i ośmiu białych towarzyszy.

46

Nie zwlekając, flotylla zabrała się do pokonywania progów i w ciągu siedmiu tygodni wszystkie je szczęśliwie przebyła pod prąd aż do Guajara Mirim, wracając — równie pomyślnie — tą samą drogą w dół rzeki. Klimat zabijał ludzi, ale nie zmógł samych Kellerów, a gdy inżynier przybył do Rio de Janeiro, zdał rządowi sumienny i jak na stosunki brazylijskie, dość rzeczowy raport. Przedłożył do wyboru cztery rozwiązania: przeciąganie statków na szynach, umieszczonych w dziewiętnastu miejscach dokoła progów albo wykopanie kanału na całej przestrzeni równoległe do rzeki z

odpowiednimi śluzami, albo przebicie szosy przez puszcę, albo zbudowanie toru kolejowego.

Czwarte rozwiązanie: kolej żelazna, przypadło władzom najwięcej do gustu, bo

zaczynał się na świecie złoty okres kolei żelaznych, ale — jak wspomniałem — nie inżynierskim raportem Keller zdobył rozgłos; zdobył go książką napisaną na marginesie tej podróży i kapitalnie przez autora zilustrowaną.

Książka „Znad Amazonki i Madeiry” (Vom Amazonas und Madeira), wydana w 1874

w języku niemieckim i zaraz tłumaczona na angielski i włoski, była majstersztykiem podróżniczej narracji. Ponad liczne w XIX wieku dzieła podróżnicze o Ameryce

Południowej wybijała się na czoło wyraźnym wdziękiem autora, trafnością jego sądów i świeżym, młodzieńczym spojrzeniem na świat. W porównaniu z tą książką utwory

innych podróżników, choćby Humboldtów, Prinz zu Wiedów, Batesów czy

Herndonów, mogły wydawać się czymś szarym i nudnym. Keller, nowoczesny i

postępowy, był, jak rzadko kto w jego czasach, przepojony szczerym humanizmem w stosunku do Indian. A do tego ciekawą treść ilustrowały świetne sztychy: nie bez kozery niemieckie encyklopedie określały go przede wszystkim jako malarza, a nie tylko inżyniera i badacza.

Przed stu laty, w okresie podróży Kellerów, szczepy indiańskie stanowiły jeszcze ważną i



przeważającą grupę ludności nad Amazonką i Madeirą, więc autor poświęcał

im sporo stron. Demaskował tępiciejską politykę Portugalczyków. Przypominał, że już pierwsi władcy kolonii mieli kategoryczny nakaz

47

łapania gdziekolwiek bądź Indian do niewoli i prawo sprzedaży pewnej ich liczby „bez podatku” w Lizbonie. Oburzał się, że jeszcze w 1808 roku dekret portugalskiego króla nakazywał wojnę „ogniem i mieczem” przeciw Indianom, zwłaszcza Botokudom. Gdy Kellerowie przebywali na Amazonce, z ośrodków brazylijskich wciąż wpływały

flotylle w głąb kraju na połów niewolników. Nad Amazonką dziecko indiańskie miało wtedy wartość jednego noża-machety i woreczka paciorków.

Keller w swych opisach nie ukrywał zmory morderczego klimatu w okolicy progów

Madeiry ani nużącej monotonii lasów nad dolnym biegiem rzeki, ale także nie

omieszkął zachwycać się szkarłatem kwiecica heliconii i podziwiać olbrzymich

figowców z osobliwymi podporami przy ziemi. Siedziby niektórych zbieraczy

kauczuku wydawać się mogły rajskimi ustroniami, choć podróżnik na chwilę nie

zapominał o tym, jaka złudna to była sielanka wśród palm.

Indianie Mozo z jego załogi, niezrównani rybacy, suto zaopatrywali obóz w ryby, a gdy upatrzeli śpiącego w płytkiej wodzie kajmana, płatali mu zgubnego figla: ostrożnie wsuwali znienawidzonemu potworowi pętlę na łeb i wspólnymi siłami wydobywali go na brzeg. Kajman, raz wyciągnięty na ląd, nigdy na ludzi się nie rzucał, a mógłby ich wszystkich łatwo zmasakrować, wielokrotnie od nich mocniejszy. Ogłupiały gad rwał

się uporczywie, do ostatka, tylko w jedną stronę, ku rzece, i nieodwołalnie ginął pod ciosami siekier.

, Keller szczególnie interesował się zbójceckimi Indianami Karipuna, od dziesiątek lat postrachem przepływających kupców i wioślarzy. Gdy po raz pierwszy zetknął się z nimi powyżej progów Sao Antonio, powstała napięta sytuacja. Ale przyjazny

podróżnik dał sobie radę z dzikusami i nastrój szybko się roz pogodził, nawet powstała jakaś niepowszednia i trwała między nim a nimi zażyłość. Owo pierwsze dramatyczne spotkanie na brzegu rzeki uwiecznił Keller efektywnym rysunkiem, a także później często i chętnie w swych rycinach powracał do tematu tych Indian: oto patetyczna chwila, gdy ich dwoje, on i ona, napawa się widokiem ubitego przed chwilą tapira; oto lekka

48

i szybka jak strzała łódź indiańska z kory, niezawodny ryszstunek napaści, obok odpoczywającego w cieniu drzewa Karipuny.

Keller serdecznie polubił niesamowity szczepek i ten afekt przebiegał z niejednej strony.

Kiedyś pewien stary Indianin pokazał podróżnikowi rodzaj świstawki wydającej

przeciągły, smutny gwizd. Starzec z poważną miną, pełen dziwnej uprzejmości, starał

się wytłumaczyć białemu przeznaczenie gwizdawki: że brała udział w ogólnym

zawodzeniu, gdy Indian ogarniała żal na skutek śmierci kogoś bliskiego. „Taki przejaw uczuć — zadumał się Keller — ze strony prawdziwego dzikusa w prawdziwym gąszczu pierwotnego lasu jeszcze bardziej mnie przejął niż szlachetna powaga, z jaką starowina wyjawiał mi zwyczaj swego szczepeka”.

Keller poruszał także sprawę jezuitów. Dla ich działalności wśród Indian Guarani i Mozo był pełen uznania. Co prawda krytycznie oceniał jezuickie wpływy na

społeczeństwa cywilizowane — ale inaczej patrzył na jezuitów wśród Indian.

Tajemnicę ich niebywałego powodzenia przy stwarzaniu osiedli indiańskich, tak

zwanych redukcji, upatrywał nie tylko w sprężystej organizacji i karność zakonu, lecz i w tym, że większość jezuitów odnosiła się do Indian z ogromnym zapałem,

poświęceniem i z niezwykłym taktem. W „redukcjach” nie było demokracji ani prywatnej własności (przyznawał niemiecki podróżnik), własność mieli tylko

jezuici, ale Indianie zażywali spokoju i dobrodziejstwa uregulowanej pracy. Wszakże swe pochwały kończył Keller kłopotliwym stwierdzeniem: „Właściwie była to niewola.

Ale od prawdziwej niewoli różniła się tym, że w misjach jezuickich Indian nie

sprzedawano”.

Gdy Keller odbywał swą podróż na Madeirze, miał trzydzieści kilka lat i to odbijało się w całej jego książce: była młodzieńcza i żywiołowa pogodność w tym, co i jak pisał i jak rysował. Dlatego po stu latach jego praca wciąż żyła i zachwycała.

Ghyba tylko raz, mianowicie w roku 1874, książka jego mimo woli wywołała przykre zgrzyty, wręcz tragiczne, gdy pojawiła się w Londynie w tłumaczeniu angielskim. Było to już po ka-I — Piękna, straszna Amazonia po

katastrofalnej klęsce, jakiej angielscy inżynierowie i robotnicy doznali nad Madeirą, zdziśiatkowani tam zabójczym klimatem. Wiele rodzin w Anglii przeżywało z tych powodów żal, a tu, ku ich osłupieniu, pojawiła się o tej samej Madeirze książka realistyczna i nie ukrywająca złych stron

zielonego piekła, a przecież jakże urzekająca, jakże ponętna!

## 12. Pierwszy atak na puszcze—chybiony

Ówczesny schemat rabunkowego trójkąta był lapidarnie prosty, brutalny: tam europejski kapitał o znamionach boskości — tu nieprzebrane ponoć bogactwa przyrody, a obok nich rządy państw południowoamerykańskich. Rządy, chronicznie nieudolne i zawsze głodne, błagały kapitał europejski o przybycie i o podjęcie bogactw. A kapitał, wszechwładny i skory, łaskawie dawał się namówić, przychodził i dobierał się do bogactw, rzucając lokalnym rządóm łapówkowe ogryzki. Istotna w tym trójkącie akcja rozgrywała się między kapitałem a przyrodą; kapitał pokonywał opór przyrody, więc jemu przypadał według ówczesnych pojęć główny zysk — i tak też miało być nad Madeirą. Wobec rosnących cen na boliwijski kauczuk Londyn spodziewał się kolosalnych dochodów z zaplanowanej kolei Madeira-Mamore.

Głównymmacherem, sprężyną przedsięwzięcia, był, jak już wspomniałem, pułkownik Church, inżynier z USA, bohater argentyńskich kolei, postać i awanturnicza, i legendą owiana na wzór Buffalo Billa, głośnego w tych samych latach na preriach Ameryki Północnej zucha. Łatwo się dogadali: Church, rząd Boliwii i rząd Brazylii. Church uzyskał od nich świetne koncesje i z tym udał się do Londynu, gdzie wówczas rej wodził kapitał najpotężniejszy na świecie, a śmielszy niż Wall Street w Stanach Zjednoczonych, wciąż osłabionych po wojnie domowej.

Więc wymowny inżynier chętny znalazł [posłuch w Anglii,

50

gdy prawił o bajecznych bogactwach Boliwii — the fabulous riches of Bolivia.

Przekonał angielską finansjerę, porwał akcjonariuszy do sypnięcia forszą, zapalił inżynierów.

Zasobna firma Public Works Construction Company wysłała w 1871 roku nad Mądeirę na zwiady dwóch inżynierów, Rossa i Kierzkowskiego. Gdy przybyli do Sao Antonio, usłyszeli, owszem, szum najbliższych progów, widzieli ścianę okropnej puszczy,

napierającą na nędzne chaty, i dowiadywali się o grasującej malarii, ale, pewni siebie i butni, wiedzieli, że nic nie oprze się sile pieniądza. Cały świat korzył się przed potęgą funta szterlinga, musiała więc ulec także i puszcza. Dwaj inżynierowie, upojeni swą dumą, symbolicznie uderzyli łopatami w ziemię i do Londynu przywieźli ponętne

sprawozdanie. Wydali wyrok. Wyrok na puszcę, jak sądzili.

W kilka miesięcy później przybyła do Sao Antonio pierwsza ekipa co najlepszych

inżynierów angielskich wraz z robotnikami, bogatym sprzętem i z szynami. Wszakże nieszczęścia spadały na nich od pierwszej niemal chwili. Ledwo ludzie ścięli pierwsze drzewa i tylko co zaczęli kopać tor, a już z nóg ich zwały koszarne malarie i krwawe biegunki, i inne nieznane choroby, na które nikt nie znał rady. Przychodziła śmierć, coraz częstsza śmierć. Do tego raz wraz z gęstwiny wypadały podstępne

strzały Indian Karipuna.

Angielskie kierownictwo robot składało się z ludzi doświadczonych, typowych

pionierów ery wiktoriańskiej. Zaprawieni do zwalczania przeciwności, nawykli do zwycięstw, wliczali w swe przedsięwzięcia straty ludzi. Ale obecnie, nad rzeką Madeira, ludzi ginęło dużo, zbyt wielu. Brak rąk roboczych stawał się problemem.

Przy tym wychodziła na jaw inna, przykra prawda: było za mało pieniędzy. W

Londynie obliczono koszt budowy 360--kilometrowego toru na siedemset tysięcy

funtów szterlingów i tyle też funduszy zebrali akcjonariusze towarzystwa Madeira--

Mamre Railway. Teraz, wobec niespodziewanych trudności terenu, suma ta okazała się tragicznie niedostateczna. Inżynierowie z osłupieniem stwierdzali, że będzie potrzeba dwa razy

51

r

więcej pieniędzy, trzy razy więcej, a może i to nie starczy — i zaczęli się niepokoić.

Dumni synowie Albionu jeszcze nadrabiali miną, jeszcze chcieli składać dowody

swego hartu — daremnie: puszcza była silniejsza. Choroby wytręcały kilofy z rąk robotników, dobywających ostatnich sił, a gdy coraz więcej inżynierów ponosiło

śmierć, przyszła katastrofa: praca ustała w rok po jej rozpoczęciu i wszystko się zawaliło.

Firma Public Works Construction musiała zerwać kontrakty, a krótko potem, z

końcem 1873 roku, całkowicie wycofać niedobitków z Sao Antonio. Z miejsca klęski uchodziła w takim pośpiechu, że musiała pozostawić za sobą na pastwę losu i lasu sprzęt, dobytek i rozpoczęte szyny.

O ówczesnej panice i rozstroju nerwów dobitnie świadczył ponury raport o

przyczynach katastrofy, raport złożony władzom w Londynie przez ostatnich |

uchodzących inżynierów W tym dokumencie między innymi wywodzili: „Ów teren

jest czeluścią leśnej zgniłości, w której ludzie umierają jak muchy. Jest to złowrogi region, pełen na przemian skalistych formacji i nieprzeniknionych moczarów. Nawet gdyby narody rzuciły nad Madeirę wszystkie swe kapitały i przysłały do pracy połowę swej ludności, za nic w świecie nie zdołałyby tu zbudować toru kolejowego”.

Roztrzęsienie ludzi, wyprowadzonych z równowagi nieszczęściem, które na nich

spadło, poniekąd usprawiedliwiało taki ton. Tak samo zgodne z istotą rzeczy było to, co po klęsce rozegrało się w Londynie, w kołach finansjery. Potentaci, przywykli do drapieżności i łatwych łupów na całym świecie, nie mogli znieść przegranej nad

Madeirą. Więc rozdrażnione lwy zawyły. Więc i bóg-pieniądz się rozsierdził, a kapłani jego, jak przystało na ducha czasu, wyładowywali nawzajem swą złość w licznych

procesach sądowych, skarżąc nawet daleki rząd Boliwii. Śmieszność zazębiała się o tragedię, farsa szła w parze ze zgrozą.

62

Gdy łowiąc motyle wychodziliśmy ze śródmieścia Porto Velho torem kolejowym,

stąpaliśmy po drewnianych progach. Były zmurszałe, nadgniłe, bardzo stare. O tych progach Brazylijczycy z przekąsem i nie bez patosu mówili, że pod każdym z nich leżał

jeden trup robotnika. Oczywiście przejaskrawiali, ale chyba nie tak bardzo, jeśli chodzi o pierwszy okres budowy toru. Wtedy niewiele zbudowano, a rzeczywiście

wiele ludzi zginęło.

Więc żywo uganiał się na nieszczęsnych progach za motylami, przyjaźnie

witaliśmy przechodniów, z ochotą spozierali na gładkie dziewczyny i było nam dobrze na duszy, aż do czasu. Dopóki klimat, tak samo paskudny jak ongiś, nie wszedł w paradę. Zatem owe wrzody, jakie wylazły nam na cielska, okrutnie swędziły; i żałość nas chwytła, i była to kara niebios i słońca. A gdy świat nam tak sposepniał, przysła skrucha i wtedy, dopiero wtedy pomyśleliśmy, pohańce niepoczesne, o szpetnych

rzeczach, tkwiących pod progami toru.

13. Drugi atak i męka Włochów

Klęska Anglików nad Madeirą była także klęską pułkownika Churcha, którego sprawa wraz z towarzystwem Madeira-Mamore Railway zawisła w powietrzu. Ale rzutki

jankes nie dał za wygraną. Na koncie towarzystwa wciąż pozostawały fundusze w

bankach londyńskich i rząd Brazylii jeszcze dorzucił do nich czterysta, tysięcy funtów, więc było czym podjąć walkę i rzucić się na puszcę. Church, Amerykanin, zawiódł się na Anglikach, szukał teraz twardszych ludzi. Rozglądał się po własnym podwórku.

Potrzebował Amerykanów.

„Zuchwali, gotowi na wszystko, zahartowani w boju, nieprawdopodobnie energiczni”

— tak jankesów całkiem słusznie wychwalał w swych „Listach z Ameryki” Henryk Sienkiewicz, który właśnie w tym czasie przejeżdżał przez Stany do Kalifornii. Zatem oni wydawali się jedynymi na świecie chwataami.

by sprostać zadaniu nad Madeirą. Znana i doświadczona firma Collins z Filadelfii podjęła się roboty.

Tymczasem prasa amerykańska, skwapliwie rozagitowana, wpadała w zachwyty nad

„krajem tak pięknym jak Ogród Boży”, a Church publicznie zapewniał, że „nie jestem fantastą i wiem, co mówię: Skoro ukończymy to monumentalne dzieło nad Madeirą,

bogactwa Australii i Kalifornii zbledną wobec ilości złota z gór Boliwii i wobec obfitości nieprzebranych plonów z lasów tamtych nizin”. Toteż nie dziwić się, że osiemdziesiąt tysięcy zapaleńców dobijało się do biur Collinsa, by wziąć udział w wielkim dziele, ale na pierwszy transport wybrano tylko kilkudziesięciu inżynierów i trochę ponad dwustu robotników. Wybrano najlepszych z najdzielniejszych.

Amerykanie, mądrzy po szkodzi Anglików, nie zapomnieli

o lekarzach i gdy w lutym 1878 roku dopłynęli do okrzykanego Sao Antonio, nie było w całej • Ameryce lepiej zaopatrzonej

i pewniejszej siebie ekipy. Niestety, zbyt pewnej siebie. Niestety, także dziarskość Amerykanów zawiodła. Tak samo jak na Anglików, choroby rzuciły się na

Amerykanów od pierwszych po prostu chwil, pomimo obecności lekarzy. I zadęczały ludzi nie tylko choroby, biegunki, beri-beri, żółte febry, ale także wszelkie robactwo wypadało złośliwie z puszczy i ludziom utrudniało życie. Węże wślizgiły pod posłania, osy kłuły do nieprzytomności, termyty zżerały koszule i spodnie, wielkie karaluchy dziurawiły moskitiery.

Już w miesiąc po przybyciu Amerykanów zarysowało się w Sao Antonio widmo

klęski. Tych i owych zaczęła nękać myśl

o ucieczce. Wielu popadało w początki obłądzenia. Robotnikom, mozolącym się w błocie po łydki, po pas, koszarne wizje odbierały w nocy sen. Indianie Karipuna, znowu jak przed kilku laty, strzelali do białych intruzów z gąszczu. Sao Antonio przeobrażało się w jeden potworny szpital.

Na domiar zaczęło brakować żywności, a wtedy właśnie statek „Metropolis”, wiozący z Filadelfii następnych robotników

I zapasy prowiantu, rozbił się u wybrzeży Karoliny. Wiele ludzi

54

zatonęło, cały prowiant przepadł. Głód, coraz dotkliwszy w Sao Antonio, potęgował

choroby. Kierownictwo budowy musiało chwycić się coraz brutalniejszych środków, by robotników trzymać w korbach i udaremniać im dezercję: ich obowiązkiem było, by ginęli w służbie przedsiębiorstwa Collinsa, skoro raz się zgodzili na pracę.

Wymagał tego bóg-kapitał.

Owo postępowanie z robotnikami, jak gdyby byli w niewoli, doprowadziło w trzecim miesiącu robót do rozruchów. Wtedy nowy transport przywiózł blisko pół tysiąca

przybyszów z północy, a wśród nich przeszło dwustu amerykańskich Włochów.

Zarząd budowy, patrząc na tychże z góry jako na ludzi podrzędnych, traktował ich odpowiednio i płacił im za tę samą pracę znacznie mniej niż innym Amerykanom.

Gdy rozgoryczeni zbuntowali się przeciw upośledzeniu i zastrajkowali, kierownictwo uznało to za rewoltę i chciało do nich strzelać. Nie doszło do tego, natomiast ośmiu najbardziej niezadowolonych Włochów pod groźbą karabinów skuto w kajdany i

najbliższym transportem odesłano do Stanów Zjednoczonych, by oddać ich tam pod

surowy sąd. Ale było to uderzenie w próżnię, gdyż rzekomym przestępcom nic się w Stanach nie stało: w obronę wzięła ich prasa amerykańska, coraz nieprzychylnie

odnoszącą się do praktyk nad rzeką Madeirą.

Natomiast włoskich robotników, pozostałych w Sao Antonio, amerykańscy

przedsiębiorcy przykładnie ukarali: Włosi, nie mając innego wyjścia, musieli pod zbrojną strażą pracować za pół darmo, przy czym otrzymywali lichszą niż inni stawę.

I w podobny sposób skąpiono im lekarstw; więc grupa ich szybko topniała

wymierając.

Terroryzowani, a świadomi smutnego losu, jaki ich czekał, ludzie ci zdobyli się na rozpaczliwy krok: pewnej nocy blisko osiemdziesięciu Włochów uciekło. Nie w dół

rzeki Madeirą, gdzie wrogie im władze brazylijskie mogły ich uwięzić na polecenie Collinsa i

zawrócić, lecz umknęli w górę rzeki, na południe. Przedzierając się przez puszcze, mieli nadzieję, że dotrą do granicy boliwijskiej, oddalonej w locie ptaka o niewiele ponad sto kilometrów od Sao Antonio.

55

Amerykanie nie wszczęli pościgu za nimi. W obozie dość mieli innych kłopotów.

Zresztą przekonani byli, że zbiegowie, źle uzbrojeni i bez zapasów żywności, nie ujdą kary i zginą W puszczy, chociażby z rąk Indian Karipuna. I następne tygodnie jak gdyby potwierdzały rachuby przedsiębiorstwa: zbiegowie przepadli w gąszczu po

prostu jak kamień w wodzie, żadna o ich losie wieść nie dotarła już do Sao Antonio.

Dopiero wiele lat po tych wydarzeniach wyszło na jaw, że Włosi nie zginęli, lecz dobrnąwszy do Boliwii woleli nie ujawniać się władzom, sprzymierzonym z

przedsiębiorstwem Collinsa. Więc rozproszyli się po kraju, a wielu uciekało dalej, do Paragwaju i nawet do Argentyny. Warto poświęcić kilka słów ich przygodom w lasach nad Madeirą, bo była to istna odyseja, nie pozbawiona dziwactw.

W trzy dni po ucieczce z Sao Antonio Włosi dotarli do hacjendy Boliwijczyka Oyolas, żyjącego na terenie Brazylii, i nie pokazawszy się nikomu, wykradli wszystkie w tym osiedlu czółna. Sunąc dalej w górę Madeiry, wkrótce ujrzeli łódź, płynącą im

naprzeciw, a pełną zapasów żywności i Indian. Dwóch niewolników Boliwijczyka

Oyolas przywoziło z głębi Boliwii pięć młodych Indianek, przeznaczonych dla

samotnych peonów na hacjendzie. Dla Włochów gratka nie lada: potrzebowali

prowiantu i przewodników, by dostać się do szczepu Mozo, więc całą indiańską

paczkę wzięli do niewoli i kazali jej płynąć z powrotem do Boliwii. Indianie chętnie ulegli przemocy, bo miło im było wracać do ojczystych stron. \_

Niestety, tarapaty wynikły przy podziale pięciu młodych Indianek. Każdy z chwatów chciał mieć jedną dla siebie, a przecież kandydatów było blisko osiemdziesięciu. Ostra kłótnia między gachami przeszła w zawziętą bójkę, Zanosilo się na rozlew krwi i ostateczną katastrofę grupy uciekinierów. Na szczęście rozsądniejsi wśród

galopantów dorwali się do słowa i przekonali innych. Uchwalono, że wobec

niedostatecznej liczby branek one same miały dokonać wyboru swego towarzysza.

Wybrały — i w dalszej podróży zapanowała zgoda, niemal sielanka, bo dzielne



dziewoje nie były ani gnuśne, ani skąpe w łaskach dla

::56

wszystkich. W ciągu następnych tygodni dokładały uczciwych starań, by nikt z

Włochów nie czuł się pokrzywdzony.

Niewątpliwie dwaj: Indianie przewodnicy wielce przyczynili się do zwalczenia

przeszkód w podróży i do szczęśliwego wybrnięcia z lasów, toteż Włosi byli im bardzo wdzięczni. Na pożegnanie oddali im w nagrodę dziewczyny, wszystkie pięć pomyślnie przy nadziei.

#### 14. Zwycięstwo puszczy i męka Amerykanów

Tymczasem w Sao Antonio działo się coraz gorzej. Stale brakowała rąk do pracy,

ludzie chorowali, część umierała, a także ci nieliczni, którzy przychodzili do roboty, z trudem trzymali się na nogach. Budowa toru kolejowego postępowała w beznadziejnie ślimaczym tempie. Collins, który sam wszystkiego doglądał, był w Stanach jednym z najwziętszych inżynierów i zbudował setki mil najlepszych torów kolei żelaznej: tu zawiódł. Makabryczna puszcza była niezwalczona.

W maju tegoż roku 1878 przypłynął ze Stanów jego brat, również inżynier. Niestety, po kilku dniach, przy pracy w lesie, tuż w pobliżu Sao Antonio, ugodziła go w pierś strzała indiańska i na tygodnie przykuła do łóża szpitalnego. Przybyła również żona Collinsa, by dodać mu otuchy, ale po tygodniu zaczęła zdradzać objawy rozstroju nerwowego. W nocy miewała okropne sny i przeraźliwym krzykiem budziła ludzi.

:

Po ucieczce Włochów ściągnięto pośpieszonymi statkami pięciuset robotników z Cearś, brazylijskiego stanu nad Atlantykiem, zatem ludzi tubylczych i do klimatu

wdrożonych, ale i oni nie pomogli. Choroby miały ich się w większym nawet stopniu niż Amerykanów z północy i bardziej wycieńczały.

Do dnia święta narodowego USA, 4 lipca 1878, ułożono tylko trzy kilometry szyn, piętnastą część tego, co było w planie. Na domiar, gdy w owym dniu uroczyście

puszczono w ruch

57

pierwszą lokomotywę, ta fujara wykoleiła się: zły znak przygłębił robotników.

Choroby łącznie z nieustannym brakiem żywności rzucały się ludziom na nerwy i

powodowały niesamowite nastroje. Dni pełne czarnej melancholii przeplatały się z chwilami niedorzecznej radości i absurdałnych uniesień. Na przykład robotnicy,

przywykli do najgorszych prostytutek, jakie do Sao Antonio sfrunęły z całej Amazonii, wpadali w historyczny zachwyty, gdy przypadkiem spotykali uczciwą, normalnie

zachowującą się dziewczynę. Kiedyś ujrzawszy nad brzegiem rzeki młodzieńca

Metyskę, córkę jakiegoś zbieracza kauczuku, olśnieni jej wdziękiem, patrzeli na nią zahipnotyzowani jak na świętą i niemal modlili się do zjawy. Wydawała im się Ewą z raju.

W lipcu przysłano ze Stanów nieco zapasów żywności, co robotnicy powitali szalem radosnego upojenia. Znalazł się natchniony Homer i spłodził okolicznościowy hymn tudzież melodię, a podnieceni robotnicy, jak zwariowani, zaczęli śpiewać o rzece i o puszczy:

Kocham, Madeiro, twe skały i dzikie prądy, Kocham twe gąszcze i wzgórza

świętynne...

Ale zdziwaczała idylla nie trwała długo, żywność szybko się wyczerpała i bieda znów zajrzała ludziom w oczy. Do końca tego roku, a więc w ciągu dziewięciu miesięcy, wybudowano raptem sześć kilometrów toru, podczas gdy do celu pozostało trzysta

sześćdziesiąt kilometrów: oplakany wynik robót. W następnym roku, 1879, sytuacja pogorszyła się do absurdu, gdy do wszystkich kłopotów doszedł ostatni cios:

niewypłacalność. Finansiści londyńscy, akcjonariusze Madeira-Mamore Railway

Company, odmówili przysłania pieniędzy Amerykanom i to do reszty dobiło

przedsiębiorstwo Collinsa.

Rygor w Sao Antonio już dawno skruszał, dezerterów przestano gonić, nastąpiła

anarchia, a w połowie roku dano za wygraną i krótko potem polecono ludziom odwrót na własną rękę, na zasadzie: ratuj się, kto i jak może. Odwrót z głębi obcego,

58

dzikiego kontynentu, bez centa przy duszy, wobec odległości trzech tysięcy

kilometrów do ujścia Amazonki, a dziewięciu tysięcy do Nowego Jorku — zamienił się w koszmar. Oczywiście parowce ze Stanów Zjednoczonych, nie widząc interesu, już od dłuższego czasu nie przybywały do Sao Antonio.

Była to jedna z najczarniejszych kart w historii USA. Kraj ojczysty haniebnie opuścił

swych obywateli, zaliczanych przecież do najlepszych jego synów; z lekkim sercem zdradził ich i skazał na poniewierkę i śmierć.

Czytamy w dokumentach z owych czasów między innymi: Grupa jedenastu

amerykańskich robotników przywłaszczyła sobie łódź w Sao Antonio i bez prowiantu, prawie bez grosza, puściła się w dół rzeki Madeira. Na skutek wyczerpania i cierpień, znoszonych po drodze, wszystkim mniej lub więcej mieszały się zmysły, a jednego szaleńca, niebezpiecznego dla reszty, musiano po drodze usunąć z łodzi i porzucić na bezludnym brzegu.

Po dziewiętnastu dniach wędrowcy dotarli do osady Serpa, gdzie zastali brazylijski parowczyk, typową na wodach Amazonki gayolę. Za byle co spieniężyli swą łódź i

przenieśli się na parowiec, płynący do Belém u ujścia Amazonki. Byli obdarci i bez pieniędzy, więc kapitan wpakował ich do klitek z bydłem, żywił odpadkami z kuchni załogi i w ogóle traktował jak ostatnich niewolników: w owe czasy jeszcze istniało niewolnictwo w Brazylii, chociaż odnosiło się tylko do Murzynów.

W Bele"m nowa rozpacz, bo konsul amerykański miał ich za wyrzutków

społeczeństwa i powitał jak złoczyńców. Prośbę ich o pomoc odrzucił z oburzeniem, fuknąwszy na nich, że zadaniem rządu Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej nie było udzielanie pomocy wszystkim włóczęgóm, jacy szwendają się po świecie i

wyciągają brudne łapy po jałmużnę. — Nie! — zawołał konsul i kazał ich wyrzucić. Od głodowej śmierci ratowała ich litościwa biedota z przedmieść Belém.

Wreszcie przypadkowo przybył do Sao Antonio parowiec „Teotónio” i do Belém zabrał

ostatnich Amerykanów. Było ich dwunastu inżynierów i dwustu dziewięćdziesięciu

dziewięciu

59

robotników. Szyny, wszelkie urządzenia kolejowe i narzędzia musiano znowu porzucić na łaskę losu — tak samo jak po klęsce przed sześciu laty.

Do Belém przyplłynęła horda ostatnich nędzarzy. Dziesięciu hołyszów można było

zbyć jako nikczemnych oberwańców; przeszło trzystu urastało do tragicznego

problemu. Więc konsul amerykański raczył tym razem odwołać się do miłosierdzia

mieszczanstwa w Belém. Niestety gąb było wiele, darów zbyt mało; dorywcza pomoc na krótko starczyła. A ratowniczy statek ze Stanów nie przybywał tygodniami.

Nieszczęsne postacie Amerykanów tłukły się po mieście jak zgraje wygłodniałych

psów i przedstawiały żaloszny widok. Wyrazy: Amerykanie i żebracy, zrastały się w jedno pojęcie. Niektórzy uciekali się do kradzieży, inni do przygodnego rabunku.

Straceńcy, coraz głodniejsi, nie wstydziły się żebrać publicznie na ulicach. Widziano sceny, gdy bili się z psami o kawał ochłapu na śmietniskach.

Dopiero po wielu tygodniach zjawił się statek ze Stanów Zjednoczonych i uwolnił

Belem od zmory półobłąkanych obdartusów. Przez długie jeszcze lata robotnicy z nad Madeiry jęczyli przez sen, gdy śniły im się straszne drzewa; nie mogli wyplątać się z koszmaru tropikalnej puszczy.

Według statystyki zginął w Sao Antonio co czwarty jarikes (dokładnie: 23,6 procent), wielu przepadło w czasie ucieczki na rzekach, wszyscy wyszli złamani. Sam Collins stracił cały majątek tudzież żonę, która umarła w szpitalu dla umysłowo chorych.

Obliczono, że spośród robotników indiańskich, głównie Mozo, i tych, którzy przybyli z Ceara, połowa postradała życie przy pracy: zbudowanie siedmiu kilometrów toru

kolejowego okupiono życiem przeszło tysiąca ludzi.

Dwadzieścia pięć lat przed tą amerykańską katastrofą dwóch oficjalnych

podróżników, Herndon i Gibbon, wysłanych przez Waszyngton, badało rzeki Madeirę i Amazonkę i następnie w książce wydanej w roku 1854 pisało: „... Gdyby brzegi tych 60

rzek zapełnić ludnością rzutką i pracowitą, gdyby wprowadzić tu parowce i koleje żelazne, pługi i motyki, gdyby kraj podzielić na wielkie latyfundia i przydzielić im niewolników do robót, to nietrudno będzie dojść do wniosku, że żaden obszar na

powierzchni ziemi nie ma tak korzystnego położenia jak dorzecze Amazonki, i że jeśli życie i handel raz tu się zagnieżdżą, to potęga i bogactwo starożytnego Babilonu tudzież nowoczesnego Londynu w cień zejda wobec potęgi i bogactw, jakie tu, w tych szczęśliwych, bujnych dolinach, się zrodzą... Te lasy i ich niewyczerpane zasoby winny wywołać przede wszystkim nasze, Amerykanów, zainteresowanie, a nie

Europejczyków. I nam, Stanom Zjednoczonym, winien przypaść największy pożytek

oraz zysk z darów Amazonii...”

15. Trzeci atak: kto wygrał?

Br azyli językom psuło humor i raniło ich patriotyczne ambicje, gdy sobie

uświadamiali, że nad Madeirą, na ziemi brazylijskiej, buszowali cudzoziemcy. W razie powodzenia im, obcym, przypaść miały bajeczne zyski i chwała. Nie należało do tego dopuścić, więc już w dwa

lata po klęsce Amerykanów, przybyła do Sao Antonio

komisja Morsinga, by rozejrzeć się w sytuacji. Carlos Morsing, Brazylijczyk

szwedzkiego pochodzenia, stał na czele kilku brazylijskich inżynierów i nic nie wskórał nad Madeirą. Wszystkich natychmiast zaatakowały choroby, dwóch umarło,

po czym reszta wycofała się, wygnana przez molocha puszcę.

W kilka miesięcy później, w roku 1883, nie lepiej powiodło się następnej brazylijskiej wyprawie. Kierownikiem był tym razem inżynier Julio Pinkas, Brazylijczyk

pochodzenia austriackiego. Jego ekipa składała się z piętnastu młodych inżynierów.

Przeważnie pochodzili oni z zamożnych rodzin i arystokracji, a jako urodzeni w Brazylii byli pewni siebie, że uporają się z przeciwnościami i „dadzą jankesom lekcję budowania kolei”.

61

Nie dali, nie uporali się. Puszcza od razu wzięła za kark pyszałków i utarła im nosa.

Gdy przycisnęły ich zwykle nad Madeirą choroby, a jeden z nich, inżynier Indio do Brasil, przeniósł się na tamten świat, gębaczom zrzedły miny. Uciekli rozdygotani.

Puszcza nad górną Madeirą była rzeczywiście piekłem. Wciąż przerażała ludzi i nie dopuszczała ich do siebie. Przez długie lata już nikt nie próbował jej ujarzmić, wydawała się niedostępna. Ludzie starali się wytrzeć ją z pamięci.

Ale nie mogli.

W lasach nizinnej części Boliwii dobywano coraz lepszych gatunków kauczuku,

najbardziej poszukiwanych na rynkach świata, a ów świat potrzebował cennego

produktu coraz gwałtowniej i w coraz większych ilościach. I płacił, płacił coraz więcej.

Tymczasem mijał wiek dziewiętnasty i przeżywały się porywiste improwizacje w

dalekich krajach. Z mody już wychodziło rzucanie się z motyką na słońce i

bohaterstwo wojowania z tropikalną puszcą —, półśrodkami. Technika, nabierająca żywiołowego rozpędu, stwarzała nowe narzędzie, nieodparte i równie bezwzględne jak puszcza, i stwarzała nowych ludzi, twardych i nieustępliwych. A równocześnie

wytwarzano nowe lekarstwa, zwalczające choroby tropikalne lepiej niż dotychczas. Ci nowi ludzie, już w nowych warunkach, jeszcze raz zabrali się do puszczy nad Madeirą i tym razem przeprowadzili swoje: zbudowali tor kolejowy do końca, wypuścili

boluwjski kauczuk na szeroki świat.

Działo się to w okresie najzawrotniejszych cen za kauczuk. Boliwia w 1903 roku odstąpiła Brazylii wielki szmat puszczy na swej północnej granicy — Acre, za co Brazylija zobowiązała się doprowadzić do końca kolej nad Madeirą. I doprowadziła, powierzając budowę najdzielniejszym w owe czasy inżynierom i zdolnym do

wszystkiego kapitalistom: Amerykanom.

Firma May, Jekyll and Randolph przystąpiła w 1907 do pracy jak do wojny: nie licząc się z ludzkim życiem. Puszcza broniła się znowu ze zwykłą zaciekłością i pomimo licznego korpusu medycznego zabijała napastników setkami, potem tysiącami.

62

Ale tym razem każdego poległego zastępowało dwóch nowych żywych. Ginęli przede

wszystkim robotnicy-szeregowcy, Brazylijczycy i ludzie z krajów Ameryki Łacińskiej, także Indianie, natomiast mniej ginęli jankesi, inżynierowie-starszyzna.

Oni trzymali w ryzach międzynarodowe zbiorowisko drakońskimi sposobami: kto nie zażywał chininy, nie dostawał żywności; kto łyknął wodę nie gotowaną, temu groziła kara śmierci. Dwóch robotników, pijących taką wodę, rozstrzelano dla odstraszenia.

Pomimo radykalnych środków cztery piąte ludzi stale leżało chorych w szpitalach, ale

— oto nowe czasy! — ręk do roboty nie brakowało: Amerykanie płacili nieźle, więc uboga gawieź tłumnie się zbiegała ze wszystkich stron świata.

Amerykanie energicznie działali. Ponieważ osławione Sao Antonio wydało im się zbyt malaryczne i przeżarte chorobami, zbudowali o sześć kilometrów w dół rzeki nowe osiedle i tak powstało dzisiejsze Porto Velho. Urządzili je sobie na swój sposób i solidne wzniesli domy z drzewa, przywożonego z Kanady i z Australii. Straszna

puszczę odepchnęli na odległość kilkuset metrów i wystawili gigantyczny szpital.

Szpital przewyższał wszystkie inne budynki, ale nie powstrzymał śmierci. Pomimo że wielu było lekarzy, nieznanne choroby, także niewyleczalne rodzaje malarii, zabijały wciąż ludzi. A jednak budowa toru kolejowego nie ustawała ani na chwilę.

Amerykanie byli coraz bardziej nieugięci wobec puszczy, a coraz bezwzględniej si dla ludzi. Szczególnie srogo obeszl się z sześciuset Niemcami, którzy zwerbowani w Europie, przybyli nad Madeirę w drugim bodaj roku budowy. Gdy przybysze zobaczyli piekło chorób, panujące w Porto Velho, nie chcieli zejść z parowca, na którym

przyłynęli, i postanowili natychmiast wracać do Niemiec. Przedsiębiorstwo

budowlane na to się nie zgodziło. Ażeby poskromić buntowników, odmówiło im

żywności i głodem zmusiło ich do wylądowania. W ciągu trzech miesięcy połowa

Niemców wymarła, większość reszty zaludniła szpital. W końcu tylko sześćdziesięciu pozostało przy życiu. Prześladowani przez zarząd przedsiębiorstwa, potajemnie

sklecali tratwy, wykradali żywność i którejs nocy wypłynęli w dół rzeki. Nie

63

ścigano ich, ale mimo to nikt ze zbiegów nie wydobyl się z matni, wszyscy po drodze zginęli. Nawet śladu nie pozostało po nich z wyjątkiem jednej tratwy, na której kabokle w pobliżu ujścia Madeiry do Amazonki znaleźli pięć odciętych głów:

niewątpliwie sprawka doprowadzonych wtedy do rozpaczy Indian Parintin-tins.

W kwietniu 1912 roku nieugięci Amerykanie wygrali bitwę z puszcza. Po pięciu latach mordęgi doprowadzili szyny do ostatniej stacji, Guajarś Mirim, o 364 kilometry od Porto Velho.

Był to wspaniały wyczyn na miarę kontynentalną. Wielu się dziwiło i nie posiadało z radości, cała Ameryka była pełna dumy i podziwu.

Ogółem przedsiębiorstwo zatrudniało 21717 pracowników, z czego przeszło 6 200

zginęło w czasie budowy lub bezpośrednio potem, a drugie tyle zmarło nieco później na skutek starganego nad! Madeirą zdrowia.

Ostatnie miesiące robót były szczególnie gorączkowe: rynki świata, łase na boliwijski kauczuk, (płaciły za niego fantastyczne ceny. Amerykańscy przedsiębiorcy już pławili się w wizjach bajecznych zarobków (visions of untold riches, pisał o tym autor Willard Price), których spodziewali się z kolei Madeira-Maino-rś, a które w ich oczach

usprawiedliwiały znój i straty w ludziach.

Wszystko to potwornie się zawaliło, ledwie ukończono ostatni kilometr toru. Miraże diabli wzięli. Los spletał znowu nad Madeirą niesamowitego figla. Akurat w okresie ukończenia toru nastął katastrofalny kryzys światowy na amazoński kauczuk na

skutek pojawienia się na rynkach międzynarodowych plantacyjnego kauczuku z

dalekiego Wschodu. Ceny spadły na łeb na szyję, niebywała koniunktura Amazonii, sztuczna jej świetność z dnia na dzień runęła. Wysilek budowy toru okazał się

okrutnym majakiem, tysiące pracowników na próżno zginęło.

Zniechęceni Amerykanie odstąpili nad Madeirą miejsca Anglikom, ale i ci wielkiego pożytku nie

wydusili z interesu. Kolej, nieustannie chromającą i przez dwadzieścia lat broniącą się przed bankructwem, musiał przejąć za bezcen, w 1932 roku,

64

rząd brazylijski, żeby w ogóle coś tam się [poruszało między Porto Velho a Guajara Mirim.

Więc koniec końców czy puszcza zwyciężyła? Chyba tak. Dwa razy w tygodniu

niemrawo wlokło się widmo pociągu wzdłuż progów na rzece Madeirą, kaleki

zgrzybialec. Na całej trasie puszcza z jednej i z drugiej strony napierała na tor, jakby go zadusić chciała.

A tymczasem wielkie motyle, niebieskie Morphy, wylatywały z lasu i było ich tu

dziwnie wiele. Powiewne i bajecznie lśniące, wywoływały wspomnienia bujnych

mrzonek, śnionych tu przez ludzi kilku pokoleń. Niezwykłe motyle jeszcze bardziej uzmysławiały całą czarującą potęgę tej strasznej i wspaniałej puszczy.

Piękna, straszna Amazonia i raj wyrzutków i awanturników

Pociąg odchodził o szóstej rano w stronę Guajara Mirim, ale my, wygi podróżnicze, zjawiliśmy się na dworcu jeszcze przed piątą, ażeby przekonać się, że dziesiątki sprytniejszych wyg nas już wyprzedziły. Podczas gdy ja przeciskałem się po bilety, Zygmunt Pniewski pobiegł do pociągu, by zająć dla nas miejsca — i spóźnił się.

Albowiem współpasażerowie, na pół dzicy kabokle, których było całe mrowie, mieli te same cechy co podróżni na warszawskich dworcach: na chwilę zamieniali się w hordę srogich zwierząt, rwali do wagonów jak furiaci i brutalnie odpychali mniej dzikich od siebie.

Więc dostały nam się w wagonie najgorsze miejsca, tuż obok klozetu. Od samego

początku nie było w nim wody do spłukiwania, a ludzie wciąż biegali, więc wzmagał

się dokoła nas fetor coraz jędrniejszy. Rzecz przykra, chociaż rzewnie łagodzona nowym przypomnieniem ojczyściej niwy: między Poznaniem a Warszawą w ekspresie

„Lechu” często także brakowało wody i mocne powstawały zapachy. Swojskość, jakby nie było, szła w Brazylii wiernie za nami i czasem, choć niepachnąca, roztkliwiała.

Ludzie, po uniesieniach przy zdobywaniu wagonów, szybko się uspokoili. Nie w ich naturze była długotrwała kłótność, toteż wnet złagodnieli i posypały się sąsiedzkie pogaduszki o niczym i o wszystkim, ale głównie o niczym. Wiadoma rzecz, że Brazylijczycy lubili popisywać się krasomówstwem i mieli żyłkę do elokwencji, a wielu



cudzoziemców dopatrywało się w tej swadzie przejawu wrodzonej uprzejmości.

Gdy tego poranka rozwidniło się na dobre, wagon nasz zaszumiał różg warem jak

gdyby tysiąca pszczoł w ulu, ach, i znowu przywoływał na pamięć — do licha z tym wspomnianiem — tym razem wylęgarnię ploteczek w poznańskiej „W—Z”, uroczej kawiarni starszych pań. Z tą tylko różnicą, że tu w wagonie kaducznie śmierdziało i że przeważnie gadała płeć męska, a ludzie przechodząc do wygodki, obrzucali nas,

rzekomych ijan-kesów, niezbyt przyjaznym wejrzeniem.

Cóż to byli za ludzie? Oczywiście kabokle, mieszkańcy brazylijskich lasów. Stanowili chyba najbardziej złożony pod słońcem zlepek ras, przedziwną mieszankę murzyńsko-indiańsko-hiszańsko-portugalskich nasion i chyba nie było na świecie etnografa czy rasologa, który by połapał się w wiatrach, jakie zewsząd przywiały różnolite ziarna w to ludzkie zbiorowisko.

I nikt, żaden działacz społeczny, nie potrafiłby także wyniuchać ich zawodu i ustalić, co robili i z czego żyli. Żyli z tysiąca małych rzeczy, a dzielili się jak gdyby na trzy kategorie. Puszczą, rzeka, granica umożliwiająca przemyt tudzież poletka na nikłych wyrębach żywiły pierwszą kategorię, tych najmniej rozgarniętych. Sprytniejsi kabokle, należący do drugiej kategorii, uprawiali ciemne kombinacyjki i niedaremnie nosili przy sobie luźny nóż. Natomiast najcwańsi, niebieskie ptaszki, zapewne jacyś ukryci przestępcy w odstawce, których było tu niezwykle wiele, oddawali się szczeremu

nieróbstwu i nic nie siali, a coś tam do gęby zbierali.

Ich wszystkich Brazylia, ta bardziej centralna, wypychała na swe piekielne krańce, a wypychała ich przeważnie głodem, zwłaszcza tych pochodzących z Ceara, innych zaś wypłaszala zbyt natarczywym prokuratorem. Nigdy by tu ich tylu nie było, gdyby nie kolej. Z Porto Velho, ostatniego przyczółka cywilizacji, wychodziła na południe żelazną pępowiną długą na trzysta sześćdziesiąt cztery kilometry. Kolej cieniuchną linią wносиła ludzkie życie w leśne pustkowia, a ludzie uczepiali się jej kurczowo jak pasa ratunkowego.

Ci, których widzieliśmy w naszym wagonie, nie wyglądali na zadzierzystych zuchów.

Były to bezbarwne wypędky, niezdarzeńcy o nikłych zapewne myślach i płaskich

nadziejach, mali zarówno w cnocie, jak w przestępstwach, a bezbarwni niezawodnie także i dlatego, że nękały ich choroby, grasujące nad Madeirą.

Ale im dalej od Porto Velho w górę wielkiej rzeki, tym bardziej obraz się zmieniał.

Tam, z dala od władz państwowych, żyli ludzie barwniejsi. Bezkarność i nieprzejrzane ostępy przyciągały śmielsze typy. Także awanturników o zbrodniczych instynktach. W

pierwszych latach dwudziestego wieku, w okresie gorączki kauczukowej, właśnie tam, w lasach pogranicza boliwijsko-brazylijskiego, działy się największe orgie terroru i kompanie zbieraczy

kauczuku dopuszczaly się nieprawdopodobnych okrucieństw.

Dziś minęła zmora dawnej gorączki i nastaly inne, mniejsze problemy, ale duch dziczy pozostał, tylko odmienny przybierając kształt. W Porto Velho wiarogodni obywatele opowiadali nam o istnieniu przedsiębiorczego Libańczyka w Abuna, miejscowości nad koleją u ujścia rzeki Mamore do Madeiry. Onże osobnik, posiadając mały samolot, uprawiał swoisty proceder ludobójstwa podobno jeszcze do ostatnich czasów.

Mianowicie tam, gdzie na terytorium Rondónii zakładano kopalnie kasy-terytu, rudy cynowej, Indianie, żyjący w pobliżu, byli niemile widziani. Ażeby się pozbyć

kłopotliwego sąsiedztwa, wynajmowano Libańczyka, - by sytuację wyjaśnić. Libańczyk załatwiał sprawę na krótkim toporzysku. Samolotem leciał sam jeden, bez świadków, nad wyznaczone mu indiańskie maloki wioski, zrzucał na chaty napalm i odpowiednie bomby, a uciekających do gąszczu Indian dobijał z karabinu maszynowego. Robotę

wykonywał starannie i ponoć niedrogo, a wdzięczne kompanie eksploatacyjne, mając oczyszczony teren, nie skąpiły mu uznania.

Powyżej Guajara Mirim, ostatniej stacji kolei żelaznej, urywała się wszelka więź z cywilizacją, nie było dróg prócz rzek i już bezwzględnie panowało prawo dżungli.

Tam, wzdłuż granicy z Boliwią, z obydwóch stron granicznej rzeki Guaporé, aż do miejsciny Mato Grosso w stanie tej samej nazwy, a za-71

pewne jeszcze dalej, aż do górnych dopływów rzeki Paragwaju, na obszarze nie

mniejszym niż Polska — całkowicie panoszyło się prawo już nie pięści, lecz rewolweru i karabinu. W istocie nie było tam już żadnej władzy, a z rzadka rozsiane strażnice niesfornych karabinierów, zanedbywanych przez przełożonych i przez Pana Boga,

tylko potęgowały zamęt.

Był to klasyczny no man's land, który utrzymał się do naszych dni w jakiejś

pierwotnej, przebrzmiałej formie. Lasy, gęsto przetykane sawannami, dawały tu

schronienie przeróżnym dziwacom spod ciemnej gwiazdy, rozbitkom życiowym,

cudacznym zwyrodnialcom. Ale przybywali także zuchwali łowcy domniemanych

fortun, typy o niepoczytalnym rozmachu i cudacznym honorze. Mieli zazwyczaj przy sobie watahę kapangów, zabijaków posłusznych na skinienie, i tym kresowym

rozłogom nad Guapore narzucali swój maniakalny, samowładczy terror — dopóty,

dopóki nie napotykali zawadiaki drapieźniejszego i o luźniejszym pistolecie.

Ustronia te nad rzeką Guapore tworzyły do dnia dzisiejszego zdumiewający relikwiarz, były rezerwatem nastrojów i wydarzeń, jakie wszędzie indziej na ziemi dawno się przeżyły. Żywcem przeniesione sceny i rozróbki z północnoamerykańskiego Dzikiego Zachodu z połowy XIX wieku nadawały tym brazylijskim kresom nedorzeczny urok,

stwarzały makabryczne nastroje Grand Guignolu — i to było niesamowite i absurdalne.

## II. Diabło romantyczna kolej

Nie, kabokle, jadący w naszym wagonie, nie należeli do śmiałych awanturników znad Guapore i nie śniły im się zuchwałe podboje odległych wertepów. Nie mieli

porywczosci orłów i nad Guapore nie dążyli; wysiadali po drodze na małych,

nędznych stacyjkach o pięćdziesiąt, o sto kilometrów od Porto Velho. Byli szarzy i stłumieni.

72

.»| •--

Gdy pociąg ruszył z Porto Velho, zaczynał się mglisty świt i wkrótce spostrzegliśmy, że nasz wagon, tak samo jak ci ludzie, był pokracznym rupieciem i klekotem pożałuj Boże. Rdza przeżerała na wylot jego części żelazne, a budowa drewniana, okropnie zmurszała, lada chwila groziła zawaleniem się. Kurz i brud, które od lat wgryzały się w gruchot, potęgowały nędzny obraz rozpaczony i zacząłem rozumieć przerażenie Józefa Gadomskiego w Recife, energicznie nas ostrzegającego przed fatalną koleją. Miała zaszarganą opinię.

Na pierwszym, sześciokilometrowym odcinku, do stacji Sao Antonio, pociąg włókł się ociężale, jak gdyby jeszcze nie zbudzony ze snu, i chyba nie robił dziesięciu

kilometrów na godzinę. Tuż obok stacji ujrzeliśmy pierwsze groźne progi na rzece i słyszeli ich donośny szum — szum, który dawnymi laty doprowadzał ludzi do obłądzenia.

Po kwadransowym odsapnięciu w Sao Antonio pociąg ruszył dalej i, o dziwo, zaczął

przyśpieszać. Chojrak, który chciałby teraz wysiąść z wagonu i biec obok, chyba już by nie nadażył. Względna szybkość, z jaką mknęliśmy, mimo woli nasuwała na myśl

nietakt wielu cudzoziemców, tak skłonnych do drwin kosztem Brazylii i jej

mieszkańców. Na krótko przed wyjazdem z Europy czytałem (w książce Wenera

Hoppa: „Zum Vater der Strome”), że szybkość tej kolei wynosiła dziesięć kilometrów na godzinę. Oszczerstwo. Jeszcze przed południem dotarliśmy do stacji Jaci Parana, odległej o 92 kilometry od Porto Velho, wobec czego na mocy własnego

doświadczenia wypadało mi stwierdzić, że pociąg rozwijał przeciętną szybkość nie dziesięciu, lecz

szesnastu kilometrów na godzinę.

Oczywiście z obydwóch stron toru puszcza i puszcza, przerywana tylko co kilkanaście kilometrów ciasną porębą dla kilku chatynek na stacyjkach. Ażeby zieleń nie

spustoszyła szyn na amen, trzeba ją często wzdłuż toru, ale wyplenione pasy

natychmiast, w ciągu niewielu dni, zarastały wtórnym lasem, tak zwaną capoeirą. Ów gąszcz był równie natarczywy i niebezpieczny dla szyn, choć mniej wysoki niż

właściwa, wysokopienna puszcza.

73

W przeciwieństwie do miejscowych ludzi, my, Pniewski i ja, śledziliśmy zbitą masę zieleni z zaciekawieniem. Uświadamialiśmy sobie ukrytą w niej siłę: gdyby przez niewiele miesięcy dać jej wolną rękę, rozrodczość zielonego żywiołu do cna zburzyłaby tor i pokryła go leśnym uroczyskiem.

Brzeg capoeiry, odkryty ku słońcu, był miejscem swoistej sielanki, bo osiedliły tu się liczne kwiaty. Z mroków puszczy wypadły tu na swobodę i rozkoszowały się światłem

— a my nimi. W tropikalnej przyrodzie nie widziało się wielu kwiatów, tu natomiast było ich zatręśnienie. Szczególne wrażenie sprawiały niektóre okazy z rodziny arum, stanowiące jaskrawą prowokację czerwonymi jak ogień kwiatami wśród zielonej

powodzi. A jeszcze wspanialej rzucały się w oczy helikonie. Na wysokich łodygach rosły łańcuchy ich szkarłatnych liści, zwiniętych w kształt mięsistych serc. Owe serca i płomienna ich czerwień zawsze mnie urzekały. Zaczęło to się już przed wielu laty, gdy nad Ukajali ujrzałem po raz pierwszy „czarowne, czerwone situli”.

Splendoru dodawały przytorowej capoeirze także wielkie motyle Morpho. Jak już

wspomniałem, było ich tu niezwykle wiele. Żywo wylatywały z gąszczu, by na chwilę poigrać na słońcu i znów przepaść. Krótko to trwało, ale wystarczająco, by za każdym razem błękitni lotnicy swymi błyskami wysyłać mogli w świat fale radości.

Mniej więcej w godzinę po wschodzie słońca buchnęły spod naszego wagonu kłęby

dymu i wszyscy się zatrwożyliśmy. Pożar powstał przy osi. My dwaj siedzieliśmy na ostatnich miejscach ostatniego wagonu w pociągu, więc w razie paniki łatwo byłoby nam wyskoczyć z tyłu na tor, ale do paniki nie doszło. Zrozumieliśmy, że częste bywały pożary w tych pociągach i ludzie z nimi się otrzaskali. Co prawda zaczęli teraz biegać tam i na zad i wołać: fogo, fogo, ale bez zbędnego napięcia. Wydębili skądś nieco wody i fachowo lali ją przez szczeliny w podłodze: ogień ugasil; dym ustał.

Wszakże w spróchniałym drzewie wagonu diabeł nie spał. Gdy po godzinie zrobiło się na dworze gorąco i sucho, heca

z ogniem wybuchła od nowa i kłęby dymu w wagonie zaczęły gryźć w oczy mocniej niż poprzednio. Ale i ten drugi wybuch sprawnie zlikwidowano i czekaliśmy, aż zadymi się po raz trzeci i wybuchną płomienie.

Nie wybuchły, nie zadymiło się, natomiast spadła na nas sensacja innego rodzaju. Ni stąd ni zowąd wagon nasz dostał spazmów i zaczął groźnie dygotać. Coraz silniejsze drgawki przypominały człowieka w ataku malarii. Lada chwila należało oczekiwać

wykolejenia się wagonu. Zabrakło okien, bo wszyscy naraz do nich doskoczyli, by odkryć przyczynę wstrząsów.

A oto, co się stało: w jednym z przednich wagonów pociągu — było ich razem trzy albo cztery — część podwozia odłamała się od spodu i gruba sztaba żelazna jakby pługiem zaczęła żłobić ziemię, tłukąc się o każdy próg. Na szczęście, zanim pociąg wypadł z szyn, maszynista się spostrzegł i zatrzymał lokomotywę.

Ludzie byli wyjątkowo zdenerwowani, aż mnie to zadziwiło. Czyżby uderzenia sztaby o progi toru odgrzebywały w nich stare bajdy o trupie robotnika, leżącym rzekomo pod każdym progiem? A może dygoty pociągu budziły w ziemi złego ducha, żadnego

nowych ofiar? Była to diablo romantyczna kolej, niech ją kaci biorą!

## 18. Trzech gachów i Metyska

Ogólne poruszenie w naszym wagonie przebudziło do akcji trzech gachów i

dziewczynę i oni znowu zaczęli się do niej migdalić. Ona, dwudziestoletnia Metyska, miała grube rysy indiańskie, ale ponętnie się przedstawiała w obcisłym kaftaniku i w dżinsach. Cała czwórka siedziała przed nami o kilka kroków i doskonale widzieliśmy ją oraz zabawne perypetie jej amatorów.

Trzech facetów nie miało więcej niż po dwadzieścia trzy--cztery lata i wyglądało na rasowych złodziejasków, przy

74

75

czym jeden, wyraźnie ich herszt, playboy brazylijskich manowców, straszny elegant o zabójczym wąsiku — robił wrażenie indywiduum zdolnego do wszystkiego. Jego dwaj towarzysze, upośledzeni przez naturę, mieli prezencję mniej pociągającą, gęby

wulgarne, a odzienie wytarte.

Gdy w Porto Velho dziewczyna ich zobaczyła, poznała w nich jakichś znajomych i

siadła, oczywiście, obok galanta. Tenże, mocą swej wąsikowej urody i wynikłego stąd tupetu, uważał za rzecz naturalną, że miał wyłączne prawo do dziewoi. Więc objął ją w pół, przytulił trofeum

mocno do swego boku, po czym, triumfator małomówny i

wyniośle opanowany, już bez wielu zabiegów upajał się godzinami rozkoszą

zdobywcy.

W tym czasie jego dwaj kamraci, mniej szczęśliwi, wyłazili ze skóry, bo nie chcieli być gorsi, a palili się do babki w dżinsach. Siedząc na ławce tyłem do parki, musieli wykręcać kark, by szczerzyć zęby do bóstwa i olśniewać je swym pożądaniem tudzież potokiem trywialnych dowcipów. Ale byli brzydzy, gęby mieli chamskie, więc braki zewnętrzne uzupełniali na gwałt gorliwością gorących duserów. Na tych samych

zasadach powstawała chyba ongiś liryka miłosna i rodziły się piosenki, lądujące później, w naszych czasach, w Sopocie.

Z żartobliwym sarkazmem patrzeliśmy na umizgi tej trójki: była w nich okropna

krzepa i był komizm. Wszystko dokoła nas niedomagało, wagon ze starości trzeszczał i się rozpadał, ludzie, osłabieni chorobami, wyglądali jak mary — natomiast tych trzech gziło się w dziarskich ciągotach. Co prawda ponosiły ich niewybredne zapały i oni sami byli niesmaczni, a ten goguś wąsikowy wręcz denerwujący, ale przecież nie

można im było odmówić tęgiej ochoty.

Wszakże ochoty do czasu. W miarę wzbijania się słońca ku zenitowi duszna spiekota zmuszała wszystkich prawie podróżnych do drzemki. Wąsikowiec pierwszy oklapł i

zasnął, wypuszczając dziewczynę z rąk. Dwaj aspiranci również przygaśli, wyparował

im dowcip; umilkli.

Ale wstrząsy pociągu na skutek żelaznej sztaby wybiły wszystkich ze snu i już nowe potoczyło się życie. Złe dla play-78

boya. Dziewczyna najwyraźniej wobec niego ostygła, nawet jego metalowa

zapalniczka — gaurizankar tutejszej elegancji — już mu nie pomagała. A że la donna e mobile, cholerna Metyska wykręciła teraz swe afekty ku dwom wygadany

brzydalom. Prześcigali się oni w bzdurach, bajali koszałki opałki, ale ona się śmiała, bawiły ją sprośne kawały. Była teraz nastawiona na strawę duchową, nie na macanie fircyka. Można by powiedzieć, że intelekt wziął górę, a lalusz przegrał.

Jego porażka, jak by nie było, sprawiała nam zjadliwą satysfakcję, ale jeszcze większą niespodziankę przeżyliśmy na małej stacji Mutum Parana, gdzie, witani przez oczekującego na nas rodaka, Jerzego Pałkę, wysiedliśmy około trzeciej po południu —

a wraz z nami wysiadła Metyska. Co więcej, była to znajoma Pałki, i co więcej, przyjechała do domu tego samego Raimonda Verissima, u którego i my mieliśmy mieszkać przez następne dni.

Dziewięciogodzinne wstrząsy w pociągu zrobiły swoje: byliśmy oszołomieni, przebywaliśmy jakby w półśnie, wcale nie błogim, ale dziewczyna była realna; nazywała się Maria Jose Rocha Bentes i lubiła Polaków.

DESZCI I SŁ010E

## 18. O przyjaciółach, małpach i wężach

Pierwsze wrażenie miejsciny mocno wryło się w naszą pamięć: ciężkie, napuszone

chmury, w tej chwili bez deszczu, wisiały nad osiedlem i przytłaczały dwadzieścia kilka drewnianych chałup. Chałupy, rozwlekłe w jednej luźnej linii wzdłuż toru, wyglądały jak zmoczone kury i to śmieszne, kurowate wrażenie było tak uderzające, że nie ustawało nawet później w najjaśniejsze dni, kiedy prażyło ostre słońce. Może owo uczucie przytłoczenia nie ustawało dlatego, że na miejscinę Mutum Parana zewsząd nacierał zielony mur puszczy.

Ale pierwsze spojrzenie na mroczną wioskę trwało tylko sekundę. W następnej chwili radość, że spotkaliśmy tu Jerzego Pałkę, przesłoniła cały inny świat i już towarzyszyła nam przez długie godziny tego dnia. Jerzy Pałka: trzydziestoparo-letni inżynier geolog, wychowanek Akademii Hutniczo-Górnicy w Krakowie, od trzech lat w

Brazylii. Od roku kierownik kopalni Maciza, leżącej o 40 kilometrów na zachód od Mutum Parana. Nowoczesny Polak z tego pokolenia, które dopiero po wojnie, a już tak twórczo, weszło w życie. Pałka wszedł mocno: równy kompan z charakterem,

dobry fachowiec, rzutki umysł, energiczny chwyt z osobistym wdziękiem, a nade'

wszystko śmiały ryzykant z tej kategorii, która częściej zwycięża, niż przegrywa. Jerzy Pałka nie lękał się atakować tutejszej puszczy, chociaż poznał już na własnym ciele jej wrogość. I nie tracił czasu: w ciągu trzech lat tak biegle wyuczył się języka krajowego, że gdy przybył nad Madeirę, w mig zdobył sobie u ludności wzdłuż kolei wielki

posłuch i mir.

Poznaliśmy się w Rio de Janeiro przed kilku tygodniami

6 — Piękna, straszna Amazonia

u naszych wspólnych przyjaciół, inżyniera Tadeusza i jego żony Zofii w ich bajecznie gościnnym domu przy Rua Visconde de Itauna. Obydwoje ludzie ciężko pracujący, a pełni radości życia i szlachetnego serca, roztaczali około siebie niebywały urok.

Tworzyli niewątpliwie najsympatyczniejszą wyspę polskości w Rio. Toteż garnęli się do nich na bratnie rodaków rozmowy różni przybysze, młodzi lub duchem młodzi,

przepadał za nimi każdy kulturalniejszy oficer polskiego statku, zawijającego do Rio, i również dobrze się czuł w ich atmosferze literat podróżnik. Poznawał u nich dobrych przyjaciół i sycił się serdecznością inżynierostwa Haciskich czy urokiem rysunków Krystyny Konwerskiej.

Magiczna siła rzewnych wspomnień! Gdy pociąg gwizdząc jak najęty (to umiał, stary gruchot!) odjeżdżał ku południowym rubieżom, nasza trójka, Jerzy Pałka, Zygmunt Pniewski i ja, w rozkipiały humorach udała się do domu Raimonda Verissima. Po naszych powitaniach z całą rodziną gospodarza zasiedliśmy do wielkiego stołu, a razem z nami niewidzialnie zasiadły miłe duchy owych dalekich przyjaciół z Rua

Visconde de Itauna.

W izbie stała olbrzymia lodówka, zasilana benzyną, godło zamożności Verissima, i krzątali się domownicy; na dworze, na niebie, kłębiły się chmury, by runąć deszczem, a za obejściem Verissima, o kilkadziesiąt zaledwie kroków, czaiła się puszcza — ale przy naszym stole było przytulnie, ochoczo, wesoło. Stale powracała do nas myśl o przyjaciółach w Rio i rozjaśniała izbę słońcem. Myśl była jak cudowna tarcza:

otaczający nas świat nagle wydał się mniej obcy, bliskość puszczy mniej groźna, nawet Maria, dziubas z pociągu, ładniejsza.

Raimondo wyjmował z lodówki butelki guarana, soku z boskiego owocu znad samej

Amazonki, ja dobywałem rumu Merino, przywiezionego z Porto Velho, a zażywna

żona Raimonda zносиła sute dania obiadu-kolacji. Więc ucza. Było nam tak dobrze, że co chwila z Rio przywoływaliśmy Tadeusza i Zofię i od nowa, pomimo upływu tylu tygodni, przeżywaliśmy nastroje, doznawane w ich domu.

82

Gdy dostatecznie nagadaliśmy się o Riowskich sprawach, nastąpiła przerwa, ale nie na długo: przeszliśmy — rzecz zrozumiała — na temat puszczy.

— Czy wiecie — zaśmiał się Pałka — że w tej puszczy są małpy o dziwnych zwyczajach, tak bezczelne wobec ludzi, że trudno w to uwierzyć...

Owe gogo de solo, jak okoliczni kabokle nazywali ten gatunek małp, nie były duże, ale żyły w licznych stadach, i gdy spostrzegały ludzi, starały się ich atakować. Wszystkie dzikie zwierzęta, nawet wielkie drapieżniki, zazwyczaj unikały człowieka, bestii najgroźniejszej, natomiast gogo de



solo przeciwnie: miotane niezrozumiałą

nienawiścią do rodu ludzkiego, wszczynają na jego widok okropny wrzask,

wojowniczo przyskakiwały i rzucały w ludzi czym bądź, co padło im pod rękę. Bywało, że w nadmiernej pasji, wypróżniając się, obrzucały kałem dwunożnych wrogów.

Przecież w lasach dokoła Mutum Parana żył inny małpiszon, macaco pręgo, też

nieduży, ale zachowujący się wręcz odwrotnie niż gogo de solo. Widok ludzi podniecał

jego zmysły. Do przechodzących przybliżał się na odległość kilkunastu kroków i

wlepiając w nich pałający wzrok, dopuszczał się nie-przyzwoitości. Krzyk stropionych ludzi, zwłaszcza gdy były kobiety, mało go peszył. Ludziom nad kolejną nieobyczajność małpy wydawała się tak zboczona, że bardziej zabobonni dopatrywali się w niej znaku sił nieczystych, a w małpach — duszy wszeteczników, przeobrażonych po śmierci w zwierzęta za karę za grzeszny żywot.

Zwierzęta puszczy stanowiły niewyczerpane źródło opowiadań. Jerzy Pałka, już od roku tu przebywający, nie był wyjątkiem i chętnie gwarzył o puszczy. Więc niebawem rozmowa zesłała na temat węzów, oczywiście: węzów. Było ich tu dużo, spotykano

niekiedy olbrzymie anakondy. I nie brakowało jadowitych gatunków. Wypadków

tragicznych mało się wydarzało, bo najniebezpieczniejsze gady wołały człowiekowi schodzić z drogi; ale nie zawsze. Grasował ponoć wąż, atakujący ludzi, który budził

szczególny lęk. Nazywano go surucusu, a dochodził do wielkich rozmiarów...

Gdy Raimondo Verissimo, przechodząc obok naszego stołu, usłyszał słowo surucusu, nadstawił ucha, stropił się. Przystanął i wdał się w rozmowę. Mocą swej

trzydziestoletniej w tych lasach bytności czuł się wyrocznią puszczy i potentatem mrocznej wiedzy. Więc nie mógł inaczej, musiał teraz dorzucić swe trzy grosze i nas zadziwić. Zakotłowało się w izbie od napastliwych węzów, jednych okropniejszych od drugich. Raimondo wpadł w werwę, stał się sadystą. Rozbrykał się w nim duszek

Rimbauda, spłynęło mu coś z fantazji Poego i nawet ciut Uniłowskiego. W jego ustach puszcza stawała się czeluścią piekiel i miała nas oszołomić. I chyba oszalała.

Ale gdy czarowanie Raimonda zbyt długo się przeciągało, wzięła nas ochota, by nieco stłumić zapęły piewcy i puszczy przywrócić normalny ład.

— Surucusu — krzyknąłem, gdy Raimondo na chwilę przerwał — to na pewno ten

potwór, którego w Peru, nad rzeką Ukajali, nazywano czuszupi. To najzjadliwszy gad z rodziny Lachesis, wywołujący u wielu mieszkańców puszczy paniczny lęk. Sam byłem świadkiem, jak kiedyś

niebezpiecznie opętał moich towarzyszy... Opowiem wam o

takim autentycznym a niezwykłym — a może właśnie zwykłym — wypadku, jaki

wydarzył się przed kilku laty nad Ukajali.

Było to w mieście Pucallpa. Trzech geologów, przyjaciół, mieszkało razem w jednej izbie. Pewnego dnia dwóch z nich ubiło w pobliskich krzewach niewielkiego czuszupi i przyniosło go do kwatery. Towarzysz ich jeszcze spał, więc postanowili splatać mu wesołego figła. Ukłuli go szpilką w nogę, a gdy on zerwał się ze snu, ujrzał obok siebie na podłodze węża, rzekomego sprawcę ukłucia. Widokiem czuszupi tak się przeraził, że, jak piorunem rażony, prawie zemdłał. Nie mógł przyjść do siebie. Przyjaciele, widząc skutki swego psikusa, doskoczyli i zapewniali go, że był to tylko ich głupi kawał, nic więcej jak ich idiotyczny żart — ale sprawa wzięła fatalny obrót: nie uwierzył im. Myślał, że go tylko pocieszają, a wiedział z opowiadań, że ukłucie czuszupi zawsze powodowało śmierć. I tym razem także spowodowało. Umarł w ciągu pół godziny. Zabiło go własne przerażenie.

— A może — uśmiechnąłem się w stronę Raimonda, gdy skończyłem opowieść —

może i nad Madeirą w głowach ludzkich zbyt siedzi niebezpieczeństwo węzów i strach stroi ludziom brzydkie figle?

— Nie, nie! — zaperzył się nasz gospodarz. — Do diabła! Nie!! Surucusu jest straszny!....

Zdumiewająca, dziwaczna rzecz: trzech rodaków miało nawzajem wiele do

opowiedzenia o sobie i o świecie, z którego zjechało do tego ustronia; miało też w dalekim Rio dobrych przyjaciół, do których wspólnie tęskniło — a jednak co się

działo? Co wkradło się do ich rozmów z niesamowitą natarczywością? Wciąż puszcza i sprawy puszczy, jakieś małpy, węże.

Odczuwaliśmy coraz bardziej potrzebę powrotu do siebie i do spraw nam

najbliższych. Tymczasem deszcz zaczął padać i puszcę straciliśmy z oczu.

. Gehenna polskich inżynierów

Bez obwijania w bawełnę: puszcę straciliśmy z oczu, ale nie z myśli. Nie przestaliśmy o niej myśleć pomimo przejścia na temat Polaków, polskich inżynierów-geologów.

Właśnie dlatego, że oni nas zaprzętnęli, że dowiadywaliśmy się o ich przeżyciach, znowu wypadło nam zapuszczać się myślami w głąb puszczy.

Byli to koledzy Jerzego Pałki, zatrudnieni do niedawna, jak on teraz, w kopalni Maciza. Do tych stron

— zapomnianych przez Pana Boga, a unikanych przez ludzi

normalnych i przy zdrowych zmysłach, przybyli Polacy w sprawie kasyterytu, rudy cyny. Zwabiły ich tu wyjątkowo wysokie płace i zapewne

85

także syrenie horoskopy brazylijskiego dyplomaty, przebywającego stale w

Warszawie, a właściciela Macizy.

Pierwszy z tej paczki śmiałków, Tadeusz Chlebowski, inżynier geolog pochodzący ze Śląska, zjawił się nad Madeirą w 1962 roku i był najstarszy z nich; miał już około sześćdziesięciu lat. Wytrawny geolog przybył tu jako pionier w trudnym okresie

powstawania kopalni, kiedy najważniejszą rzeczą było wyszukanie w puszczy

odpowiednich złóż kasyterytu do eksploatacji. Wyszukał, przygotował, swoje zrobił

starannie, ale, doświadczony spec od geologii gorszym okazał się znawcą klimatu.

Przemierzając zapadliska puszczy, z konieczności nie do-sypiał, nie dojadł, a

wystawiał się na zarazki chorób, tak zabójczych w owych chaszczach. Nie wytrzymał, uległ malarii i zginął na polu pracy w kilka miesięcy po przybyciu nad Madeirę. Nie pomogli lekarze w Porto Velho ani ci najlepsi w Rio. Puszcza nad Madeirą sięgnęła po nową ofiarę. Rzecz tym bardziej wstrząsająca, że Tadeusz Chlebowski zginął w erze rozkwitu techniki drugiej połowy dwudziestego wieku, a cios spadł w taki sam sposób, jak gdyby to się działo przed stu laty, za czasów Collinsa i Churcha.

Śmierć kolegi nie odstraszyła następnych. W niespełna dwa lata później, w 1964 roku, przyjechało z Krakowa, z ramienia Polservice'u, dwóch inżynierów, górnik Stanisław Takuński i geolog Jan Tomaszewski. Kontrakt mieli na sześć miesięcy. Podjęli pracę tam, gdzie Chlebowski musiał przerwać. Odkrywkowe złoża kasyterytu, znalezione już poprzednio, przygotowywali teraz do eksploatacji, a gdy mieli czas, urządzali na czele ekip wyprawy do coraz dalszych ostępów w poszukiwaniu nowych złóż.

W czwartym miesiącu ostry atak malarii zwałił z nóg Takuńskiego. Ledwo żywego

dowieziono go do Porto Velho, gdzie go w szpitalu jako tako odratowano i najbliższym samolotem wysłano do Rio de Janeiro, a stąd do Polski. Pomimo że był w Madzie

tylko cztery miesiące, całkowicie spełnił swe zadanie.

Natomiast Tomaszewski, przebywając sześciomiesięczny okres bez przerwy w terenie, wyszedł obronną ręką i opuścił

Rondónię cało, bez większego szwanku. Co prawda cierpiał dotkliwie na aklimatyzację (podobnie jak teraz Pniewski i ja) i na ciele dostawał wrzodów boleśnie swędzących, ale pomimo osłabienia nie przerwał pracy.

W czasie wędrówki po puszczy miał przygodę z pięciometrową anakondą o

nieposkromionej żywotności. Bestia przeszła wielu kulami, nieustannie wściekle rzucała się na ludzi i dopiero przy użyciu fakonów, dużych noży myśliwskich, udało się ją uśmiercić. Jakaż zdumiewająca niepożytość węża, dochodzącego do takich sił w puszczy, tak osłabiającej ludzi i tak dla nich szkodliwej!

W następnych dniach naszego pobytu w Mutum Parana przekonaliśmy się, że

inżynier Tomaszewski zostawił po sobie wśród tutejszych mieszkańców pamięć

wyjatkowo szlachetnego człowieka o ujmującej ogładzie i rycerskim podejściu do

ludzi. Nawet Metyska Maria wspominała go ze szczerą sympatią, gdyż do

siedemnastoletniego wówczas podlotka odnosił się przyjaźnie jak dobry człowiek do dobrego człowieka. Chyba na zawsze pozostanie w jej pamięci romantyczny obraz

polskiego inżyniera.

Po dwóch latach, w 1966 roku, inżynier Tomaszewski wrócił znowu na sześć miesięcy do Macizy i zastał tam Jerzego Pałkę, zatrudnionego od pewnego czasu jako stały kierownik kopalni. Maciza już dobywała kasyterytu, jakkolwiek najbardziej

prymitywnymi sposobami. Głównym zadaniem inżynierów nadal było znalezienie

nowych złóż cennego minerału. Więc obydwaj, pełni zapału, wdzierali się daleko w puszcę, ale tym razem źle się skończyło. Malaria, i to najzjadliwszego gatunku, zwaliła z nóg najpierw Tomaszewskiego, a wkrótce i Pałkę.

Oto los ludzi, przybywających nad górną Madeirę, powtarzał się od wielu pokoleń z upiorną zaciekłością do naszego dnia, do ostatniej chwili. Rzekłbyś: uparty smok z legend, pożerający ludzi, a którego zniszczyć się nie dało; w roku 1966 panował tu nastrój bezbronności dzikiego człowieka z zarania dziejów, kiedy nękały go siły niewidzialne; była w tym za-87

J

ciekłość ślepego losu z tragedii greckiej — przeniesiona żywcem w nasz wiek

dwudziesty.

Tomaszewski i Pałka, roztrzęsieni chorobą, osłabieni, uciekali tym samym szlakiem jak ich dwaj poprzednicy, Chlebow-ski i Takuśki: tor wyścigu ze śmiercią wiodł ich z Macizy przez Mutum

Parana do niezaradnych lekarzy w Porto Velho, stamtąd zaś do zaradniejszych w Rio. A lekarze w Rio ogołocili ich z tego, co dotychczas zaoszczędzili.

Tomaszewski, z trudem podleczony, odleciał do Polski; Pałka, podreperowany po końskiej kuracji, wrócił do Macizy. Dwa miesiące przed naszym spotkaniem miał

jeszcze ostatni atak malarii, ale dziś, w wesołej gawędzie przy szklance rumu u Raimonda Verissimo, siedział z nami uśmiechnięty i od nowa ufny w swe niezmożone

siły.

Razem było ich czterech dzielnych inżynierów, których los przygnał na ten koniec świata. Wszyscy ciężko chorowali, ale w końcu przychodzili do siebie. Z wyjątkiem jednego, który niestety nie wytrzymał klimatu.

Bagaż, jaki przywieźliśmy do Mutum Parana, leżał jeszcze obok stołu nie

rozpakowany. Wstałem, otworzyłem walizkę, wyjąłem apteczkę i każdemu z nas

wydzeliłem po dwie tabletki anochiny. Był to znakomity lek antymalaryczny polskiej produkcji.

— Co pewne, to pewne! — warknąłem stanowczym głosem. — Postępujemy na pewniaka!

Jerzy Pałka połknął tabletki tak samo jak my i przepłukał łykiem guarany, ale potem kąśliwie się uśmiechnął.

— Na pewniaka? — spojrzał na mnie drwiąco.

— To wypróbowany, dobry środek! — broniłem anochiny.

— Wierzę na amen! — parsknął inżynier wesoło. — Ale co pan sądzi? Że tamte," jakie zażywaliśmy w tych latach, nie były równie wypróbowane i dobre? Były to płody

światowej farmakologii najlepsze, jakie istniały...

— A czy zażywaliście je skrupulatnie?

— Jak najskrupulatniej. Regularnie przez cały okres pobytu nad Madeirą!...

83

— I mimo to nie działały? Na nic się nie zdały?

— Na nic!

Gdzieś w ciemnym kącie chaty jak gdybym na chwilę ujrzał mitycznego smoka,

pożerającego ludzi. Ale sęk w tym, że nie było tu Krakusa, by zabić drania; że człowiek był tu tak przeraźliwie bezbronny. I w ogóle w tej całej tragicznej hecy tkwiła kpina, pobudzająca do dzikiego śmiechu: przecież był to rok 1967, do licha!

21 Mroczny deszcz i jasne wspomnienia

Rumu nie piliśmy wiele, mimo to nam, Pniewskiemu i mnie, dał się we znaki.

Podrażnił nasze wrzody aklimatyzacyjne. W nocy źle spaliśmy w hamakach, jakie nam dał Verissimo, a do aklimatyzacyjnego utrapienia dochodziły jeszcze komary: nie mogliśmy się im opędzić pomimo moskitier.

Na domiar przez całą noc deszcz popadywał szpetnie i dopiero nad ranem ustał. Gdy wstaliśmy po szóstej godzinie, srogie chmury wciąż wisiały nad Mutum Parana. Gasiły świat i nas.

Dobre śniadanie w towarzystwie Jerzego Pałki postawiło nas na nogi. Piliśmy mocną kawę, spożywali smaczną jajecznicę i racząc się świeżym, chrupiącym chlebem — cud nad cudy na tym odludziu! — pilnowaliśmy, ażeby zjełczałe masło nam nie

zaszkodziło. Więc na nogach stanęliśmy, ale duch wciąż jeszcze pełzał mdły i wątpy.

Chcąc jakoś rozgrzać swe myśli, przypominaliśmy sobie dziwne perypetie znakomitej tancerki Boniuszko. Przyjechała z Polski na występy do Brazylii, ale nasze

przedstawicielstwo w Rio — nie wiadomo, za czyim zaniedbaniem — ponoć nie znało jej, nie przyjęło jej, ręce od niej umyło. Zajęli się tancerką sami Brazylijczycy i umożliwili jej występ: triumf na całej linii, niebывały zachwyt widowni,

entuzjastyczne recen-

89

zje brazylijskiej prasy — i kwaśno-słodka, półgębna aprobata ataszatu kulturalnego.

Jawna krzywda, wyrządzona komuś, zawsze należycie wzruszała, ale tego dnia

pochmurny niż zbyt ciężko nas gnębił. Sprawa Alicji Boniuszko nie chwyciła tak, jak na to zasługiwała, a poza tym wyskoczyła cudaczna przeszkoda.

Ktoś z naszej trójki rzucił nieoczekiwane pytanie:

— Właściwie, jakiego koloru włosy ma Boniuszko?

— Ma ciemne! — ktoś inny odpowiedział. — To chyba szatynka!

— A może nawet brunetka?

— Może brunetka.

Zrobiło nam się markotno. Ciemne włosy mieli bez wyjątku wszyscy mieszkańcy

Mutum Parana, miały wszystkie tutejsze kobiety. Czarne włosy nagle kojarzyły nam się z tutejszym klimatem, z deszczem i chorobami. Więc wybieganie myślą do

Boniuszko nie sprawiało dostatecznej ulgi, a tak chcieliśmy się wyrwać z mutumparańskiego kręgu.

— Mam, mam! — zaśmiałem się z desperackim ożywieniem. — Jest w Polsce inna

tancerka, wielkiej miary artystka, a ma jasne jak słońce włosy. Jest przy tym młoda, ładna i ma Włosy nie tylko jasnoblond, ale do tego uderzająco piękne. Fenomen!

Bomba!...

— Do diabła, która to? — zelektryzowali się obydwaj. Zgodzili się całkowicie:

Krystyna Mazurówna. Im również

się podobała. Ale najważniejszą jej zaletą w naszych oczach nie był bajeczny talent, lecz jasne włosy. Tego poranka potrzebowaliśmy jej włosów. Szły od nich ożywcze promienie i w istocie stało nam się trochę jaśniej na duszy; ochota wezbrała. Około dziewiętej Jerzy Pałka spakował swe nieliczne ma-natki i ruszył w drogę powrotną do Macizy. Postanowiliśmy odwieźć go motorówką aż do Bom Futuro, po drugiej stronie Madeiry. Po wyjściu z domu Verissima uderzyła mnie trafność pierwszego w Mutum

Parana wrażenia: chaty rzeczywiście przypominały tu zmoczone kury. Od gęstych

chmur było wciąż ponuro na dworze. Stwierdziłem to już przed laty nad Ukajali,

I

że właśnie w tropikach pochmurne dni bywały wyjątkowo przykre, męczące.

Kilkaset kroków podskakiwania przez błotniste kałuże zawiodło naszą trójkę nad

brzeg rzeki Mutum Parana, gdzie czekała na nas spora motorówka i pięciu chłopów

załogi. Rozrzutność personelu niezła, jak to czasem bywało w naszych

przedsiębiorstwach państwowych. Poza tym rzekę porównać się dało co do szerokości z Wartą pod Śremem, tylko że Mutum Parana była kilkakrotnie głębsza. I groźna, o śliskich brzegach.

Usadowiliśmy się w łodzi blisko siebie na jednej ławce pod daszkiem z brezentu. Do ujścia rzeki Mutum Parana do Madeiry mieliśmy niespełna kilometr. Po drodze

podziwialiśmy pompatyczną malowniczość brzegów, wijących się wśród wielkich drzew gęstej puszczy. Po wyjściu na Madeirę gwałtowna zmiana: widnokrąg

niezmiernie się rozszerzył, ledwo widzieliśmy drugi brzeg, ale jednocześnie z góry, od nieba, przysła kłęska. Lunał deszcz i lał bez końca.

Brezent nad głową zaciągnęliśmy jak najbardziej przed siebie. To pomagało jako tako, szaruga moczyła już tylko nasze nogi, ale humor znowu diabli wzięli. Rozpaczliwie szukaliśmy drogi wyjścia, żeby przewyciężyć nastrój. O czym myśleć, żeby było nam jaśniej i mniej chłodno?

— Ciekawe — odezwał się któryś z nas — co teraz porabia Irena Santor?

Pytanie padło w sam raz i zaprzątnęło nas doskonale. Wszyscy trzej ceniliśmy

ulubioną śpiewaczkę, więc ona teraz przybywała do nas jak dobry duch.

Prześcigaliśmy się wzajemnie w przypominaniu sobie szczegółów uroczego zjawiska.

Przecież miała jasne, jak słońce jasne włosy; i miała ciepły, jakże ciepły i przejmujący głos; i jak szlachetny wyraz twarzy i oczu. Biła od niej jasność i promieniowała pogoda. Szły od nas do niej coraz serdeczniejsze uczucia i gdy czasem rzucaliśmy spojrzenie na brzeg, obok którego płynęliśmy, wtedy smętne drzewa, chłostane

strumieniami deszczu, wydawały się mniej wrogie.

W pewnej chwili rzuciłem okiem na jednego z obsługi mo-

80

91

torówki i oniemiałem. Nastrój prysł. Człowiek ów dotychczas zachowywał się

normalnie. A oto dostał ataku malarii. Twarz mu zsiniała, oczy stanęły w słup, a on cały popadł w silne drgawki, jak gdyby miał skonać lada chwila. Upadł na pokład motorówki i tam się dalej trząsał. Koledzy nie zwracali na niego szczególnej uwagi.

— Za pół godziny — wyjaśnił nam Pałka — chłop przyjdzie do siebie. To zwykły tu widok!...

Irena Santor gdzieś nam przepadła i już nie wróciła.

Do Bom Futuro, gdzie miał wysiąść Pałka, było tylko piętnaście kilometrów, ale



brnęliśmy pod prąd i jazda trwała dłużej niż godzinę. Deszcz nie ustawał. Po

zniknięciu Ireny Santor powstała w nas pustka i wtedy przyszedł mi na pamięć mój pobyt przed półtora rokiem w zapadłym kącie Perinet na Madagaskarze. Odezwałem

się do towarzyszy, że chciałbym opowiedzieć im niezwykle przejście, jakie miałem na Madagaskarze ze Zbigniewem Cybulskim.

Oczywiście oni:

— Jak to? Cybulski był na Madagaskarze?

— Nie. Ale ja byłem!

Owo Perinet leżało przy kolei w lesistych górach w połowie drogi między stolicą Tananariwą a wschodnim wybrzeżem wyspy, a udałem się do niego wiedziony

pietyzmem, jak pielgrzym. Mianowicie przebywałem tam przed wojną przez wiele

tygodni w miłym towarzystwie Bogdana Kreczmera, zbierając cenne okazy fauny.

Teraz odwiedziłem stare kąty, by sobie przypomnieć to i owo z dawnych czasów, ale trafiłem jak najgorzej. Na nieustanny deszcz.

— Tu, na Madeirze — wtrąciłem w moją opowieść — jest nas trzech; tam, w Perinet, byłem sam jeden, okrutnie samotny i do tego wśród rozpaczliwych ulew. Można było oszaleć. I nie było szybkiej ucieczki: najbliższy pociąg do Tananariwy odchodził

dopiero za dwa dni w południe...

Na samym dworcu zakwaterowałem się w hotelu niesamowitym, bo pełnym pustych

pokoi, a budowanym kiedyś na absurdalny wyrost — i byłem tu jedynym gościem.

Gdy ktoś

92

głośniejszy przemówił za ścianami, echo dudniło jak w zaklętym zamku.

Makabryczność hotelu nasuwała nastroje z filmów Bergmana. Pod koniec dnia

goniłem resztkami nerwów. Nigdzie dotąd nie czułem się tak daleki od wszystkiego, czym dotychczas żyłem; nawet najbliższych ludzi, drogich sercu, już nie potrafiłem sobie wyobrazić.

Wtedy, leżąc w łóżku przy obskurnym migotaniu maleńkiej żarówki u sufitu i

przewracając strony znalezionego w hotelu tygodnika Time — nagle doznałem

wstrząsu, czegoś w rodzaju olśnienia. Natrafiłem na artykuł zatytułowany: Człowiek w zielonych okularach. Amerykański korespondent z Warszawy pisał o Zbigniewie

Cybulskim. I jak pisał! Chyba od czasów Modrzejewskiej czy Paderewskiego nigdy

jeszcze nie okazywano Polakowi w amerykańskim czasopiśmie tyle uznania i takiej serdeczności.

Artykułik pojawił się w numerze Time'a z 18 grudnia 1964 roku i stwierdzał, że

Cybulski był obecnie pierwszym polskim aktorem, zdobywającym światową sławę.

Oczywiście przede wszystkim filmem „Popiół i diament”. „Nigdy jeszcze nie

widzieliśmy kogoś tak przeraźliwie konającego jak Cybulski w tym filmie” — cytował

Amerykanin wypowiedź francuskiego krytyka... Ale nie tylko „Popiołem i diamentem”

wchodził Cybulski na ekrany świata: angażowali go już Szwedzi do swoich filmów...

Legendarne zielone okulary Cybulski nosił ponoć dniem i nocą, a on sam zwierzał się, że bez okularów czuł się zastraszony i nieszczęśliwy... Cybulski — zapewniał autor artykułu — był wielkim aktorem, rasowym człowiekiem sceny, pracownikiem nigdy

nie strudzonym i nade wszystko dobrym kolegą, prawdziwym przyjacielem...

— Gdy wtedy czytałem tego Time'a — kończąc mówiłem do dwóch przyjaciół w

motorówce — nie wyobrazicie sobie, co ze mną się stało! Jakie fantastyczne

przemiany mogły zachodzić w człowieku! Mówiąc wzniosie: krew wróciła mi do serca, myśli nabiegły do głowy, radość do duszy. Poczułem się znowu normalnym, sobą! I od nowa silnym! Jak dobrze — pomyślałem wtedy — że mamy takich Cybulskich!...

93

— Nie wszyscy jego koledzy tak życzliwie o nim myśleli! — zaperzył się Pniewski, a oczy jego zabłyszczały z serdecznej wojowniczości.

— To, niestety, rzecz naturalna! — stwierdził Pałka. Obydwaj byli wzruszeni. Byliśmy wszyscy wzruszeni. Deszcz

już mniej nas gnębił. Więc przypomnienie sobie doskonałego aktora dobrze podziało po raz wtóry. Ogrzało.

22. Owady, sępy i ludzie

Z Bom Futuro — jedna chata na brzegu, a milion komarów w powietrzu — Jerzy Pałka pojechał

jeepem przez puszcę do swej Macizy, my zaś wróciliśmy tą samą motorówką do Mutum Parana. Umówiliśmy się z inżynierem, że za kilka dni odwiedzimy go w

Macizie.

W czasie powrotu deszcz ustał, a gdy zbliżaliśmy się do Mutum Parana, słońce zaczęło wyglądać zza chmur. Czyżby to był ten sam krajobraz co przed trzema godzinami?

Przesadny blask, jaki nastał, zmieniał wygląd drzew i wyprawiał szaleństwa na

brzegach rzeki. Ich zieleń była teraz inna: wielobarwna, podniecająca. W gąszczu rozśpiewały się ptaki. Nawet poprzez łoskot motoru słyszeliśmy je i wyczuwali ich triumf. Przy wyskakiwaniu z motorówki już nie ślizgały się nogi. Skończyła się tyrania deszczu.

Przystań, na której wylądowaliśmy, była na małej piaszczystej plaży w cieniu drzew, i zaledwie znaleźliśmy się na lądzie, powitały nas roje muszek pium. Dręczyły bardzo podstępnie: gdy siadały na skórze, nic się nie czuło, a skoro po chwili coś się zmiarkowało, było już za późno. Muszki pozostawiały na ciele różową, małą cętkę, szybko ciemniejącą, by po pewnym czasie szernieć

świerzbic przez kilka dni. Pium były wybredne: napastowały tylko przy dobrej pogodzie.

Piękną aurę obwieszczały także motyle. Jeszcze liście

w puszczy należycie nie obeschły, a motyle już wyległy z gąszczu i w odkrytych

miejscach Mutum Parana pozdrawiały słońce swym wdziękiem i barwą. Śliczne

Callicory, Heliconie i Papilia licznie szybowały, zapowiadając obfite połowy, a nam, dwóm wierutnym wilkom, świeciły się do nich ślepie.

Na ścieżce widniała w ziemi czarna dziura wielkości zegarka na ręce, a była to brama do podziemnego państwa mrówek sauwa, potężnego rodzaju zwanego Atta po łacinie.

Zmiana pogody wyrwała z odrętwienia także i mrówki i oto zakrzętnęły się dokoła swych interesów. Jeden zwarty rząd, wcale zdyscyplinowany, wychodził rażno

ciemnym sznurem z mrowiska i gorliwie ginął gdzieś w zaroślach; inna falanga, już mniej karna, wracała w luźnym szyku do mrowiska. Ta i owa mrówka niosła plon,

zebrany w lesie.

Niosła okrągły kawałek listka rozmiaru mniej więcej pięcio-groszówki, odcięty z drzewa i dźwigany nad ciałem owada jak zielony żagiel. Już dawno badacze

wyszperali tajemnice owych saww. Były to wytrawne ogrodniczki: w mrowisku

przyniesiony listek przeżuwały na drobną miazgę i na tej glebie hodowały smakowity rodzaj jadalnego grzybka. To dopiero ten grzybek, a nie przynieszone z lasu listki, stanowił pokarm saww.

Mrówki owe cieszyły się najgorszą sławą w całej Ameryce Południowej i wszyscy

rolnicy je przeklinali. Przybyszowi zza morza zwykle ich pochody pierwsze rzucały się w oczy. Nieprzebrane, zapuszczały się wszędzie tam, gdzie tylko rosło trochę zieleni, a szczególnie lubiły napadać na ogrody owocowe, wypielegnowane przez ludzi. Bywało, że w jednej nocy niszczyły wielohektarowe sady, zupełnie ogołacając je z liści. W wielu okolicach Brazylii uważano sawwy za największego wroga ludności i sławne stało się powiedzenie doktora Belizario Peny: albo Brazyliia zniszczy sawwę, albo sawwa

zniszczy Brazylię. Na razie obydwie strony wodziły się za łby, ale bez wyniku,

remisowo. Wiadomo: na świecie wciąż istniał człowiek i istniała diabllica-mrówka.

Sawwy, odkryte na ścieżce w Mutum Parana, nastrecały nam zagadnienia natury

akademickiej. Powstało pytanie, co

95

Nie omieszkał zachwycać się potęgą niektórych drzew... (str. 48)

sądzić o przysłowiowej pracowitości mrówek i o mądrości (przecież niewątpliwej) uczonych. Bo oto nie wszystkie mrówki, wracające z lasu, niosły na grzbiecie ucięte listki. Większość ich, ba, chyba dziewięć na dziesięć, wracała do domu bez niczego, nie przynosiła listka. Za to rażno podrygiwała, uwijała się beztrosko, wyraźnie była weselsza niż te, które spełniały swój obowiązek i z ładunkiem na grzbiecie wracały do mrowiska.

Więc bumelantki jakież, jakiś uprzywilejowany stan próżniaków? Pozornie tak

wyglądało. Obraz niedorzecznie się wypaczał, bo gdzie mrówcza gorliwość pracy,

gdzie słynna wierność roboczym instynktom? Co wytrąciło mrówki z normalnego

trybu, jakie zaszły wynaturzenia w mrowisku? Nie było na to odpowiedzi dla nas.

Nauczono nas wierzyć, że w mrowiskach panował wyjątkowy rygor społeczny i

wszelkie odchylenia szkodliwe dla ogółu, więc i nieróbstwo jednostek, karano

śmiercią. A tu nic podobnego. Szeregi rozweselonych nierobów wracały niefrasobliwie do mrowiska razem z przykładnymi pracownikami — i nic złego darmożjadów nie

spotykało, w każdym razie nie na powierzchni ziemi. O, fascynująca wciąż tajemniczo najbliższych nam zjawisk!

Pokazały się także sępy urubu. Nie bały się ludzi, jak zwykle. Siedziały nieruchomo na konarach drzew i na dachach chałup i szeroko rozpościerały mokre po deszczu

skrzydła, by wyschły w słońcu. Ptaki były czarne, wielkie i odrażające, a szyje miały obrzydliwie nagie, dzioby groźne. Ich szpetota wzbudzała niemal zabobonny wstręt.

Jeśli wiele ludzi przesądnego ducha kojarzyło je tu z wyobrażeniem upiorów

piekielnych, to teraz, na widok sępów z uchylonymi ku słońcu skrzydłami, mogli

prostacy mieć przyjemne złudzenie, że to hołd składany niebu przez siły nieczyste.

Ale był jeden sęp, wywołujący zgoła inne wrażenie. Był to mimowolny trefniś,

pocieszny kpiarz-wesołek. Trzymał w dziobie zwisający flak i bezradnie tarmosił się z tą zdobyczą. Zadziwiająco przypominał emblemat naszej telewizji: emblemat,

96

. Nawet Metyska Maria wspominała polskiego inżyniera ze szczerą

sympatią... (str. 87)

wiadomo, przedstawiał przeczerniałą fotografię warszawskiego pomnika Chopina z

drzewem, a w istocie wyglądało to drzewo w telewizji jak jakieś sępie ptaszysko, trzymające w dziobie łup, nie-łup: Chopina.

Broniąc godności naszej telewizji, porwałem kawał drewna z ziemi i rzuciłem,

trafiając w łeb łobuza urubu z flakiem w dziobie. Przedrzeźniacz puścił flak i zerwał

się do ucieczki. Gdyby sęp z telewizji poszedł za jego przykładem, hej!

. Zdziorny szczep Karipuna

Zależało mi bardzo na tym, żeby dotrzeć do Indian żyjących w głębi terytorium

Rondónii, ale to okazało się zamiarem niespodzianie trudnym do wykonania. Nie było do nich dostępu. Zaszyci w lasach masywu górskiego Serra dos Pacaas Novos, z dala od uczęszczanych szlaków wiedli żywot koczowniczy nad górnymi biegami różnych

rzek, które wpadały do Madei-ry, Mamore i Guapore.

O sto dwadzieścia kilometrów na zachód od Mutum Parana była stacyjka kolejowa

Ribeirao, gdzie urzędował stały agent Służby Ochrony Indian, szeroko rozgałęzionej instytucji państwowej SPI. Urzędował, nawiasem mówiąc, w pobliżu osławionej

mieściny Abuna, skąd do niedawna jeszcze Libańczyk-pilot oczyszczał tereny z Indian przy pomocy swego samolotu, bomb, napalnu i karabinu maszynowego.

Obecny agent SPI, dowiedziawszy się o naszym zamiarze, kategorycznie oświadczył, że nie dopuści nas do Indian bez pisemnego pozwolenia centralnych władz w Brasili.

A centralne władze w Brasili, niestety, od czterech lat trzymały język za zębami i zbywały milczeniem moje wnioski w tej sprawie. Czyżby poczciwy literat, ale z za żelaznej kurtyny przybywający, był zbyt wścibski?

W dzisiejszej Brazylii działy się niedobre rzeczy z Indianami. Ostatnimi laty mnożyły się niepokojące wieści o ich eks-7 — Piękna, straszna Amazonia

97

terminacji w wielu stronach tego kraju. „Sporo naszych ludzi — pisał Brazylijczyk E.

Barros Prado w książce „Czar Amazonki”, wydanej po angielsku w 1959 roku — uważa Indian nie za istoty ludzkie, jak oni sami, lecz za leśne zwierzęta, które włożą im w drogę. Dla tych ludzi strzelanie do Indian i zabijanie ich to rodzaj sportu, więc strzelają do każdego, który nawinie się pod lufę...” H. R. da Silva w książce „Nos Sortóes do Araguaia” (W kniejach nad Araguają) pisał:

„Północnoamerykańska zasada, że dobrym Indianinem był tylko nieżywy Indianin, przeniknęła obecnie do nas i nasi kabokle ją wprowadzają w życie. Wre wojna między najeźdźcą a tubylcem w głębokich lasach. Zabija się Indian jak zabijano ich trzy wieki temu u wybrzeży Atlantyku...”

A szumnie urzędująca w Brasiiii Służba Ochrony Indian i jej placówki, tak skutecznie broniące ludności tubylczej za czasów generała Rondona, w ostatnich latach dziwnie zobojętniały, tracąc dawną gorliwość. „Urzednicy państwowi — pisał angielski

etnograf David Maybury-Lewis w książce „The Savage and the Innocent”, wydanej w 1965 roku w Londynie — sprzeniewierzali fundusze, przeznaczone na pomoc dla

Indian, i zamiast tych ludzi wychowywać, używali ich jako niewolniczych

robotników”. Podczas naszego pobytu w Belśm w kwietniu 1967 roku słyszeliśmy w Muzeum Goeldi o aktualnych gwałtach, popełnianych w okolicy Marabś nad rzeką

Tocantins. Re-lata refero: agent SPI sprzedawał tam Indian do przymusowej roboty zbieraczom orzeszków para, a kto nie chciał zbierać, bywało, przyplacał opór życiem.

Gdy w Rondónii w ostatnich czasach powstała istna gorączka cyny, szczególnie bogate złoża kasyterytu odkryto u północnych stóp Serra dos Pacaas Novos, gdzie żyli

Indianie kilku szczepów, jak Urubu, Juriti, Karipuna, Bocas Negras. Tym szczepom wypowiedzieli

garimpeiros, ludzie kopalń, cichą, lecz krwawą wojnę. Więc na

ścieżkach u górnych biegów rzek Candeias, Jamari, Jiparana przybysze chodzili tylko z bronią w rękę i na widok Indian natychmiast strzelali. Ci zaś, jeśli uszli z życiem, po pewnym czasie odpłacali się włócznią

98

lub strzałą z łuku, po czym wycofywali się do coraz głębszych w puszczy kryjówek.

Rzeka Mutum Parana, jakkolwiek obfita w wodę, nie była zapewne dłuższa niż 200

kilometrów i wypływała z zachodnich stoków masywu Serra dos Pacaas Novos.

Wiedziałem z różnych źródeł, także ze sprawozdań oficjalnych, że obecnie nad

górnym biegiem tej rzeki istnieli Indianie Karipuna. Dawniej grasowali oni nad samą Madeirą, lecz po wybudowaniu kolei woleli opuścić zbyt niepewną rzekę i ukryć się wśród podnóży gór w zaciszu bezludnej puszczy. Nad górnym Mutum Parana mieli

spokój. Nie odkryto tu jeszcze kasyterytu, a serin-geiros, zbieracze kauczuku, ludzie naszego gospodarza Verissi-mo, buszowali tylko nad dolnym i środkowym biegiem

rzeki. Więc Indianom nad Mutum Parana nikt na razie nie zakłócał życia, a że agent Ochrony Indian siedział daleko, bo w Ribeirao, często myślałem o tym, jak by dotrzeć do owych Karipuna.

Za dawnych, dobrych czasów, a więc do początku XX wieku, był to nad górną Madeirą i nad Mamorś najgłośniejszy szczepek, osławiony na skutek swych rozbójniczych

zachcianek i innych zdrożnych nawyków. Był zmorą dla żeglugi na progach i szerzył

postrach wśród wioślarzy.

Jedynym białym człowiekiem, który polubił tych leśnych zabijaków, był Franz Keller, jeden z najsympatyczniejszych — powtarzam — podróżników po Ameryce

Południowej, a do tego niezły inżynier, świetny malarz, trochę poeta, trochę romantyk i — uroczy pisarz. (Patrz rozdział 11). Gdy spotkał nad Madeirą groźnych Indian i powitał ich życzliwym uśmiechem, oni nie tylko nic złego mu nie zrobili, ale okazali mu przyjaźń i jej dochowali. W swej książce, wydanej blisko sto lat temu, opisał Keller niesamowitych dzikusów tak serdecznie, że ciepło jego słów i rysunków działało

jeszcze teraz, po tylu latach, i budziło ciekawość.

Był to o Karipunach jedyny, choć ważki, głos przyjazny, bo poza tym sypały się na nich same złe noty, gromy i bicze. Indianie ci odznaczali się rażąco bezczelnością. Gdy dwadzieścia lat przed Kellerem przepływał tędy Amerykanin W. L. Hern-99

don w licznym orszaku i wysiadł na ląd, wódz Karipunów z całym spokojem ograbił go, wyciągając mu bezczelnie z jednej kieszeni po drugiej całą ich zawartość; cieszył się, że były także haczyki na ryby. Herndon nie śmiał się bronić, nie chcąc dopuścić do rozlewu krwi, za to później sumiennie schlastał wodza piórem, szkalując go co niemiara.

W czasie budowy kolei robotnicy narażali się na częste napady ze strony zadziornych Indian, broniących swej ojczystej puszczy. Karipunom wtedy już mniej chodziło o zdobycie łupu, więcej o przepędzenie najeźdźców. Oczywiście trud daremny, Indianie musieli przegrać. Kroniki notowały jeszcze w 1912 roku poważniejszy atak na

„civilizados”, po czym resztki szczepu, wyparte znad brzegów Madeiry, uszły do ustronnych kryjówek u stóp Serra dos Pacaas Novos, zwłaszcza nad górny bieg rzeki Mutum Parana.

Zanim zbudowano kolej, Indianie Karipuna, jak wiadomo, gorliwie polowali na wioślarzy przepływających przez progi Madeiry i niejednego zgładzali. Ale rzecz znamienita, w tych stronach najtrwalej utkwily w ludzkiej pamięci nie ich liczne zabójstwa, lecz perypetie cudacznego wydarzenia, nie pozbawionego pikanterii.

Około roku 1900 grasował nad Madeirą szczególnie ruchliwy herszt Karipunów, znany z tego, że zabijał wszystkich przepływających ludzi, jakich mógł przydybać.

Nikomus huncwot nie darował życia. Pewnego razu wpadła mu w łapy cała załoga łodzi, a wśród pojmanyh była młoda kobieta, żona handlarza, kierownika wyprawy.

Na jej widok figlarz przypomniał sobie makabryczny kawał, jaki przed przeszło stu laty przodkowie jego zrobili grupie portugalskich kolonistów, gwałcąc wszystkie towarzyszące im kobiety. Więc i teraz kacyk przed zamordowaniem jeńców

postanowił dokonać gwałtu na młodej kobiecie, i to na oczach wszystkich, a w pierwszym rzędzie jej męża. I tak się też stało.

Po skończonej ceremonii, pełen zadowolenia, podszedł do męża i wyraził łamaną portugalszczyzną swe uznanie:

— Smakowała!... Dobra twoja baba!... Muito gostosa!



Co więcej, wpadł w tak dobry humor, że mężowi i wszystkim jego wioślarzom darował

życie, przeciął więzy i pozwolił im oraz kobiecie dalej płynąć.

— I przygoda szczęśliwie się zakończyła! — stwierdziłem z ulgą.

— Wcale nie! — poderwał się mój informator. — Przez całe życie mąż złościł się na żonę, że zbyt dogodziła czerwonemu rabusiovi...

Więc pragnąłem odwiedzić hultajski ongiś szczep, dziś ponoć łagodny i spotulniały, i poprosiłem o pomoc Raimonda Verissimo. Gospodarz posiadał na rzece Mutum

Parana swe placówki zbieraczy kauczuku i dwie motorówki, a motorówką można było dobrnąć do siedzib szczepu. Ale Verissimo zrobił wielkie oczy i zdziwiony, jak gdyby z nieba spadł, spytał:

— Do siedzib szczepu? Jakiego szczepu? Co ma senhor na myśli?

— Karipuna.

— Karipuna? Pierwsze słyszę, żeby nad Mutum Parana żyli Karipuna! To pomyłka!

Nic o tym nie słyszałem!

— A gdzie Karipuna żyją?

— Czy ja wiem?

Verissimo najwyraźniej udawał Greka, a po chwili zauważył z dwuznacznym uśmiechem:

— Może ich już w ogóle nie ma na świecie? Senhor wie przecież, jak szybko wymierają!...

Trudno było przebijać się przez zagmatwane sprawy Indian: albo agent SPI w

Ribeirao zakazał Raimondowi mówić o obecności Indian, albo rzeczywiście Indian

Karipuna nie było już nad rzeką Mutum Parana. Może stali się, jak i gdzie indziej, kością w gardle zbieraczom kauczuku Verissima i trzeba ich było zlikwidować?

Ludzie Verissirna, wypływając z Mutum Parana w górę rzeki, zawsze pod ręką trzymali wielostrzałowe karabinki.

## 24. Gubili się w puszczy

Więc były motyle, byli ludzie i była puszcza: radował nas widok motyli, licznych w dobrym słońcu, i witaliśmy radosnym „bom dia” mieszkańców Mutum Parana, ale najbardziej nas zaciekawiała puszcza. Zaczynała się tuż za rzędem chat, o jakie pół

setki kroków od głównej ścieżki w mieścinie; w drodze zaś do rzeki, niedaleko

przystani, kroczyliśmy już nawet pod pierwszymi jej drzewami. Była to przednia straż sześciuset miliardów drzew, rosnących na wschód od nas i od rzeki Madeiry.

Prawie od każdej chaty osiedla wiodły do puszczy ścieżki, które zrazu przecinając się wzajemnie, tworzyły wśród drzew dość gęstą sieć przesmyków. Ale już sto kroków

głębiej było ich znacznie mniej, a chyba bardzo nieliczne ścieżyny wdzierały się dalej w puszcze niż dwieście kroków od chat.

Przechadzając się na jednej z tych ścieżek, zauważyłem w pobliżu wielką, imponującą lianę, zwisającą z wysokiego drzewa do samej ziemi. Osobliwa liana wyglądała

ekscentrycznie i nasuwała na myśl gigantyczny warkocz leśnego straszzydła; była

bajecznie fotogeniczna. Niestety nie miałem przy sobie aparatu, więc postanowiłem wrócić następnego dnia z rollei-flexem.

Nic z tego nie wyszło. Wróciłem, ale liany i miejsca, gdzie zwisała, już nie odnalazłem.

Przeszukiwałem wraz z Pniewskim wszystkie ścieżki w okolicy, bez skutku. Przecież liana nie zapadła się w ziemię i nikt jej nie wyciął, a przy tym rosła niedaleko chat i w ostępie, który mniej więcej sobie zapamiętałem, a jednak szukanie okazało się

daremne. Liana przepadła, wściekła się, także i my trochę.

Błaha rzecz, mało ważna i raczej zabawna, a jednak odświeżyła w mej pamięci owe dziwne, zawikłane kompleksy, jakich doznawał tu biały człowiek od chwili pierwszego wkroczenia do puszczy amazońskiej. Wiadomo, że od wieków puszcza budziła w nim

podziw, ale częściej napełniała go przerażeniem.

102

Uwielbiał jej majestat, ale gdy opierał się o pień drzewa, przeszywał go ból od mrówek lub innych kąśliwych owadów.

Jak dawno sięgała pamięć ludzka, puszcza amazońska nieustannie pochłaniała ofiary.

Ginęli w niej samotni podróżnicy i ginęły całe wyprawy. Ludzie z niej wracali z pomieszaniem

zmysłami. Iluż to nieszczęsnym wędrowcom w ciągu czterech wieków

przypadał okrutny los, jaki prześladował żonę Godina de Odonais, towarzysza

francuskiego badacza Contamine'a w połowie XVIII wieku? Dzielna kobieta, chcąc

dostać się do męża, postanowiła przebić się przez puszcę z Quito aż do samej

Amazonki. Z licznego orszaku wszystkich po drodze utraciła, także dwoje własnych dzieci, i w końcu ją samą cudem niemal ocalili leśni Indianie. Ona oszalała i nie wyleczyła się z obłądu już do końca życia.

Ileż ludzi dosłownie do dnia dzisiejszego ginęło w puszczy marną śmiercią podobnie jak zuchwały młodzieniec, Raymond Maufrais? On przecież w połowie XX wieku

przepadł w lasach Gujany Francuskiej, pozostawiając jeno tragiczny dziennik nad brzegiem rzeki Ouaqui.

Jakiż bujny i szeroki wachlarz czozań pro i contra pozostawili nam w spadku ludzie, którzy ongiś wdzierali się do Amazonii i o tym później pisali! Pójdźmy na chwilę śladem ich ścieżek i ich wrażeń.

Oto twórca nazwy Zielonego Piekła, Julian Duguid, nawiedzony frywolnym humorem, widział w puszczy łagodny krajobraz Anglii, urocze zakątki jakiegoś Devonu czy

Somersetu, gdyby nie palmy. Ale już etnograf Maybury-Lewis, inny Anglik,

przeciwnie, odczuwał tu na każdym kroku wrogość przyrody, zajadłość trawy tnącej jak brzytwa, udrękę kolczastości.

Niemiec Georg Seitz przypominał amazońskie powiedzenie, że bogowie są tu potężni, ale potężniejsza i okrutniejsza jest puszcza. Tymczasem angielski przyrodnik

Matthiessen nie wyobrażał sobie piękniejszego lasu na ziemi niż w dorzeczu

Amazonki, ale nieco dalej przeklinał makabryczną obfitość gryzących owadów.

Znakomity pisarz amerykański, Waldo Frank, zapewniał, że

108

każdy krok człowieka w puszczy to walka i wątpliwe zwycięstwo; że główna cecha

tutejszej przyrody to bezgraniczny smutek i nieustanna panika. A jeden z

najwybitniejszych autorów Brazylii, Euclides da Cunha, wystawił o życiu kabokli najposępniejszy dokument, pisząc książkę pod tytułem: „Lasy" (Os Sertaos).

Współczesny nam amerykański publicysta William Lytle Schurz ostrzegał, że

Amazonia wciąż wyłącznie należała do owadów i one trzymały w jarzmie wszystkie

inne istoty, mozolące się w puszczy, także Indian. A Willard Price od nowa uwypuklał

frapujące w Amazonii połączenie majestatu i grozy i słał tytaniczną potęgę puszczy, wobec której człowiek karłał jak lękliwy robak. Karol Darwin oczywiście nie omieszkał

dorzucić swych pochwalnych trzech groszy: że krajobraz brazylijski to marzenie z Nocy Arabskich, a przyrodnik tyle spotykał tu osobliwości i piękna, że nie wiedział, czym najpierw napoić oczarowany wzrok. Wiadomo: głos przyrodnika.

Po drugiej wojnie światowej, nie tajna to rzecz, mnóstwo przestępców wojennych z Europy dawało nura w Ameryce Południowej, by tu zaszyć się w dżungli ludzkiej albo przywarować w grzędzawiskach puszczy amazońskiej. Pewnego dnia, w niewiele lat po zakończeniu wojny, na odległym posterunku Ochrony Indian w Barbosa de Faria, w

południowo-wschodniej części terytorium Rondónii, zjawił się rudy wędrowiec. Miał

niespokojne oczy Żyda, Wiecznego Tułacza — jak go scharakteryzował brazylijski

dziejopisarz tych stron, Octavio de Faria. Ale to był Niemiec z Gdańska, czego przybysz wcale nie ukrywał. Przywędrował z południa, z Argentyny, przemierzył

Paragwaj, nigdzie nie zatrzymując się dłużej, gnany wiecznym niepokojem — i oto dotarł do Rondónii.

Otwarcie wyłuszczał swój zamiar. Chciał dostać się do pierwotnych Indian, żyjących w okolicy Barbosa de Faria, i żyć wśród nich jako przybrany członek szczepu. Trzech Brazylijczyków posterunku słuchało go z osłupieniem, gdy on gorączkowo wykladał

swój światopogląd: dość miał ludzi cywilizowanych! Obrzydły mu wojny i prześladowania między

narodami, nienawidził sądów międzynarodowych i następowania innym ludziom na

pięty, zamęczały go ciągłe pościgi, jakby człowiek był zwierzem...

Gdy gdańszczanin tak wyłuszczał Brazylijczykom swe kłopoty, mimo woli spoglądał

poza siebie, jak gdyby obawiał się pogoni. Natomiast od czasu do czasu wejrzeniem, pełnym otuchy, ogarniał północny widnokrąg, gdzie żyli upragnieni Indianie.

— Do nich chcę iść, do tych prostych, dobrych ludzi! — wynurzał z wypiekami na twarzy. — U nich

znajdę wytchnienie, tam nie będą mnie prześladowały zmory świata cywilizowanego... Tam będę jak u matki w łonie!...

— Nic podobnego! — zaprzeczył dowódca posterunku. — Tam u Indian spokoju nie będzie!

I Brazylijczyk wyjaśnił, że kilka miesięcy temu owi Indianie ze szczepu Nambikwara dokonali napadu na posterunek i jednego z załogi zabili, a do dnia dzisiejszego byli wciąż rozdrażnieni. Więc stanowczo odradzał pójście do nich tym bardziej, że Niemiec nie miał żadnych podarków, którymi mógłby wkupić się...

— Chcę pójść jako przyjaciel! — niecierpliwił się gdańszczanin, targając swój rudy zarost. — Przekonam ich o mej dobrej woli i nic nie będę żądał prócz tego samego, dobrej woli...

Dowódca przekładał, że to w danej sytuacji pewna śmierć, istne samobójstwo, ale tamten trwał uparcie przy swoim i nie dał się odwieść.

Noc przebył na posterunku. Jęczał przez sen i budził załogę, wykrzykując

niezrozumiałe słowa. Dusił go koszmar. Gdy następnego dnia Brazylijczycy o tym

wspomnieli mimochodem, przeraził się i chciał wiedzieć, co w nocy wołał. Powiedzieli mu, że brzmiało to jak: Stutthof.

Przestraszony gdańszczanin szybko się pożegnał i odszedł na północ, ku indiańskim malokom. Widocznie niebawem zginął, bo wieść o nim zupełnie przepadła.

## 25. Konie a sprawa smi

Właściwie należałoby pisać o Metysce Marii, kręcącej fertycznym kuperkiem w nagannych celach w domu Raimonda Verissimo albo należałoby rozślawiać urodę tutejszych motyli, albo ponarzekać na niedolę tutejszych mieszkańców — ale nie, na pierwszy plan naszych przeżyć, naszych nocnych przygód, wyforowały się konie, prozaiczne szkapy, bezczelne rosynanty.

— Gdzie jaguary! Dlaczego jaguary nie robią tu porządku? — wołałem do Zygmunta Pniewskiego prawie że serio, niemal rozsierdzony na świat i puszcę. — Na rany boskie, czemu tu nie ma jaguarów? Gdzie równowaga w przyrodzie?

Nie było tutaj jaguarów ani równowagi w przyrodzie. Jaguary stanowiły żelazny repertuar naszych pisarzy-podróżni-ków po Brazylii przed trzydziestu, czterdziestu laty. Ale nie tylko naszych, innych także. W niektórych opisach roiło się bez miłosierdzia od tych drapieżników (jak również od jadowitych węzów), a wymieniony już J. Duguid nawet przybrał sobie przydomek Zabójcy Jaguarów. Nie ulegało wątpliwości, że w pewnych okolicach Ameryki Południowej bestie występowały licznie i często były plagą.

Tadeusz Borecki, dobry znajomy z czasów mych wypraw do Parany, mieszkający u ujścia rzeki Ubazinho do rzeki Ivai, przeżywał przez dwa lata koszmarny frasunek: co pewien czas, gdy Borecki najmniej tego się spodziewał, odwiedzał jego obejście jaguar, porywał świnię i jak demon szybko z nią uchodził. Rozgorzała wojna zawzięta i beznadziejna dla człowieka; wielonocne zasiadki zawodziły. Jaguar był nieuchwytny.

Był to przebiegły olbrzym, zjawiał się z daleka i pojmawszy łup, uchodził wszelkiej pogoni. Po zadaniu poważnych strat — porwał ogółem kilkanaście świń — na szczęście znikł znad Ubazinho; albo zginął, albo przeniósł się na inne łowiska. Borecki i jego rodzina odetchnęli po dwuletniej zmorze.

tor

Wspomniany już brazylijski autor Eduardo B. Prado, lubujący się w sensacyjnym opisywaniu stosunków nad rzeką Ma-deirą, wiele pisał o jaguarach i poświęcił im nawet jeden tęgi rozdział swej książki. Jak wynika z jego wspomnień, w okolicy

Aripuny było mnóstwo zwierza, a pewien jaguar-ludożerca, mający na sumieniu

siedem ofiar ludzkich, dał autorowi okazję do wstrząsających przeżyć, zanim legł

trupem z ręki — oczywiście — autora.

Więc w takie bestie obfitowały puszcze nad dolną i środkową Madeirą, ale czemu

niegodziwych jaguarów nie było nad górną Madeirą? Czemu ich ani na lekarstwo w

pięknym, bujnym gąszczu dokoła Mutum Parana?!

Pniewski i ja nocowaliśmy na piętrze w drewnianej przybudówce domu Verissima,

klitce zmurszałej ze starości i przeżartej brudnym kurzem. Wchodziło się do niej paskudnie, nie po schodach, lecz po czymś w rodzaju chwiejnej drabiny. W pokoiku ziało nędzą i nudą, żadnych ozdób ni mebli prócz koślawego stolika, kilku gwoździ wbitych w belki i kilku haków na hamaki. „Przepych roślinności wypukłał tu

duchowe i materialne ubóstwo ludzi" — zafurkotało coś we mnie czymś

powiedzonkiem, gdy wgramoliłem się po raz pierwszy do naszej kwatery.

Ale prawdziwe zło, romantyczne zło, zaczęło się dopiero w nocy. Śniło mi się nie o Indianach ani o katastrofach rozbitych pociągów, lecz uparcie szalała burza na morzu, a potem było trzęsienie ziemi. Gdy trzeźwiałem, ogarniało mnie osłupienie, bo

rzeczywiście wszystko dokoła się chwiało: ściany pokoju, podłoga, nasze hamaki.

Chwiały się i ohydnie trzeszczały wszystkie spoidła, jakby chałupa miała się rozpaść w następnej chwili. Równocześnie z dworu dochodziły nas głuche chroboty niby tarcia jednej rzeczy o drugą, a gdy niezwłocznie usłyszeliśmy tupot koni i zduszone rżenie, wiedzieliśmy, kto na nas nacierał.

— Konie — zerwał się z hamaka Pniewski. — Pies im mordę lizał!

W istocie konie jakby zwariowały, jakby zaraziły się szalem

107

Podkowińskiego albo uciekły spod siodła czterem jeźdźcom Apokalipsy. Z pasją

pchały się na parterowe części naszej chaty i nią całą gwałtownie wstrząsały. Czyżby to końska wersja „Ptaków" Hitchcocka? Nie. Wielkie cielska tarły się zawzięcie o węgiel i ściany naszej przybudówki, by widocznie pozbyć się kleszczy w skórze.

Niestety konie kleszczy się nie pozbywały, więc wracały do nas co noc, potwornie szurając się o chatę przez godzinę, dwie

I zmuszając nas do bezsenności. Niczym nie krępowane, w ciemnościach włóczyły się wszędzie jak zuchwałe bestie i całą miejscinę uważały za arenę swych awantur. Dopust Boży staraliśmy się przyjmować z godnym hartem i pogodą ducha, bezradni wobec

końskiego żywiołu, a świadomi trzech nieuchronnych zrządeń losu: okrutnej w tych stronach obfitości robaczych pasożytów, nieprzyzwoitego braku jaguarów i pum w tych lasach oraz naszego osobistego pecha.

Pech: konie łąęgowały wśród wszystkich domów, tłukły się na wszystkich ścieżkach i torach w Mutum Parana, ale parszywe kreatury rozmiłowały się tylko w tej jednej, naszej chacie. Jedynie tu się wyszudrywały z całej duszy, wszystkie inne domy

omijały. Bydlaki oszczędzały sen wszystkim innym mieszkańcom, tylko nie nam.

## 26. Piękno motyli i wdzięk sępów

Motyle, jak wiadomo, były dla mnie uporczywą obsesją, od lat poddawałem się ich czarowi.

Motyle weszły do naszej literatury znacznie mocniej niż u Anglików, Francuzów czy Niemców. Wszyscy niemal nasi pisarze, a zwłaszcza poeci, upodobali je sobie jako przenośnie i symbole to ludzkiej płochości, to subtelnego piękna i fantazji czy kobiecego wdzięku, to słonecznych sielanek.

Droga do mej motylomanii nie prowadziła przez naszych klasyków, chociaż w chłopięcej duszy jaśniały akermańskie bło-

108

nia, kędy się motyl kołysał na trawie — natomiast głównym przewodnikiem i

mentorem stał się mój ojciec. Ów człowiek, niezwykły nie tylko w oczach syna,

romantyk pełen serca dla spraw przyrody, wprowadzał mnie w świat urzekających

rzeczy, (o czym już przed wielu laty pisałem). Uczył mnie patrzeć na dęby rogalińskie, a chyba najbardziej — spostrzegać dorodność motyli. Poprzez łęgi nadwarciane szły marzenia ku dalekim puszczom.

Więc ziściły się puszcze. Nad Amazonką, już w pierwszym dniu zetknięcia się z

przepychem zieleni, odkryłem zdumiewające zjawisko: nie dziwne ssaki, nie ptaki, nie gady, nie miliony komarów, nie muchy natarczywe, nie ludzie nadawali ton

tropikalnej egzotyce, lecz wszechwładnie wybijała się obfitość niezwykłych motyli. Nie wyobrażałem sobie, że ujrzę tak rześistą ilość „kwiatów, które ożyły", i takie oszałamiające barwy. Ileż to razy w tych latach przyszło mi zadumać się nad tym, jak to dawne chłopięce sny i marzenia ojca oto stawały się rzeczywistością.



Nie zawsze i nie wszędzie spotykałem później na tym lądzie tyle motyli, ile w ów pierwszy dzień po wylądowaniu u ujścia Amazonki. Ale jednak było ich dosyć, bym mógł ciągle przypominać sobie słuszne słowa wielkiego przyrodnika Alfreda R.

Wallace'a. Ów namiętny badacz Amazonii już przed przeszło stu laty dokumentnie stwierdzał, że w pasie tropikalnym motyle były najbardziej uderzającym i nieustannym zjawiskiem wśród zwierzęcego świata. Czy dziwić się, że ulegałem urokowi amazońskich motyli?

Wallace w swym klasycznym dziele o tropikalnej przyrodzie, jak to on, zachwycał się swymi odkryciami: wielkością niektórych motyli, szczególnie z rodzin Papilio i

Morpho, które, gdy siadały na krzakach i rozkładały swe szlachetne skrzydła,

wydawały się ogromniejsze niż większość ptaków w Anglii. I podziwiał Wallace

fantastyczną wielobarwność ich skrzydeł i kapryśne często kształty, ale w największy zachwyt wpadał, widząc ich taką ilość. W jednej tylko miejscowości, w Belém U ujścia Amazonki, w ciągu roku złowił wiele tysięcy dziennych motyli w sześciuset różnych gatunkach, podczas gdy wtedy w całej Anglii nie odkryto więcej niż sześćdziesiąt cztery gatunki motyli.

Do Mutum Parana przybyliśmy po kilkudniowych deszczach i gdy słońce wreszcie się ustaliło, motyle jak gdyby wciąż nie ufały pogodzie. Były, to prawda, ale bez rajskiego tłoku, a przy tym diabelnie pierzchliwe i grymaśne. Z jakiejś tajemniczej fantazji wszystkie motyle kryły się często na parę godzin w gęstwinie pomimo nęcącego słońca i nie dało się ludzkim rozumem dociec zagadki ich znikania.

Zatem gdy się pojawiały, były czujne, zwinne, krzepkie i nie mniej przebiegłe. Dwa dorodne Morpha, już złapane i niby w naszej siatce, umiały wyprysnąć nam spod rąk.

Śmiałyśmy się z siebie, że przypominaliśmy niefortunnych podskakiewi-czów, którym

„przepióreczka uciekała w proso”, jak to w życiu często bywało.

Kiedyś zaskoczyłem kilka motyli Morpho w miłosnych igraszkach. Samiczka, siedząca na niewysokim krzaku, zdradzała drgającymi skrzydłami chęć oddania się. Dwóch

samców, posłusznych wezwaniu, latało dokoła, ale zbyt przejęte i rozognione

wzajemnie sobie przeszkadzały. Byłem przekonany, że cała trójka straciła głowę i nie widziała poza sobą świata bożego, ale przeliczyłem się. Gdy podszedłem na kilka kroków z siatką, motyle w mig spostrzegły wroga i nagle przytomniejąc, panicznie się ulotniły. Pozostał mi tylko podziw dla ich czujności.

Były to Morpho menelaus.

Scena ta nasunęła mi na pamięć inny gatunek Morph, cypris, który nie był tak opanowany i, przeciwnie, w podobnych wypadkach całkowicie tumaniał. Ów Morpho cypris, jeden z najpiękniejszych z całej rodziny, żył w Kolumbii. Zbieraczom tamtejszym nie uszło uwagi wyjątkowe jego omamienie w okresie godów. Cypris wpadał wtedy w istny szal. Samiczka, znacznie większa i brązowa, wabiła do siebie płęć męską, a rozplómięte samczyki, nieco mniejsze, za to błyszczące najokazalszym lazurem, zlatywały się jak narwane.

110

Kolumbijscy łowcy, którym udawało się złapać samiczkę i żywą wystawić na przynętę, zbijali niezłą forszę: niebiescy za-lotnicy rojnie zlatywali im do siatek. Na szczęście dla motyli samiczki Morpho cypris były bardzo rzadkie i trudne do zdobycia, ale cwanych motylarzy to nie zniechęciło. Wpadli na lepszy pomysł. Zamiast samiczki brali

szmatkę brązowego jedwabiu i ruszali nią, jak gdyby to był żywy owad, a to już wystarczało: zwariowane samczyki rzucały się z daleka, przekonane, że to oblubienica.

Tedy zaślepienie zmysłowe także motylom nie szło na zdrowie.

W Mutum Parana na wysychającym błocie po deszczach pojawiły się z puszczy

Callidryas. Wielkie, stateczne motyle o ciepłej żółtej barwie (znacznie cieplejszej niż u naszych cytrynek), na domiar na końcu skrzydeł z soczysto pomarańczową plamą —

odpowiadały zaszczytnej swej nazwie: Callidryas znaczyło w greckim tyle co „piękna nimfa leśna”. To przeważnie samczyki całymi stadami w wesołej kompanii zapijały się wilgocią błotną; samiczki, bez pomarańczowego znaku, pozostawały w lesie i tam

wolały czekać na powrót małżonków: miały schludne zwyczaje drobnomieszczkańskich żoneczek.

Od czasu do czasu, raczej z rzadka, przylatywały motyle stosunkowo niewielkie, ale budzące w nas za każdym razem nie lada zachwyty. Należały do rodzaju Catagramma i na skrzydłach miały na czarnym tle kilka szerokich plam tak krzycząco czerwonych, że jarzyły się niby ognie; podobnie pałający czasem bywał czerwony blask słońca pod zachód. W owych jaskrawych plamach skupiała się jak gdyby cała namiętność

przyrody.

Urzeczeni, śledziliśmy lot Catagramm z niejakim zdumieniem. Było to doznanie tym powabniejsze, że rozgrywało się tuż obok bezlitosnej puszczy, kryjącej tyle zjadliwych tajemnic.

Niestety, rozkoszowanie się motylami było aktem krótkotrwałym, dorywczym. Motyle zniecka wylatywały z lasu, olśniewały nas na chwilę i zanim człowiek zdążył nasycić się ich urokiem, one już uciekały.

111

Natomiast wysokie niebo nie zawodziło, tam w górze działo się wielogodzinne misterium wdzięku. Nad Mutum Parana krążyły sępy urubu, krążyły prawie bez

ustanku. Czarne, obrzydliwe, obleśne, śmierdzące ptaki. Były najwstrętniejsze z ptaków południowoamerykańskich, ale na niebie — co za uczta dla oka, jaki wspaniały ich lot. Niezmiernie wysoko, majestatycznie, z rozpostartymi nieruchomo olbrzymimi skrzydłami, zataczały swe dostojne koła i w swej doskonałości ruchu kreśliły na błękitnie jakiś niebywale przejmujący taniec.

Człowiek patrzył w górę i był wzruszony tym pięknem. Tymczasem sępy patrzyły z góry w dół i wypatrywały ścierwa na ziemi.

ETAP SZÓSTY - GAUDIDO MABEANO DA »A RONDON

ŻARLIWY PRZYJACIEL INDIAN

27. Rondon, obrońca Indian

W Mu tum Parana byliśmy na zachodnich krańcach terytorium Rondónii i często

wypadało mi myśleć o niezwykłym człowieku, na którego cześć nazwano tę krainę: o Rondonie. Candido Mariano da Silva Rondon miał nazwisko szumnie brzmiące w

myśl zasad brazylijskiej grandilokwencji, ale był to człowiek raczej prostoduszny, odznaczający się niebywałą skromnością.

Rzetelny przyjaciel prawych ludzi i świata, żarliwy obrońca Indian, dziwny w Brazylii człowiek, bo nie chytry na forszę i nie dobierający się do mienia publicznego,

niezmożony pionier mało zbadanych okolic, dobry żołnierz, wnikliwy badacz

przyrody, a przy tym romantyk i ascetyczny filozof, wyrósł wysoko ponad przeciętny poziom swych rodaków. Był przez szereg lat, w okresie pierwszej wojny światowej i potem, najpopularniejszą w Brazylii postacią, legendarną i sławną na cały świat.

Umarł w 1958 roku. Na swej drodze życiowej spotkał Teodora Roosevelta, byłego

prezydenta Stanów Zjednoczonych, i z nim się zaprzyjaźnił, chociaż niepewna rzecz, kto komu w tej przyjaźni większy przynosił zaszczyt: o Rondonie na pewno śpiewano w Brazylii więcej ludowych piosenek niż o Roosevelcie w Stanach Zjednoczonych i większą darzono go miłością.

Ażeby Rondonowi nadać blasku i rozgłosu, w późniejszych latach utarła się fama, że był on czystej krwi Indianinem, wykształconym generałem-Indianinem, lecz to

nieprawda. Urodził się jako potomek białych Brazylijczyków kresowych 115

w okolicach Cuiaby, stolicy dzikiego stanu Mato Grosso, i wychowywał się w

pierwszych latach w normalnej u kresowców pogardzie dla Indian. Lecz chłopcu

zaczęły otwierać się oczy, gdy ci sami kresowcy nie tylko tłukli Indian, lecz w wyniku jakiejś nędznej zemsty zgładzili także dwóch czy trzech krewnych samego Candida.

Po śmierci rodziców siedmioletni chłystek dostał się do Cuiaby pod opiekę życzliwego wuja. Tu wnet odkryto wybitne zdolności umysłowe młodziana i pchnięto go do

nauki, następnie na drogę kariery wojskowej. Zanim został oficerem w korpusie

inżynierii wojskowej, koledzy jego i przełożeni przekonali się, że w ich gronie był

człowiek nie tylko wybitnie zdolny i koleżeński, ale, o dziwo, o spartańskim trybie życia i niebywałej prawości, wręcz przerażającej hulaków i kanciarzy z jego otoczenia.

Biorąc udział, zrazu jako adiutant, w budowie linii telegraficznych w środkowym i południowym Mato Grosso, zbliżył się Rondon do swych stron ojczystych i tu

rozwinął skrzydła do tęgiego lotu. Dobrze poznawał dziewiczy niemal kraj i twarde życie obozowe, obcował ze szczepami Indian i z nielicznymi białymi. Wśród trudnych wypraw wyrastał świetny znawca przyrody, kształtował się niezłomny charakter, a także sportowiec o wyrobionych mięśniach.

Gdy w roku 1907 Amerykanie na dobre przystąpili do budowy kolei Madeira-Mamoré, należało bezpośrednio połączyć ów daleki zachód najkrótszą linią telegraficzną ze stolicą Mato Grosso, Cuiabą. W linii powietrznej było z Cuiaby do Porto Velho tylko 1100 kilometrów, ale trasa wiodła przez kraj zupełnie jeszcze nie znany, o którym tylko wiedziano, że był dziki i złowrogi, pokryty nieprzebytą puszczą i poprzecinany srogimi pasmami gór, a gdzie rozciągały się stepy, tam wojowniczy Indianie, wrogo usposobieni do białych najeźdźców, bronili swych łowisk do upadłego. Budowę tej ważnej arterii rząd powierzył Rondonowi.

Rondon, karny dowódca, nie oszczędzał siebie ani podwładnych i dzięki swej

zapobiegliwości dokonał dzieła; w roku 1911,

po pięcioletniej morderczej, połączył drutem telegraficznym Cuiabę z Porto Velho. Była to bohaterska walka z bezmiarem przeciwności, podobna do tragicznych zmaganiań

przeżywanych przez innych ludzi przy budowie kolei Madeira-Mamore, bo i tu

zadanie było okrutne, wszyscy chorowali, szerzył się obłęd, wielu ginęło, a sam Rondon zwalczać musiał nie tylko wrogą przyrodę, lecz także oszczerstwa zawistnych kreatur; zazdrośczone mu coraz głośniejszej sławy w Brazylii. I co najtragiczniejsze, dzieło jego doznało równie smutnego losu jak kolei Madeira-Mamoró: wkrótce po

ukończeniu linia przestała być ważna, trud okazał się bezużyteczny; sprawił to

wynalazek telegrafu bez drutu.

Lecz na innym polu, ludzkim, misja Rondona odniosła wspaniałą triumf. Rondon,

poznając podczas pracy kilka szczepów indiańskich, znakomicie umiał z nimi się

dogadać. Zdobył ich zaufanie, a przede wszystkim serdecznie ich polubił. Do tych prostych, w głębi duszy niewinnych istot, tak prześladowanych przez wielu jego

rodaków, poczuł głęboką przyjaźń. Przejął się chęcią ratowania ich.

W owe czasy dyrektorem muzeum w Sao Paulo był Hermann von Ihering, „wyniosły

przyrodnik" (wg Octaviana Cabrala), który w prasie brazylijskiej wszczął zapalczywą kampanię za zlikwidowaniem szczepu Kaingangów, żyjącego w lasach południowej

Brazylii. Ponieważ owi Kaingangowie, broniąc swej ziemi, stali się uciążliwą plagą dla przybywających na ich teren białych kolonistów, a Indianie rzekomo byli rasą niższą, von Ihering zalecał ich wytepienie, co nie przyniosłoby ludzkości wielkiego

uszczerbku.

Gdy Rondon przypadkiem dostał do rąk artykuł von Iheringa, napisał do doktora

Lacerdy, dyrektora Muzeum Narodowego w Rio de Janeiro, list pełen oburzenia na

ludobójcze pomysły indianożercy. Obronę Indian, pramieszkańców tego kraju, uważał

Rondon za narodowy obowiązek i rzecz honoru wszystkich uczciwych Brazylijczyków.

Gorące wstawiennictwo Rondona, opublikowane w prasie, trafiło na podatny grunt: wywołało ogólny gniew na nieludzkiego dyrektora, a w stronę Indian otworzyło serca.

Rondon kuł żelazo, dopóki gorące. Zaledwie ukończył budowę linii telegraficznej, przystąpił w Rio do zorganizowania na wielką skalę państwowego urzędu, mającego na celu ochronę brazylijskich

Indian, Servico da Proteccao aos Indios, w skrócie SPI.

Służba Ochrony Indian zakładała swe posterunki wszędzie tam, gdzie istniały szczepy krajowców, i wiele zdziałała dobrego, szczególnie za życia Rondona. Główną jej

wytyczną dla agentów, pilnujących dalekich placówek, była zasada: „zginąć od Indian, jeśli trzeba, lecz nigdy ich nie zabijać” — zasada piękna, ale diablo ryzykowna.

Pomimo że w olbrzymim kraju nie wszędzie należycie docierały wpływy SPI, a jej

urzednicy nie zawsze byli ludźmi czystych rąk, Służba na ogół przyniosła szczepom dużo pożytku. Niejednemu fanatykowi od katrupienia Indian — a wśród kresowych

Brazylijczyków takich nie brakowało — dawała tego po łapach, zapędy zabójców

studziła, wiele ognisk indiańskich uchroniła od zagłady. Ale zbyt dużo zbrodni

popelniano na zapadłych ostępach, by wszędzie zapewnić pokój Indianom. Nie zawsze SPI zdążyła wkroczyć i zapobiec złu, jak to Rondonowi udało się w roku 1915 na północ od rzeki Guaporé.

Był to wówczas rejon interesów angielskiej „Guapore Rubber Company”, dobywającej z lasów kaczuk rękoma brazylijskich seringueiros oraz Indian, łapanych i pędzonych przemocą do roboty. Przeciw niewoli i przeciwko wdzieraniu się najeźdźców w ich lasy buntowały się tamtejsze szczepy i nieustannie gorzała wojna karabinu przeciw łukowi.

Ażeby puszcę nad Guaporé oczyścić raz na zawsze od plagi Indian, Kompania —

zresztą za namową brazylijskich współpracowników — zaczęła sprowadzać z okolic

İquitos oddziały peruwiańskich Indian, specjalnie zaprawionych przez białych

prowordrów do tępienia niewygodnych szczepów za pomocą winchestera. Nad

Guaporé oznaczało to wyrok śmierci dla tamtejszych Indian. Na szczęście w tym

czasie przebywał Rondon w Porto Velho i pomimo że miał przeciw sobie potężną

Kompanię i wszystkich brazylijskich zbieraczy kaczuku, działająca

cych na północ od rzeki Guaporé, obronił swych podopiecznych. Peruwiańczycy

musieli wrócić do Peru bez wystrzelonych winchesterów, a brazylijskim zbieraczom kaczuku dano po nosie.

Ale jakże rozległa była Brazylia i ile innych jeszcze rzek, podobnych do Guaporé, toczyło swe nurty!

Prasa w Rio rozdmuchała zajścia nad Guaporé (bo chętnie przypinała łatkę Anglikom, zbyt skąpym

ponoć przy dawaniu łapówek) i Rondon stał się bohaterem dnia. Ale on był już od dawna narodowym bohaterem. Wielu go nienawidziło, bo psuł im interesy broniąc Indian, inni, liczniejsi, go ubóstwiali: uosabiał wszystko to, co najlepsze tkwiło w naturze Brazylijczyka. A sława nieustępliwego obrońcy Indian płynęła już daleko poza granice Brazylii i krajowi przysparzała chwały.

## 28. Wyprawa Rondona i Rooseyelta

Na północy, w Stanach Zjednoczonych, po erze Bufallo Billa i podobnych mu zabijaków wyrastał pod koniec XIX wieku i w początkach XX nowy ideał

dynamicznego cowboya i dzikiego jeźdźca, Theodore Roosevelt. (Trzecia, już

nowoczesna, odmiana zabijaków, cowboyów i jastrzębi, tych od Johnsona, Nixona i Pentagonu, powstanie w Stanach Zjednoczonych w pięćdziesiąt lat później).

Theodore Roosevelt, urodzony w Nowym Jorku, z wykształcenia prawnik, z

temperamentu impetyk, a z umiłowania pisarz, urzeczony pionierską przeszłością

Stanów Zjednoczonych, głośny kronikarz kresowej krzepy, wieloletni cowboy na

swym rancho w Dakocie, zdobył w Stanach heroiczną sławę w roku 1898, gdy strąbił

ochotniczą brygadę zawadiaków, rough riders, i z tymi szorstkimi jeźdźcami uderzył

na Kubę, by ją „wyzwolić” spod panowania Hiszpanii.

Szybkie od tego czasu awanse zawiodły go w trzy lata do najwyższego szczytu w Białym Domu i Roosevelt, jako prezydent USA od 1901 do 1909, zdobył i Nagrodę

Pokojową Nobla,

119

i ujarzmił Amerykę Łacińską swą dolarową Doktryną Roosevelta, i położył łapę na Dominikanie, Nikaragui i Haiti, i oderwał część Kolumbii. Dopiero gdy przegrał

wybory na prezydenta w 1912, syty sławy i zasług, postanowił rzetelnie odsapnąć.

Odtąd już tylko oddawał się marzeniom o amerykańskim imperializmie i o misji

narodu jankesów oraz uprawiał myślistwo i dalekie podróże, a po afrykańskim safari, wciąż krewki i niepożyty, przybył wraz z synem Kermitem do Brazylii, by doznać tutaj nemrodowych rozkoszy.

Tak ważnego męża stanu z Północy rząd brazylijski postanowił ugościć z należytymi honorami, lecz przydać mu w puszczy gładkich dyplomatów byłoby nonsensem.

Wybór padł na jedynego człowieka, zdolnego godnie podjąć w dziczy dostojnego

podróżnika: był nim Rondon, Brazylijczyk przecież już sławny i świetnie obyty z puszcza, a przy tym pełen osobistego wdzięku i opanowania. I żołnierz.



Roosevelt przybył do Brazylii nie przez stolicę Rio de Janeiro, lecz od południa, od strony Buenos Aires i rzeki Parana. Paragwajska kanonierka przywiozła go do brazylijskiej granicy, a tu, w Corumba, oficjalnie przyjął go Rondon. Teddy Roosevelt, znany ze swej bezpośredniości, od razu przegnał wszystkie urzędowe ceregiele i ceremonie i obydwaj mężowie przypadli sobie do gustu.

Brazylia, po bogatej w zwierzynę Afryce Wschodniej, wydała się myśliwską sierotą, zwierzęcym pustkowiem. Ale znalazł się jaguar. W pobliżu Corumby Roosevelt doznał szczodrego przyjęcia u bogatego obszarnika, a peoni fazendy wytropili jaguara i postarali się, żeby drapieżnik uciekł na drzewo i czekał tu na celną kulę amerykańskiego gościa.

Wyprawa wiodła zasadniczo w kierunku północnym, trwała kilka miesięcy i skończyła się w maju 1914 roku w Belém u ujścia Amazonki. Przeważnie odbywała się łodziami, na wielu rzekach, częściowo też samochodami, nawet pieszo, a przedział wód między dorzeczem Parany a dorzeczem Amazonki przebyto w siodle.

W owej pierwszej fazie wyprawy, w Utariti, doszło niemal

120

do krachu na skutek narodowej przywary Brazylijczyków: „amanha — jutro”. Nie można było ruszyć z miejsca: to ludzie rano chorowali, to konie w nocy uciekały, to odraczano wymarsz z niewiadomej przyczyny — i tak z dnia na dzień ulubionym w

kraju nawykami. Po kilku dniach Roosevelt stracił cierpliwość i zrobił ludziom

awanturę, przekonany, że się z niego nabijali, ale krzywdził ich: oni tylko zachowywali się jak Brazylijczycy. Ostatecznie wyprawa wymaszerowała i zapanowała zgoda.

Odtąd przedzierano się w kierunku zachodnio-północnym przez ustronia leśne i stepowe, wcale dotychczas nie znane i z rzadka jeno zaludnione przez Indian

Nambikwara, więc Roosevelt był w swoich sosach. Polował po drodze, ale ukazywała się tylko licha zwierzyna, natomiast dziewiczość przemierzanych ostępów wprawiała go, pioniera i odkrywcę, w zachwyty. Były też normalne w takiej wyprawie przygody: na rzeczonym progu rozbiła się kiedyś łódź i młody Roosevelt, Ker-mit, ledwo nie zginął; natomiast utonął jego towarzysz, Brazylijczyk.

Któregoś dnia wyprawa dojrzała do wielkiej i nieznannej rzeki, którą nazwano Rio da Duvida, Rzeką Wątpliwości. Płynęła na północ ku dalekim nurtom Madeiry i

Amazonki. Była to, przemianowana później ku czci gościa, Rio Theodore Roosevelt, powstała w

górach południowej Rondónii. Z jej prądem popłynęła teraz wyprawa

dosłownie w nieznane. Garstka dwudziestu kilku śmiałków, zagubiona w okrutnie

obcym świecie, borykała się z wrogą przyrodą — i z sobą samą.

Bo powstał nowy konflikt. Wśród eskorty był niesforny szeregowiec, który podczas kłótni ze swym przełożonym, sierżantem Paixao, zażgał go na śmierć i uciekł do lasu.

Ale w gąszczu zabójca przeraził się samotności, pewny, że zginie z głodu albo z ręki Indian, i powrócił na brzeg rzeki.

Gdy wyprawa przepływała obok niego, on roztrzęsiony krzyczał do ludzi, by go „na miłość Boską nie pozostawiali samego”, a gdy nikt nie odpowiedział, zwrócił się do Roosevelta jako do miłosiernego cudzoziemca i błagał go o ujęcie się za nim.

131

Kosa trafiła na kamień: oburzony Amerykanin wymierzył do niego ze sztucera, lecz nie wystrzelił, towarzyszom na łodzi zaś oświadczył, że żołnierz, który zamordował

swego przełożonego, winien być zastrzelony jak pies, i dziwi się, że nikt z wyprawy tego jeszcze nie dokonał.

— Nie dokonał — odrzekł Rondon uprzejmym głosem — bo w Brazylii nie istnieje kara śmierci, a każde odbieranie komuś życia jest przeciw prawu!

Od słowa do słowa między Rondonem a Rooseveltem, który nie mógł się uspokoić, wynikła ożywiona dyskusja. Roosevelt był rozdrażniony. Kilkutygodniowy pobyt w dzikiej głuszy jednak zrobił swoje, nadszarpał z lekka nerwy.

— My na Północy — wydał wargi — mamy doskonały sposób, by gładko, niezawodnie, bez ceregieli uśmiercić winowajcę, nawet gdyby to było przeciw przepisom prawa: to niezawodny lincz! Gałąź, postronek i powietrze oczyszczone! To brutalny, tak, ale męski wymiar sprawiedliwości!...

Roosevelt rozglądał się po obecnych Brazylijczykach z wyrazem przewagi.

— Męski — zgodził się Rondon z uśmiechem — ale zaraźliwy: prowadzi zbyt często do zabójstwa prezydentów Stanów...

Czynił niezawodnie przytyk do zamordowania prezydenta Mac Kinleya, dzięki czemu Rooseveltowi przypadła w 1901 roku prezydentura Stanów Zjednoczonych.

Gościowi zablęskły w oczach pod okularami ogniki zaperzenia. Z trudem ukrywał

zniecierpliwienie.

— A u was — warknął — w Brazylii, to same aniołki? Bezprawia nie ma?

— Jest aż nazbyt dużo! — przyznał Rondon. — Ale... ale my się tym nie chełpimy!...

Kronikarz Octaviano Cabral, opisujący kłopotliwą scenę, oddał Rooseveltowi sprawiedliwość: onże szybko ochłonawszy, szczerze się roześmiał i serdecznie podał dłoń Rondonowi gestem przeproszenia.

Znamienity gość był pełen ujmującej prostoty i z każdym

133

chętnie rozmawiał, ale, w gorącej wodzie kąpany, miewał chwile grubiaństwa. Często odzywał się w nim cowboy. Pewnego razu niemało oburzył Brazylijczyków, gdy psa

obozowego, który przypadkiem wlaźł mu pod nogi, gniewnie kopnął z całych sił. Pies zażywał powszechnej przyjaźni jako czujny stróż obozu, pilnujący, by nocą nie

wkradły się drapieżniki, więc gdy żałośnie zawył, Brazylijczycy poczuli się dotknięci.

Roosevelt, świetny orator wiecowy, lubił wiele mówić nie tylko w Stanach

Zjednoczonych, ale także przy wieczornych ogniskach nad brzegami rzek

brazylijskich. Był arbitralny, miał zuchwałe poglądy, walił prosto z mostu: jak gdyby przy-głośny młokos amerykański, któremu wpadł do rąk wielki ster historii. Rondon i jego adiutant, układny kapitan Amilkar Magalhaes, słuchali znakomitego gościa z podziwem i zdumieniem, często nie dowierzając własnym uszom.

Więc Roosevelt hojnie sypał pochwałą, ale nie skąpił i przy-gany. Przy szumie

komarów na plażach rzecznych chwalił Rio de Janeiro, że czystsze i lepiej brukowane niż Londyn, Paryż, Chicago czy Nowy Jork, a tylko ustępujące porządnemu

Berlinowi!... Nie ukrywał swej odrazy do Japończyków, bo niebezpieczni,

nieprzyswajalni i co najgorsze: zółci!... O Indianach wywnętrzał się jak najmniej, świadomy uczuć Rondona do czerwonej rasy, ale nie potrafił stłumić zupełnie swej pogardy do nich, mówiąc: jankesi ten problem załatwili u siebie praktycznie i

realistycznie, a kto z Indian przeżył, okazał się cudem odporności na ospę i, hehe, na kule karabinowe... Roosevelt nie cierpiał Murzynów, o nie, a że Brazylia tak okropny stworzyła rasowy melanż i bigos, hańbą to było i winą dawnych Portugalczyków...

Rondon i Magalhaes, słuchając zwierzeń pięćdziesięciosześcioletniego „tough boya”, milczeli zażenowani, ale rozgadany Roosevelt wcale nie zauważał ich zakłopotania.

Przeciwnie, bardzo ich polubił, a zwłaszcza Rondona. Gdy wyprawa dobiegła końca w Belém, Teddy był dla Rondona pełen uznania i wzruszony zęgnął się „z jednym z najwspanialszych mężów, jakich wydała Ameryka Łacińska”.

123

Ale bomba przyjaźni wybuchła najsilniej w chwili lądowania Roosevelta w Nowym Jorku, kiedy to na głośnego podróżnika rzuciła się falanga reporterów.

— Pułkownik Rondon — zapewniał przybysz dziennikarzy — posiada wszelkie

walory wielkiego kapłana, jest człowiekiem wzniosłych zasad o doskonałości niewyobrażalnej w nowoczesnej dobie... Tak rozległy jest jego zasób wiedzy, że można go uważać za uczonego... Rondon to nie tylko wybitny żołnierz i dżentelmen, ale nieustraszony badacz, doświadczony przyrodnik, mędrzec. Można z nim

ciekawie rozmawiać

O wszystkim: o polowaniu na jaguara, o niebezpieczeństwach zarówno puszczy, jak przemysłowej cywilizacji, o zasięgu dzisiejszej etyki... Naród wydający takich synów ma wielką przyszłość: do niego należy wiek dwudziesty...

I, żeby rozwiać wątpliwości, były prezydent-cowboy godnie się rozgalopował:

— Ameryka ofiaruje światu dwa cyklopowe osiągnięcia: budowę Kanału Panamskiego i dzieło Rondona — naukowca, człowieka czynu, przyjaciela ludzkości!...

Więc po takich rewelacjach ze strony męża stanu tak wysokiej miary stało się: sława Rondona jeszcze mocniej poszła na cały świat, a Brazylia oszalała. W Brazylii posypały się zaszczyty na generała (już nie pułkownika). Ochrona Indian święciła triumfy, Rondona proszono tu, Rondona proszono tam, Rondon musiał rozstrzygnąć spór o

wybór prezydenta kraju, ba, musiał uśmierzać rewolucje i krajowi przywracać pokój.

Ale chyba największy, a zabawny zaszczyt dostał mu się w roku 1922, kiedy z pompą obchodzono stulecie niezależności Brazylii. Ówczesną uroczystość uświetnił swoim przybyciem belgijski król Albert I, wielki entuzjasta Rondona. Jego przede wszystkim, bohatera puszczy brazylijskiej, chciał widzieć szlachetny gość i, ku lekkiemu

zgorszeniu prezydenta Brazylii, przybysz gorliwie o niego się dopytywał.

A Rondon, niestety, siedział gdzieś daleko w puszczy u Indian i trzeba go było na łeb na szyję ściągać

do Rio. Ściągnięto

1 król Albert najchętniej z nim rozmawiał, a nie z ważnymi dostojnikami. Oni jeszcze bardziej kręcili nosem, gdy Rondon otrzymał od króla najwyższy order belgijski.

No, trudno. Brazylijscy dygnitarze musieli pogodzić się z faktem, że na świecie bardziej ceniono osobistość słynnego bohatera niż dostojęstwo urzędników.

## 28. Złoto w Urumaquia

Candido Rondon, „człowiek wzniosłych zasad, o walorach wielkiego kapłana" był

przecież nieodrodnym, z krwi i kości Brazylijczykiem, i to Brazylijczykiem z Mato Grosso, więc jako takiego opętał go urok złota. Owszem, kochał Indian i bronił ich do upadłego, w życiu osobistym celował skromnością iście spartańską, gardził

przepychem, nienawidził blichtru, ale złoto go fascynowało. Marzył o złocie, snuł

pieniste plany, żył mitem złota. Oczywiście złota nie dla siebie; dla dobra narodu.

Olśnienie blaskiem złota stało się jego drugą naturą. Od pierwszych lat jego życia, w złotorodnym Mato Grosso, o dziecięce uszy nieustannie obijały się fantastyczne

opowieści o odkrywaniu złota. Później, w chłopięcym wieku, opowieści nabierały

konkretniejszego kształtu i młodzieniec dowiadywał się z dumą o historycznej

doniosłości złota z Mato Grosso: że odkrył je w 1717 roku awanturnik Pascoal Cabral; że następnie wielu garimpeirów wypłukiwało złoto w ogromnej ilości z piasków rzek matogrosseńskich; że w osiemnastym wieku decydująco wzbogaciło skarb

królewskiego dworu w Lizbonie; a potem, gdy Portugalia popadła w zależność od

Anglii, na złocie z Mato Grosso Anglicy rozbudowali swój przemysł w Manchester.

Europa karmiła się naszym złotem i rosła w potęgę — dumiał Rondon z melancholią —

a dlaczego nie Brazylia?

O złocie w Urumaquia słyszał dość wcześnie, chyba jeszcze przed budową wielkiej linii telegraficznej z Mato Grosso do rzeki Madeira. Były to wieści podniecające; wywodziły się z dawnych wieków i rozpały wyobraźnię, a przecież nie wyssano ich z palca.

Według wszelkich danych złoto istniało w rzeczonym piasku, i to w nieprzebranej ilości

— tylko gdzie szukać zagubionej w puszczy rzeki Urumaquia? To pewna, że płynęła

gdzieś na zachód od Mato Grosso, na północ od rzeki Guaporó, w dzisiejszej

Rondonii, lecz gdzie, gdzie było jej źródło, gdzie jej ujście? W każdym razie nie wydawała się wytworem czczej fantazji jak ongiś utopijne eldorado dawnych

Hiszpanów. Miała źródła konkretne.

Jezuici, działający nad górną Madeirą już od początków XVIII wieku, posiadali ściśle wiadomości o złocie w Urumaqua, lecz wypędzeni z tych stron w roku 1759, tajemnicę zabrali ze sobą. Później w tych lasach kryli się Murzyni, uciekający z niewoli znad wybrzeża morskiego, i oni zapewne wiedzieli, gdzie Urumaqua, ale nie złoto im w głowie było: oddziały żołnierzy portugalskich urządziły przeciw nim zawzięte

wyprawy i ścigały ich jak dzikiego zwierza.

Dowódcy wojskowych oddziałów chcieli przy tej okazji dobrać się do złota. Sierżant Joao Leme do Prado znalazł prawdopodobnie Urumaquę i naprędce nazbierał sporą

garść kruszcu, ale musiał gonić niewolników i już nie trafił po raz drugi do złotodajnej rzeki. Szukali jej daremnie.

Pod koniec XVIII wieku komendant Luiz Pinta de Souza Coutinho skierował w

domniemane okolice Urumaqua grupę kilkudziesięciu portugalskich kolonistów,

świeżo przybyłych w te strony wraz z rodzinami. Przy ich pomocy komendant chciał

odnaleźć złotorodną rzekę. Niestety, gdy imigranci znaleźli się nad rzeką Jiparana, wpadli w ręce wojowników szczepu Karipuna i doznali koszmarne losu, o którym

głośno było nad Madeirą jeszcze półtora wieku później. Dzikusy, w pory-- wie

makabrycznego humoru, zabrali się do orgii gwałcenia białych kobiet na oczach ich mężów, zanim tych uśmiercili — niesamowita zabawa, w jakiej lubowali się jeszcze w początkach XX wieku.

Długoletnie wędrówki między Mato Grosso a górną Madeirą pozwoliły Rondonowi

poznać wiele zakątków i dojść do przekonania, że wieści o złocie w Urumaqua nie były wytworem

fantazji. Rondon opierał swą wiarę na częstych badaniach geologicznych i utwierdzał

się w przeświadczeniu, że owa rzeka złotorodna istniała między górnym biegiem

Jiparana a górnym biegiem Guapore i wypływała z pasma górskiego Serra dos

Parecis, a Urumaqua leżała na pewno gdzieś na sto do dwustu kilometrów na

południe od osady Pimenta Bueno.

W miarę upływu lat wiara „wielkiego marzyciela i gorącego patrioty” urastała do obsesji. Gdy wybuchła druga wojna światowa, a Brazylia paskudnie potrzebowała

grosiwa (kiedy go nie potrzebowała?!), Rondon, niby natchniony prorok, zabrał głos i uderzył w publiczny dzwon: złoto w Urumaqua było — dawał generał upust swej

wierze — było w takiej ilości, że tym złotem Brazylia mogłaby spłacić długi

zagraniczne, wykupić obce kopalnie, stworzyć własny, wielki przemysł i wejść na drogę prawdziwego postępu... A już wiadano, gdzie mniej więcej to złoto się kryło...

Rondon był wciąż narodowym bohaterem i zażywał zasłużonej sławy, więc znajdował

u ludzi wiarę. Złoto w Urumaqua roznamiętniało coraz więcej zagorzalców. Także w kołach rządowych. Prezydent Vargas, przejęty optymizmem Rondona, zgodził się na złotodajne ryzyko: w 1941 roku kosztowna wyprawa, wyposażona jak dotychczas

żadna w głębi Brazylii, ruszyła na podbój złota. Geolodzy, inżynierowie, lekarze, technicy, radiotelegrafści, oficerowie i żołnierze, maszyny wydobywcze i sprzęt nowoczesny, i tony prowiantu tudzież lekarstw, i oczywiście ogrom zapasu — wszystko tam się skupiło. A że był czas wojny, wojenny ukuto plan i od dwóch stron, od północy i południa, od rzeki Jiparana i od Guapore, zaatakowano ostoje złota. Centrum

spodziewanej mety leżało gdzieś u Rio Barao de Melgaco, rzeki nazwanej tak przez Rondona, a płynącej na południu od Pimenta Bueno.

Obydwa główne oddziały, powoli dążące z taborem w górę rzek, wysyłały przed siebie zwiadowcze awangardy, ale teren wkrótce okazał się nad wyraz trudny i złowrogi.

Puszcza, moczary i nawet stepy nasyłały na ludzi straszliwe choroby. Dantejskie sceny z okresu budowy kolei Madeira-Mamore jak gdyby odżywały tu na nowo. Oddziały

wysyłane naprzód gubiły się w gęstwinie. Ludzie ginęli z głodu i chorób, zanim

nadchodziła pomoc.

Geolodzy nie tracili otuchy i uparcie szukali złota, ale przeklęta Urumaqua zostawała w ukryciu. W tej upiornej bitwie między zapasem człowieka a okropnością przyrody —

przyroda znowu wygrywała. Wszyscy ludzie chorowali, wiele ginęło pomimo lekarstw.

Do złota nie dotarto. Wielkie skarby albo nie istniały, albo wciąż tały się w gęstwinie.

Gdy po miesiącach resztki znękanego wyprawy wlokły się z powrotem ku cywilizacji, wracały bez zdobyczy, upadłe na duchu; była to kupa mizeraków po makabrycznej

klęsce.

Klęskę poniósł przede wszystkim sam Rondon i przez piętnaście lat smętnie ją przeżywał do końca życia, do 1958 roku. Jeszcze pozwolono mu nadal ochraniać

Indian, jeszcze pozostał mu mir w puszczy i pozostała jego miłość do

pokrzywdzonych, ale bohaterem narodu już przestał być. Bożyszczami mas stawali się teraz inni: piłkarze nożni, rozmaici Pele i Garrinchi.

ETAP SIÓDMY - RZEKA GUAPORE

KRA! OPĘTANY, LUDZIE SZALEK

II

30. Bujność paszczy i nędza ludzi

Gdy w Mutum Parana świeciło rano słońce, wybieraliśmy się do puszczy. Wiadomo,

puszcza rozpoczynała się niedaleko, o pięćdziesiąt kroków za domami. Idąc do niej, widzieliśmy ją zrazu przed sobą jako ścianę zieleni, a po chwili będąc już w gęstwinie, patrzyliśmy na nią od wewnątrz. Wtedy za każdym razem ogarniało mnie psotne

rozbawienie i chciało mi się wybuchnąć śmiechem na myśl o dwóch naukowych

asach. O Claude Levi-Straussie i o Herbercie H. Smithie, wybitnym podróżniku i

autorze — którzy obydwaj, tak samo wchodząc do puszczy jak my, stwarzali

mimowolną groteskę, wypowiadając na ten sam temat diametralnie sprzeczne

poglądy.

Pisał Smith o puszczy: piękna ponad pojęcie, gdy widziana z zewnątrz;

przygnębiająca dzicz od środka.

Na odwrytkę pisał Levi-Strauss: Widziana z zewnątrz puszcza amazońska jest

podobna do brzydkich zakrzepłych bąbli, do stłoczonych guzów zielonych; jakieś

patologiczne zaburzenie krajobrazu. Lecz skoro wejdzie się do wnętrza, wszystko się zmienia: zielona masa staje się monumentalnym wszechświatem. Las przestaje być

bezlądem; to piękny nowy świat planetarny.



No i mieć tu zaufanie do autorytetów!

Nam, Pniewskiemu i mnie, nie rzucały się w oczy ani bąble, guzy, ani przygnębiająca dzicz; nie poetyzowaliśmy ani modlili się do monumentalnego wszechświata.

Natomiast upajała nas — jeśli już wypadało czymś się upajać — niebywała,

nieposkromiona żywotność tej puszczy, nieustanna walka

131

drzewa z drzewem, liścia z liściem o prawo do słońca, walka zawziętsza tu niż gdzie indziej w chłodniejszych rejonach globu. I upajał nas ogrom zielonego imperium, tak trudny do ogarnięcia myślą: gdyby na dobrą sprawę, z wariacką rekordo-manią,

chcieć przebijać się poprzez tę puszczy na wschód, to tysiącami kilometrów nie

wychodząc prawie spod cienia drzew, można było dobrnąć do samego wybrzeża

Atlantyku, na przykład do Paraque Lagę w Rio de Janeiro.

Tu nad Madeirą ziemia, woda i żar z nieba tworzyły wyjątkowo bujną roślinność.

Rozpasana zieleń kipiała krzepą, więc na tle roślinnej tężyzny jakże smutny wydawał

się ludzki żywot w Mutum Parana. Gdy wracaliśmy z lasu do osiedla, zawsze zdawało nam się, że z zielonego przepychu wpadaliśmy w przepaść, ze światła w mrok.

Mieszkańcy w Mutum Parana żyli — jak niemal wszyscy osadnicy w całej puszczy

amazońskiej — w nędzy. Na stu pięćdziesięciu mieszkańców osiedla nie było żadnego sklepu, a najbliższy towar można było kupić dopiero na stacji Jaciparana, o

kilkadziesiąt kilometrów oddalonej. W chatach, które były klitkami z desek albo lepiankami, nie widziało się mebli prócz kulawych stołów i zydelków; ludzie sypiali w hamakach, puste ściany tchnęły nudą. Nie było tutaj książek ani nawet komiksów, żadnych obrazków ani kalendarzy, ani zwykłych kiczów. Nie było radia ani

tranzystorów, ani kina; ludzie nie tańczyli, nie śpiewali, nawet żywszych plotek nie robili.

Tylko dwa źródła zarobków istniały dla mieszkańców Mutum Parana: nająć się u

Verissima do sezonowej i na pół niewolniczej harówki przy zbieraniu kauczuku albo wybierać z mułu kasyteryt w jednej z dwóch kopalń cyny, także w warunkach

zabójczych dla robotnika.

Jedynym mieszkańcem nie doznającym biedy był nasz gospodarz, Raimondo

Verissimo. On i jego rodzina jedli do syta, więc on i żona byli zażywni, a dwoje małych dzieci miało okrągłe policzki. Verissimo był, na miejscowe warunki, bogaczem:

lokalny agent od drobnych usług dla obydwóch kopalni posiadał wzdłuż rzeki Mutum Parana kilka placówek kauczukowych, posiadał także u siebie jedyną w osiedlu

lodówkę, jedyne łóżko małżeńskie i świecącą lampę benzynową. Miał — ważny tu

czynnik — dwóch młodszych braci i motorówkę na rzece i kilka szybkostrzelnych

karabinków, a gdy bracia wypływali w górę rzeki, broni nie odkładali daleko od siebie.

Ale także u Verissima nie było żadnych ksiązek ani gazet, ani kolorowych kalendarzy, żadnych na ścianach ozdób ni obrazków, które by wnoisily nieco przytulności. A

zmurszała przybudówka, w której sypialiśmy na pierwszym piętrze wśród brudu i

kurzu, wciąż co noc groziła nam zawaleniem pod naporem czochrających się koni.

Mieszkańcy wylewali swe pomyje tuż za domami i tam powstawała maleńka, choć

potwornie śmierdząca strużka. Była stęchła, skisła, zieloną pleśnią pokryta i zatruchiwała powietrze zarazkami chorób. Wykopanie odprowadzającego rowku złagodziłoby fetor, ale nikomu nie chciało się kopać.

Stęchlizna z tyłu domów odpowiadała ubóstwu duchowemu mieszkańców. Ludzie nie

mieli tu pięknych myśli. Mało doznawali radości i dobrych porywów. Pozostawała im jedynie wódka i tępa zmysłowość. Wódka była samogonna, zmysłowość prostacka.

Mężczyźni, po okresach zubożenia i charłactwa, wybuchali nagłą brutalnością.

Raptownie ponosiła ich zapalczywość zrozpaczonych samców, ale rozpętanie nie

trwało długo, było ogniem słomianym i mężowie — zapewniano mnie — popadali

znowu w swą zwykłą, powszednią chandrę.

Uroda kobiet nigdzie tak szybko nie przekwitała jak tu. Nawet w Porto Velho widziało się wiele niewiast po trzydziestce, pełnych jeszcze nieszpetynych kształtów i życia. Tu nie — w Mutum Parana trzydziestoletnie były już staruszkami. Niezawodnie sprawiał

to zły klimat, niedostatek odżywiania i choroby, ale chyba także wybijała okresami popędliwość mężczyzn: kobiety prawie nie wychodziły tu z ciąży, rodziły częściej niż co rok. Dzieci także częściej umierały.

W naszym sąsiedztwie podziwialiśmy śliczną trzynastoletnią dziewczynkę, dorodny pączek tuż, tuż przed rozkwitaniem. Podłotek był żywy jak sarenka, miał ładną cerę i bystre oczy, tryskał zdrowiem.

Szczebiotka żyła w chacie swej osiemnastoletniej siostry, która od trzech lat miała męża i dwoje dzieci, a trzecie dziecko w łonie. I miała już zmarszczki na czole. Owa siostra była ustawicznie zatroskana, już wychudzona, o cerze popielatej, zdrowiu nadwątlonym, i już nie umiała śmiać się inaczej, jak tylko gorzkim grymasem. Było to zjawisko przejmujące, choć powszechne w tych stronach. Pięć zaledwie lat życia

różniło obydwie siostry od siebie, ale starsza wyglądała jak zwiędła matka młodszej.

Ktoś kiedyś powiedział, że większość Brazylijek nie zaznała najszczęśliwszego okresu życia, dziewczęctwa: z dziecka zaraz przechodziła w dojrzały wiek kobiecy i

macierzyński, a wraz z dziećmi nastawały troski i starość.

Gdy w Mutum Parana mówiło się o kopalniach kasyterytu, groźnie brzmiały

wiadomości o ciężkiej tam pracy. Robotnicy dobywali rudy najprymitywniejszym

sposobem, mianowicie zmuszeni stać przez cały dzień po pas w wodzie i ręcznie

wypłukiwać rudę z piasku rzeczki czy strumienia. Pracowali na akord, nawet zarabiali nieźle, dostając za rudę jedną piątą część ceny, jaką kopalnia uzyskiwała w Porto Velho, ale była to praca zabójcza: całodzienne przebywanie robotnika w wodzie

rzucało się na jego wątrobę i po dwóch, trzech latach pracy wykańczało go.

Goszcząc w Mutum Parana, uzmysławiałem sobie wyraźnie tragedię jego

mieszkańców. Polegała na tym, że nie widzieli wyjścia ze swej biedy. Okropna

żywołność puszczy jeszcze bardziej podkreślała ich nędzę. Żyli jak w klatce. Nawet otuchy nie znajdowali w Bogu, przecież pocieszycielu wielu maluczkich: przed laty zbudowali sobie z desek niewielką kapliczkę, ale i ta pociecha, od lat zamknięta, nie używana, przechodziła w ruinę.

Na szerokim świecie co najmniej połowa ludzkości wszczęła bunt przeciw starym

okowom i starała się budować sobie nowe życie: do mieszkańców Mutum Parana nie

docierały ani bunty, ani marzenia o lepszym jutrze.

Kiedyś na skraju osiedla, przez otwarte okno, ujrzeliśmy tu po raz pierwszy w

chałupie, ku naszemu zdziwieniu, zawieszony na ścianie obrazek. Była to wycięta z jakiegoś czasopisma kolorowa reprodukcja. Przedstawiała obraz młota i sierpa, które wymownie ociekały wielkimi kroplami krwi.

Więc i tej nadziei ku wyrwaniu się z nędzy nie mieli mieszkańcy Mutum Parana.

## 31. Gauleiter nad Guapore

W XIX wieku Niemcy, jako badacze i odkrywcy, podobnie jak Anglicy, a może więcej niż Anglicy, położyli wielkie zasługi dla Ameryki Południowej. Najlepsi

przedstawiciele narodu niemieckiego, że wspomnę tylko Humboldta, braci

Schomburgków, Koch-Griinberga, Spixa i Martiusa, księcia Wieda czy Franza Kellera

— na zawsze chlubnie związali swe nazwiska z rozwojem tego kontynentu,

jednocześnie zaszczyt przynosząc swojej ojczyźnie w Europie. Równie korzystnie

zapisała się w Brazylii inna kategoria Niemców, koloniści, którzy w drugiej połowie XIX wieku setkami tysięcy przybywali do trzech południowych stanów kraju i

stworzyli tu kwitnące kolonie rolnicze.

Przed drugą wojną światową nastroje zaczęły się psuć tak samo jak w Europie.

Zarazki światoburczej obsesji spod znaku swastyki przenikały do południowej Brazylii i dopiero krach nad Łabą w maju 1945 zadał cios obłędnym mrzonkom. Natomiast

krótco potem w miastach, w lasach i na sawannach całej Ameryki Południowej

pojawiły się zaczajone postacie bankrutów z Tysiącletniego Państwa; zbiegowie od stryczka, rozbitkowie o rozbieganych oczach i fanatycy bynajmniej nie wyleczeni z rojeń o zdobyciu „morgen die ganze Welt”.

W pogranicznym rejonie brazylijsko-boliwijskim niedaleko miejsca, gdzie obecnie przebywaliśmy, panoszył się do niedawna wybitny typ z tej kategorii. Wpływ jego i rozgłos sięgały

135

daleko poza Rondónię. Nazywał się Ernesto Kóhler, pochodził z Hamburga.

Jako chłopiec Kohler rozczytywał się w książkach podróźniczych, ale z różnych

Gerstackerów i Karolów Mayów inne wyciągał wnioski niż większość rówieśników. Ci rozmarzali się sentymentami i chłopięco bujali w indiańskich obłokach; on natomiast marzył praktycznie i już od wczesnych lat myślał

o namacalnych korzyściach: jak w poczuciu swej rasowej wyższości Old Shatterhanda zniewolić Winnetou do pracy dla siebie, a jego młodą siostrę uczynić swą niewolnicą.

Wyrostek na długo przed najściem Hitlera nadział sobie głowę dywagacjami hrabiego Gobineau i uwierzył, że dzięki swej wyższości rasa nordycka ma bezsporne prawo, cóż tam prawo: obowiązek

eksploataowania ras niższych. Wcześniej zdał sobie sprawę, że tę zasadę panowania nad innymi najłatwiej urzeczywistni w Ameryce Południowej, więc młody nordyk z Hamburga, rwący się do czynu, wylądował któregoś dnia w Rio de

Janeiro.

Ale zgiełk milionowej metropolii psuł mu szyki i głuszył jego brawurę. Kohler nie mógł również rozwinąć skrzydeł wśród ustatkowanych rodaków w południowych

stanach kraju. Ale przecież istniał zachód. Dziki, mało uśmierzony, słabo zaludniony niemrawym ludem, zachód pełen naturalnych bogactw

I nieograniczonych możliwości dla kogoś, kto chciał się wybić, a miał twardą pięść, gibkie sumienie i rewolwer nie dla parady.

Kohler wybrał sobie najdzikszy zachód i zawitał do Guajara Mirim, miasteczka na końcu kolei Madeira-Mamore. Tu się osiedlił. Z góry rzek przywożono płody puszczy i sawann, a zwłaszcza kauczuk, wciąż popłatny. Kohler był rzutki, bystry, handlarsko uczciwy i niezawodny: szybko wyrobił sobie markę rzetelnego kupca. I był

bezwzględny: wkrótce wydusił konkurencję i nawet zagarnął w karby Greka

Suriadakisa, bezspornego dotychczas władcy-handlarza tych stron.

Po kilku latach Kohler dorobił się parowca. Sprowadził go z Niemiec rozebrany na części, a po karkołomnym transporcie poprzez wertepy od strony południa, kazał go zmontować od nowa na rzece Guapore. „Rio Meaçuens”, jak statek nazwano, stał się dla Kóhlera kopalnią złota. Dzięki niemu przedsiębiorczy kupiec całkowicie opanował

dwie ważne arterie handlowe: rzeki Guapore i Mamore.

Granica boliwijsko-brazylijska dla niego już nie istniała. Celnicy byli na jego usługach, a on czuł się tak samo dobrze na terenie Brazylii, jak Boliwii. Buszował na równi tu i tam. Sprowadzał towary z krajów przemysłowych, a wysyłał stąd wszystkie leśne

produkty z zaplecza tak dużego jak Rzesza Niemiecka. Miał wszędzie swe faktorie, przyjaźnił się z miejscowymi dygnitarzami, natomiast trzymał w rygorze wszelaką czerń i łupił bezmiłosiernie poddaną mu biedotę.

Pojawienie się w Europie Hitlera przywitał ze zrozumiałym zapałem. Gdy Trzecia

Rzesza mianowała go konsulem honorowym, Kohler nie posiadał się ze szczęścia. W

Guajara Mirim, gdzie miał swą główną siedzibę, kazał sobie uszyć mundur ze

swastyką i w nim publicznie paradował. Wśród miejscowych notablów i śmietanki

towarzyskiej z brazylijskim sędzią na czele zorganizował komórkę wielbicieli Fuhrera i spraszał ich do siebie na zebrania tudzież libacje, na których często wykrzykiwano

„Sieg! Heil!”.

Köhler uprawiał kilka dyscyplin sportu i przepadał za muzyką, uwielbiając Brahmsa i Beethovena. Połączenie tych upodobań kulturalnych ze stalową bezwzględnością

teutońskiego męża czynu wywierało na kresowych ludziach zarówno w Brazylii, jak Boliwii głębokie wrażenie. Podniecające wieści z Europy odbijały tu się dziwnym echem. Nad Guapore i Mamore rodziły się mgliste rojenia o zniesieniu istniejących granic, a stworzeniu innych. Marzyło się ludziom o nowym państwie czy

autonomicznej prowincji, niezawisłej, a podległej jeno głosom i wskazaniom

przychodzącym zza morza spod znaku swastyki. Tchnęło to zwycięską

nowoczesnością, a Kohler w błogich snach widział się już gauleiterem olbrzymich włości w sercu Ameryki Południowej.

Pięknie snując te plany, nie zapominał ani chwili o bazie

137

materialnej. O lepszych sposobach bogacenia się. Był przecież kupcem. Czujnym

uchem łowił wszystko, co przychodziło z Europy, więc nie tylko upewniał się o

wyższości swego narodu nad innymi, lecz szczególnego doświadczył zadowolenia na myśl o tworzeniu tam obozów koncentracyjnych.

Ów sposób trzymania krnąbrnych ludzi za mordę urzekał Köhlera. W całym dorzeczu Guapore miał kupiec wśród zbieraczy kauczuku setki dłużników, którzy woleli w

pewnej chwili uciec dalej w puszcę niż płacić długi. Köhler ponosił wiele strat.

Ściągnięcie zbieraczy kauczuku w jedno miejsce wydało mu się najlepszym środkiem, by ich upilnować. Długie miesiące nosił się Köhler z tą myślą, aż przybrała realne kształty.

Niedostępna puszcza ciągnęła się nad górnym biegiem Co-lorado, dopływem rzeki

Guapore, w wyjątkowo głuchym ustroniu Rondónii, daleko od wszelkich władz

brazylijskich i ośrodków ludzkich: owa puszcza okazała się najodpowiedniejszym dla zamysłów Köhlera zakamarkiem także dlatego, że obfitowała nie tylko w drzewa

kauczukowe, ale i w krzewy „poai”. Wysuszone korzenie owej poai, rosnącej na świecie tylko w tych

stronach, sprzedawało się na wagę złota, gdyż dobywano z nich wyjątkowo kosztownych olejków.

Więc nad rzeką Colorado, u południowych podnóży Serra dos Parecis, Kóhler wybrał odpowiednie miejsce na stworzenie swego miasta-obozu. Nazwał je Pernambuco, brzmieniem miłym dla wielu Brazylijczyków, i zaczął zsyłać tu seringuei-rów z różnych okolic pogranicza Brazylii i Boliwii. Sprawa poszła nadszpiegowanie łatwo.

Jednych zwabiał widokami łatwej pracy i przyjemnego życia, innych, przeważnie swych dłużników, ścigał półprzemocą.

Wkrótce „Pernambuco” liczyło przeszło czterystu mieszkańców, więc było to olbrzymie jak na taką pustelnię skupisko ludzi. Co tam się działo, do złudzenia przypominało fazendy niewolników z sensacyjnych filmów południowoamerykańskich i chyba na nich się wzorowało. Ludzie przeżywali tam istne piekło. Był przymus pracy ponad ludzkie siły i nieustanny brak żywności; było rozbestwienie siepaczy i ciągły strach

138

o życie; i nie było stamtąd ucieczki. Kóhler, zaślepiony wszystkim, co działo się w jego dalekiej ojczyźnie, stworzył w swym „Pernambuco” bezwzględny terror policyjny.

Miał zgraję oddanych sobie oprawców-kapangów i wyżywał się w okrucieństwie.

Przekonany, że wkrótce swastyka zatriumfuje w Brazylii, że zatem on może sobie

pozwalać na wybryki, rozpierał się w oparach swego nadczłowieczeństwa i

odpowiednio postępował z ludźmi. Każdy robotnik musiał dostarczać wyznaczonej

ilości kauczuku i poai, a kto tego nie spełniał, podlegał torturom. W tym państwie terroru upajał się swą obłądną władzą rozpasany maniak, Ernesto Kóhler.

Rejon dokoła „Pernambuco” otoczył tak szczelnym kordonem, że nikt nie mógł się wydostać, ale jednak zaczęły przesiąkać na zewnątrz głuche pogłoski. Gdyby Kóhler znącał się tylko nad samymi Indianami, sprawę prawdopodobnie puszczono by

plazem. Tymczasem większość nieszczęsnych seringueirów składała się z rodowitych Brazylijczyków i to zaczęło niepokoić władze. Gdy Brazylia wypowiedziała wojnę

hitlerowskiemu Niemcom, komendant brazylijskiego garnizonu w Guaja-rs Mirim uznał



za wskazane, by ukrócić bezprawie nad Colorado. Oddział wojska, wysłany tam pod dowództwem porucznika Alipio, uwolnił niewolników, Kóhlera wyzwał z mienia, a

jemu samemu osobiście sprął przykładnie skórę. Ponieśli

1 wilka.

Było to bankructwo materialne i prestiżowe tak dotkliwe, że bohater znad Guapore już się nie wygrzebał z upadku, podobnie jak jego bożyszcze w Europie. Przegrał z kretesem, lecz w duszy zachował nieziszczone mrzonki i żal do świata, że mu zniszczył

sny o wielkości. Nie mógł i nie chciał — podobnie jak ci w Europie — przyznać się do klęski ani z nią się pogodzić.

Na terytorium Boliwii, na rzece Mamorś stał jeszcze jego parowiec „Rio Mequens”, nie obłożony aresztem. Więc Kóhler jak dawniej objął znów nad nim komendę i pływając po rzekach, uprawiał handel. Ale człowiek w nim był już znarowiony, zwichnięty.

Gauleiterskie apetyty wykoleiły go na stałe i już

139

nie potrafił powrócić na uczciwe tory. Jego pływanie po rzekach przybrało cechy pirackie.

Teraz mniej kupował i sprzedawał towarów zwykłym trybem i teraz nie tylko naciągał

i ocyganiał ludzi, jak to czynili zwykli handlarze tych stron, lecz często gęsto dopuszczał się rabunku i kradzieży, porywał bydło znad brzegów rzek, popełniał

gwałty i wszelkie bezprawia. Szczególnie zaciekle mścił się na Brazylijczykach i u nich, na brazylijskim brzegu granicznej rzeki Guaporś, popełniał najwięcej przestępstw.

Długotrwała i uporczywa wojna, jaką władze brazylijskie toczyły z wykolejeńcem, oczywiście musiała zakończyć się jego przegraną. Stracił w tym nierównym zmaganiu wszystko: rozbity statek, resztki majątku, przyjaciół, zdrowie, butę. Porażony na wszystkich polach walki, znenawidzony przez serin-gueirów nad Guaporś,

odepchnięty przez niedawnych popleczników w Guajara Mirim, musiał dawać

drapakę przed więzieniem, jakie go w Brazylii czekało. Uciekał roztrzęsiony strzęp ludziki, czmychał szczuty zwierz leśny, już nie on, wielki don Ernesto Kóhler, lecz wynędzniały jego cień, napiętnowany oberwaniec.

Wylądował pod innym nazwiskiem w mieście Trinidad, stolicy boliwijskiej prowincji Beni, i tam po paru latach, w 1952 roku, umarł w nędzy. Wciąż obawiając się pogoni, przebywał w Trinidad w ostatnich latach życia tylko w towarzystwie kilku rodaków, przybyłych po wojnie z Europy do Boliwii, także jak on pod przybranymi nazwiskami.

Oni mieli pieniądze, więc zapraszali go na cotygodniowe spotkania i fundowali mu piwo. On grał im za to na fortepianie Appassionatę Beethovena.

Mieli jak on złamane kariery, nienawidzili świata. Gorzko przetrawiali piękne dni przeszłości, omijając we wspomnieniach miesiące klęski; niepoprawni, nie zrażeni doświadczeniem, snuli nowe, zaborcze plany. W miarę wypitych kufla coraz głośniejszemu grozili światu zemstą i odwetem, a gdy Kóhler uderzał w akordy Sonaty Patetycznej, w beethovenowską melodię mieszały się czupurne okrzyki: Sieg! Heil!

140

Powyższe wypadki działy się w niewiele lat po drugiej wojnie światowej i należało je sobie tłumaczyć jako przebrzmiałe echa wstrząsów, przez które niedawno przechodził

wielki naród w środkowej Europie. Zdawało się, biorąc ma zdrowy rozum, że to już raz na zawsze minęło; że ludzie, mędrsi po szkodzie, z obłądnych zapędów się

wyleczyli.

Niestety! W kwietniu 1968, a więc w dwadzieścia trzy lata po zakończeniu wojny, a w szesnaście lat po śmierci Kóhlera, całą prasę światową obiegnęła następująca wieść:

„Jak donosi korespondent Reutera z Santiago de Chile, specjalna komisja parlamentu chilijskiego bada sprawę grupy emigrantów zachodnioniemieckich, którzy w swojej kolonii próbowali wprowadzić system pracy niewolniczej.

Izba niższa parlamentu chilijskiego wyłoniła jedenastoosobową komisję, która ma dokładnie przestudiować wszelkie informacje o kolonii, założonej przez emigrantów na granicy kraju. Napłynęły wiadomości, że stworzono tam sytuację podobną do tej, jaka istniała w hitlerowskich obozach. Grupa około 250 Niemców, przybyła do Chile w latach 1961—1963, założyła powyższą kolonię rolniczą w odległości 300 km na

południe od stolicy chilijskiej w prowincji Linares",

Tyle notatka światowej prasy.

## 23. Chwile szalu i hysterii

W dwa czy trzy dni po nas przybyło do Muturn Parana dwóch niebywałych gagatków, którzy narobili ucieznego szumu i okropnie ożywili zatęchłą dziurę. Mieli piekielne wąsiki i poniżej trzydziestki. Według gustu brazylijskiego byli nieodpartymi wprost efebami, toteż wąsikowy dar natury, na dobrą sprawę, gruntownie eksploatowali.

Przybyli jako dobroczyńcy ludzi, bo byli urzędnikami mającymi zadanie spryskiwania chat detergentem i tępienia koma-141

rów tudzież innego robactwa. Spryskiwać mieli oczywiście bezpłatnie, ale oni bez łapówek nie ruszali palcem i obcesowo domagali się myta. Czynili wyjątki tylko dla młodych kobiet, pozwalając im płacić sobie w naturze.

Lubili pieprzną strawę, nie stronili od popijawy, mieli gitarę i byli rozśpiewani, jurni, a bezwzględni. Na pierwszy rzut wpadła im w oko nasza Metyska Maria i ona, pełna ochoty, sfrunęła im jak ćma do przyjemnego ognia. Wiał od junaków, szatański urok, któremu żadna z mieszkańek osiedla nie potrafiła się oprzeć.

Filuty — poza urodą ciała i poza trucizną na komary — miały w ręku jeszcze dwa inne, czarujące atuty: zapalniczkę do papierosów, świadczącą o przynależności do

sztywnej sfery, i przejrzałe, kilkucentymetrową rurkę. Patrzyło się w nią jak w miniaturowy kalejdoskop i w środku widziało pod światło kolorową mini-fotografkę ładnej aktoreczki w jedwabnej sukni. Zabawka jarmarczna, chyba głupkowata,

stworzona dla prostaków, ale w Mutum Parana nagle wywołująca bezgraniczną sensację.

Mieszkańcy nie mogli się dość napatrzeć do środka rurki, a zwłaszcza kobiety wpadały w stan istnego podniecenia. Wyrywały sobie wzajemnie magiczne dziwo, rozpalonym okiem wpijały się w jego czar, były jak nieprzytomne. Rurka z lilipucim obrazkiem zapewne poruszała w nich jakieś głębsze struny utajonego głodu. Budziła

niespodziewane tęsknoty do rzeczy dalekich i ponętnych; może nasuwała egzotyczne wizje, tak odległe od szarego bytu w Mutum Parana? Dość, że niewiasty były do tego stopnia pochłonięte cudowną rurką, iż nawet niezbyt się broniły, gdy dwóch młodych gachów podczas zapatrzenia się kobiet tego je obmacywało.

Cwaniaki wnieśli magię barwnego świata, sami stanęli w blasku, byli

mutumparańskimi Prometeuszami. Nasza obecność zrazu ich peszyła, zwłaszcza

spode łba rywale patrzeli na Pniewskiego o złotych lokach, ale wnet wrócił im tupet, gdy się przekonali, że od nas nic złego nie groziło. Więc niezmordowani galopanci wdawali się w beczelne

brali jedną babę po drugiej, chodzili w groteskowej chwale. Puszyli się jak pawie, tokowali jak głuszcze.

Verissimo ulokował ich w izdebce obok nas. O północy wracali z bibek zawiani i całą chałupę budzili, gdyż głośno i drobiazgowo wciąż przypominali sobie pikantne tego wieczoru przeżycia. A że jeden z nich miał gitarę i ładny głos, pięknie ryczał z całej duszy. Budzili nas, ale szelm za przepierzeniem nie można było uspokoić. Ich

rozhlukany humor głużył nasze daremne protesty.

Tak to dwaj kochliwi asenizatorzy dorwali się w Mutum Parana do swego rajy i czuli się jak pączki w maśle, jak dwa szczupaki w karpim stawie, jak baśniowi włamywacze w haremie. Szczodrze zastępowali mężów, pracujących w kopalniach cyny lub

przebywających na rzecznych placówkach Verissima, mieli wolną irękę i w czym wybierać.

Donzuanową werwą i fantazją hultaje uzyskali na wielu mieszkańców niesamowity

wpływ. Nosili w portkach rewolwery, owszem, gotowi byli Strzelać, wszyscy o tym wiedzieli, ale ludzi podbijali przede Wszystkim gitarą, zuchwałością, śmiechem i frywolnymi wybrykami. I wiarą, że byli z lepszej gliny niż inni, a ci inni uwierzyli w to i przyjmowali ich zbytki za dobrą monetę.

Swawoli dwóch frantów przypatrywaliśmy się z boku, z rzetelnym osłupieniem. Oni buszowali w osiedlu jak dyktatorzy, którym było wolno robić wszystko, błaznować i przewracać pojęcia do góry nogami, a także wycyganiać od ludzi grosz za

spryskiwanie chałup detergentem. W zatęchłej dziurze, od świata oderwanej,

tlamszonej przez wrogą puszcę, mieszkańcy jak gdyby dostawali bzika i zatracali poczucie rzeczywistości. Dwóch hultajskich wydrwigroszów terroryzowało wszystkich z rozwiązłą wesołością.

Któregoś dnia — naturalnym biegiem rzeczy — ich czar załośnie przysł, kreska przyszła na Matyska. Niebieskie ptaszki, niespodziewanie dla siebie, spadły boleśnie z

obłoków. Sprawił to inżynier Pałka.

Mieli obowiązek spryskiwania detergentem także wszystkich

zabudowań obydwóch kopalń cyny w okolicy Mutum Parana. Więc pojechali najpierw

do kopalni Sao Lourenco i tam wszystko poszło gładko: dostali łapówkę. Gdy

następnie przybyli do Macizy i, rozzuchwaleni jak zawsze, zażądali z góry opłaty, trafili kosą na kamień. Pałka, znający przepisy, odmówił. Oni, wciąż pewni siebie, a chcąc inżyniera ukarać, postanowili nic nie spryskać i natychmiast wrócić do Mutum Parana. Zażądali samochodu na odbycie drogi do rzeki Madeira. Do rzeki było

dwadzieścia cztery kilometry puszcza.

— Nie chcecie pracować jak należy — oświadczył twardo Pałka — to wracajcie pieszo.

Jeepa mojego nie dostaniecie.

Dwaj gachowie wbili się w ostatnich dniach w tak wariackie poczucie swej siły i godności, że słowa inżyniera spadły na nich jak coś niezrozumiałego. Nie dowierzali własnym uszom. Gdy przekonali się, że Pałka nie żartował, zbaranieli. Zrobili tak wielkie, niemądre oczy, że robotnicy kopalni, obecni przy tej scenie, zanieśli się szyderczymi śmiechami. Robotnicy znali ich jako bezczelnych podrywaczy. Ów

śmiech walił teraz w obydwóch jakby bezlitosnym obuchem, pogrążał ich. Załamali się: ta ich pierwsza w tych stronach kłapa wydała im się katastrofą nie do wiary.

Ponuro milcząc, zabrali się do spryskiwania budynków i żadnej chaty w Macizie nie ominęli. A gdy następnie jeepem kopalni wracali do rzeki, już nie było w nich nic z buńczuczności i chojractwa, a urągliwe drwiny szły za nimi. Śmiech leciał także przed nimi i gdy przybyli do Mutum Parana, spotykały ich złośliwe spojrzenia. Niewiasty, które poprzednio korzystały z ich kawalerskich usług, teraz odwracały się od nich z kpiącym uśmiechem.

Był to upadek półbożków bezapelacyjny. Spryciarze doznali na własnej skórze, co to kapryśna zmienność losu. I do tego jeszcze musieli niezdyszna zmiatać, by nie dostała im się kulka od przytomniejących mężów.

Łobuzy zasługiwali na pełne potępienie, ale wszyscy przyznać musieliśmy, że w

Mutum Parana poruszyli coś zdumiewającego; że rozbudzili jakiś cudaczny ruch, a ludziom

144

przyśpieszyli krew w żyłach. Mimo woli to, co działo się w tych dniach w osiedlu, kapryśnym wybrykiem fantazji przypominało słynną Victorię regię, ową okazałą

roślinę wód Amazonii: ona także wybuchała na krótki czas pornopatycznym szałem, przepychem kuszącego kwiatu, po czym po jednej nocy szybko przekwitając, znów

zapadała w roślinny letarg. Po ucieczce wisusów Mutum Parana od razu sposepniało, zmizerniało

ponownie dalekie od śpiewów, gitar i prostactkich zalecanek.

### 33. Amazonki

Pojawienie się w Mutum Parana dwóch pożądlivych głady-szów i ich gwałtowne, acz krótkotrwałe zawrócenie głowy licznym babkom skierowało odruchowo nasze myśli,

prawem seryjności, na inne zagadnienie kobiece, mianowicie na sprawę Amazonek w Południowej Ameryce. Jest faktem bezspornym, że kwestią Amazonek — czy jak kto

woli, ich mitem — biali ludzie podniecali się od pierwszych swych chwil na ziemi amerykańskiej, bo już Kolumba dobiegały wieści o wojowniczych kobietach. Żyły

ponoć na niektórych wyspach Morza Karaibskiego, zwłaszcza na tak zwanych do dziś Wyspach Dziewiczych. I do dnia dzisiejszego ów problem Amazonek nie przestał

pasjonować ludzi. Problem, jak widać, stale pociągający.

Czołowym winowajcą okazał się słynny Francisco Orellana, który z garstką

Hiszpanów, będąc pierwszym z białych ludzi, spłynął w dół całą Amazonką aż do jej ujścia do Atlantyku. Już w górnym jej biegu Indianie nadrzeczni przebąkiwali mu o istnieniu szczepu zbrojnych kobiet nad dolną Amazonką, a w miarę zbliżania się do niezwykłych istot Hiszpanie coraz dokładniejsze otrzymywali nowiny o ich

niesłychanej waleczności i bucie.

U ujścia rzeki Trombetas, o jakie sto pięćdziesiąt kilometrów powyżej dzisiejszego Obidos, przyszło do starcia ze zbrojnymi

10

Piękna, straszna Amazonia

145

Indiankami, gdy Hiszpanie, jak zwykle, chcieli tu wylądować i rabować wsie.

Przeszkodziła grabieży gromada Indian, którymi dowodziło kilkanaście uzbrojonych niewiast. Były roślejsze i bardziej nieulekłe niż mężczyźni i miały mocniejsze łuki.

Dokazywały cudów odwagi, nacierały z nieludzką zawziętością. Groźne zarówno dla Hiszpanów, jak i dla własnych wojowników, truchlejących na widok białych wrogów i skorych do ucieczki, zadały klęskę najeźdźcom, z których kilku poniosło śmierć, a prawie wszyscy odnieśli rany.

Opis zapalczywych Indianek i walki z nimi przekazał potomności kronikarz wyprawy, hiszpański mnich Gaspar de Car-vajal, i od tych czasów upowszechniła się nazwa Rio das Amazonas, Rzeki Amazonek — nazwa, nawiązująca do starogreckiego mitu o

Amazonkach.

Byli i są tacy, którzy kiwali głową nad relacją Carvajala, pomawiając go o zbyt rozigraną fantazję, ale pół wieku później Anglik Walter Raleigh, przybyły do Ameryki Południowej, żeby zdobyć kolonię dla królowej Elżbiety, potwierdził istnienie

Amazonek na podstawie tego, co słyszał od wiarogodnych, w jego mniemaniu, Indian.

Owe niezależne Indianki żyły w puszczy jak inne normalne szczepy, trudniąc się polowaniem i częściowo uprawą roli. Wciąż pochopne do wojaczki i pełne bitnego zacięcia, dzielnie broniły się od męskich napastników.

Natomiast, ażeby zapewnić sobie potomstwo, co rok dopuszczały do siebie na parę tygodni młodych wojowników niektórych zaprzyjaźnionych szczepów. Zrodzone z

tych odwiedzin córki zachowywały dla siebie, natomiast chłopców albo po roku

oddawały ojcom, albo ich zaraz zabijały. Nigdy — zapewniał Walter Raleigh — nie odcinały sobie prawych piersi, jak to rzekomo czyniły ich poprzedniczki w

starogreckich mitach. Za to herod baby odznaczały się brzydkim okrucieństwem:

wojownikom, wziętym w czasie obronnych walk do niewoli, kazały najpierw siebie

zapłodnić, a następnie ich z zimną krwią zarzynały.

146

Amazonki — obwieszczał nieodrodny Raleigh z wymownym zainteresowaniem —

posiadały wiele złota, które zamieniały na rzadkie, zielone kamienie. Nazywały je muita-kitan i nade wszystko sobie ceniły, nosząc je na sobie albo darując je

oblubieńcom w dowód szczególnej łaski.

Rzecz znamienna, że do dziś tu i ówdzie w puszczy amazońskiej znajdowano owe

tajemnicze muita kitan, niewielkie kamienie o niedokładnie zbadanym składzie,

przedstawiające prymitywne rzeźby zwierząt lub ludzi — kamienie sprawiające

archeologom ból głowy z powodu swego nieodgadnionego pochodzenia.

W połowie siedemnastego stulecia, a więc pół wieku po Ra-leighu, jezuita Acunha podjął temat Amazonek, przekonany święcie o ich istnieniu. Znowu opierając się na zeznaniach wiarogodnych świadków, tym razem ze szczepów Tupinamba i Tapuja,



Acunha wywodził, że owe Indianki, po opuszczeniu brzegów Amazonki, wycofały się na północ, w okolice górnego biegu rzeki Jamunda, i tam przebywały. Dziejopisarz zgadzał się z Raleighem co do szczegółów ich życia i wojowniczego usposobienia, dzięki czemu potrafiły opędzić się od napastliwości sąsiadów i zachować

niepodległość. Na ojców swych córek brały wojowników z odległych szczepów, przywołując na przykład sławetnych śmiałków Parintintinów znad rzeki Ma-deira.

Wybitni badacze Ameryki Południowej w następnych wiekach niemal wszyscy zajmowali się sprawą istnienia Amazonek. Tylko nieliczni sceptycy, jak Alcide d'Orbigny, Edwards czy Wallace, mieli co do tych istot wyraźne wątpliwości;

natomiast Francuz La Condamine zdecydowanie wierzył, że istniały takie Indianki, podczas gdy ostrożniejsi, jak Humboldt, Ryszard Schomburgk, doktor Barboza

Rodriguez czy nawet pastor Brett, nie zaprzeczali możliwości ich istnienia. Sami nie widzieli Amazonek, ale w Ameryce Południowej owych czasów tyle było przecież

olbrzymich ustroni, całkiem niedostępnych i wciąż niezbadanych. Również przesłanki logiczne nie wykluczały ewentualności, że gdzieś w puszczy ukryte żyły ongiś

147

Indianki nie mniej wojownicze, niż osławione dahornejskie Amazonki, postrach w XIX wieku Afryki Zachodniej.

Im bliżej naszych czasów, tym bardziej wizja Amazonek zdawała się zacierać w mrokach przeszłości i w uroczyskach amazońskiej puszczy. A jednak niezupełnie.

Znalazł się odrodzicie!. Oto wizja odżyła. Sprawił to pocieszny Brazylijczyk, Eduardo Barros Prado, autor książki o urokach Amazonii, członek brazylijskiego high-life'u, należący do jednej z trzystu rodzin posiadaczy Brazylii, entuzjasta Grubej Berty z pierwszej wojny światowej i wielbiciel Kruppa, tego od najlepszych armat, a poza tym filut, efekciarz i utalentowany gawędziarz.

W swej książce (wydanej usłużnie w Anglii i w Kanadzie w 1959) postanowił usensacyjnić wszystko, co dokoła rzeki Amazonki, więc nie zapomniał i o

Amazonkach. Ponoć pojechał do nich i w rezultacie dał nam tęgi opis niezwyklej przygody. Miał wtedy do pomocy dwóch niezawodnych Indian tudzież kilka łodzi z

darami oraz hydro-awionetkę z pilotem i operatorem filmowym. Po dwudziestu

dniach od opuszczenia Obidos w kierunku północnym, wtargnął u źródeł rzeki

Nhamunda na teren Amazonek, których szczep nazywał się Icomiabas. Tak rzutkiego gościa i prominenta gołe Amazonki powitały serdecznie, uroczystym śpiewem.

Kobiety, zwłaszcza młode, miały wspaniale muskularne ciała. Szczebiotliwie wesołego usposobienia, wcale nie były groźne, «ale dawnej tężyzny bynajmniej nie utraciły.

Prado, zabrany na polowanie, był świadkiem niebywałego wyczynu trzech nastolatek: dziewczuszki, uzbrojone tylko we włócznie, stoczyły zwycięską walkę z jaguarem i zakłuwając bestię, rozłożyły ją, jak należało.

Gdy biały gość wkraczał do głównej wsi Amazonek, wręczono mu na powitanie tykwę z brązowym napojem. Prado, nie chcąc okazać się nieuprzejmy, wytrąbił całą

zawartość i niemal padł trupem. Był to lubczyk, którego należało liznąć tylko kilka kropel, a nie wychłęptywać wszystkiego jak smok. Cała wieś śmiała się do rozpuku z jego pożądlivosti, a gdy

148

on po wielu godzinach przyszedł do siebie, wieś zaofiarowała mu dwie młode towarzyszki na czas pobytu.

„Zrozumiałem — pisał — że przyjęto mnie łaskawie i dlatego wystąpiono z zaszczytną propozycją uszczęśliwienia mnie dwoma bogdankami, pomimo że już przedtem

dałem do zrozumienia, iż nie przybyłem tu w konkury. Więc uprzejmie dziękując odmówiłem”.

Prado, zdolny narrator, z wieloma ponętymi szczegółami i bardzo poważnie opisał

ów pobyt u Amazonek, u których rzekomo był przed kilkunastu laty, i na tym niestety się skończyło. O ile mi wiadomo, nikt po nim już nie znalazł wsi Amazonek, jak gdyby ich wcale nie było. Jak gdyby wojownicze babki się rozwiały w oparach zwodniczego mitu, a ktoś kogoś bajecznie wystawiał odrobinę do wiatru. Czego widocznie nie

dostrzegli wydawcy w Wielkiej Brytanii ani w Kanadzie.

. Niedoszli uwodziciele księżniczki jaguarowej

Skoro już mowa o Amazonkach, nie sposób pominąć ostatniego psikusa, jakiego los spletał niedawno temu wielu galo-pantom w Niemieckiej Republice Federalnej. Ich łatwowierną wyobraźnię zelektryzowała bujda o diabelnie jponętnej Amazonce,

żyjącej w peruwiańskiej puszczy, i aż dziw bierze, że tylu naiwnych zapaleńców dało się tak wystrychnąć na dudka. Ogromne tara, widać, zapotrzebowanie na amory i

Amazonki.

Otóż niedawno temu, już w latach sześćdziesiątych naszego popędliwego wieku, w

pewnym poczytnym czasopiśmie niemieckim w Hannoverze pojawił się rewelacyjny

artykuł, fotografiami udokumentowany, pióra Jane 'Dolinger, dość znanej w Ameryce autorki powieści sensacyjnych. Z artykułu podekscytowani czytelnicy dowiedzieli się, że Dolinger, zwiedzając Peru, przebywała w puszczy w okolicy Iquitos w gościnie u młodej, samotnie żyjącej sieroty. Ojciec teje, bogaty Amerykanin, umierając

pozostawił jedynaczce olbrzymi majątek,

149

Wynoszący osiemset kilometrów kwadratowych puszczy, na którym to terenie tysiąc pięćset Indian gorliwie pracowało dla białej pani, ubóstwiając ją jako swoją

księżniczkę jaguarowa.

Dlaczego jaguarowa i skąd to uwielbienie? Gdy była małym dzieckiem,

przypadkiem znalazła się na brzegu lasu sama jedna w obecności potężnej samicy

jaguara z młodymi. Dziecina, nieświadoma niebezpieczeństwa, zaczęła się bawić z kociątkami, a stara bestia nie rozszarpała jej i po długiej chwili oddaliła się, pozostawiając ją całą i zdrową. Indianie uważali to za cud i odtąd czcili dziewczynę jako nadziemską istotę, nazywając ją swą księżniczką jaguarowa.

Według artykułu Jane Dolinger niedawno poznała ową istotę, mającą dwadzieścia

cztery lata i będącą niewymownie piękną dziewczyną. W swej puszczy żyła ona w

luksusowym bungalowie, urządzonego na wzór pałaców ze wschodnich bajek, a żyła

zupełnie samotna i otoczona jedynie wierną służbą. Gdy lekką nóżką przebiegała swój czarowny ogród, powiewnym muślinem ledwo obleczona, nie do ludzi była podobna,

raczej do ślicznych bogiń, do Afrodyty.

Owa porywająco urodziwa dziewczyna — pisała dalej Jane Dolinger — byłaby

najszczęśliwszą pod słońcem istotą, gdyby nie udręka samotności. Serce jej rwało się z tęsknoty \*do białego mężczyzny. W swej puszczy marzyła ona o silnym towarzyszu

życia. Czy znajdzie takiego? Czy zjawi się on? — rzeźnym pytaniem kończyła Jane Dolinger swój artykuł, ilustrowany podniecającymi fotografiami jakiejś cud-facetki w kostiumie bikini, artykuł zmyślony od pierwszego do ostatniego słowa.

Takich sentymentalnie uroczych artykułów rocznie pojawiały się setki w kioskowych magazynach amerykańskich i nikt, dosłownie nikt w USA czy w Kanadzie, na serio ich nie brał: uchodziłby za półgłówka, byłby pośmiewiskiem. Natomiast w NRF nastąpiła rzecz niespodziana: artykuł wzniecił istną burzę entuzjazmu, rozpętał wulkan uczuć.

Kandydaci na „silnego towarzysza w puszczy” zasypali niemieckiego konsula w Iquitos gwałtownymi listami; listów po-150

noć przychodziło setki w pierwszych miesiącach po ukazaniu się hannowerskiego

artykułu, a wszystkie były srodze poważne, niektóre niecierpliwe, inne wręcz

nachalne. Również nie dano spokoju konsulowi NRF w Ekwadorze, bo urzędował on

„gdzieś tam w pobliżu”. Nadto niemiecka kolonia w Manaus, jako mieszkająca nad Amazonką, dostawała zaklinające listy, pełne niepokoju — a wszystkie z usilną

prośbą, by je przekazać sierocie w peruwiańskiej puszczy.

„Ja również jestem milionerem — pisał do niej konkurent znad Ruhry — i obawiam

się, że tu, w Niemczech, dziewczyny będą mnie chciały tylko dla moich pieniędzy.

Chętnie oddam w dzierżawę moją fabrykę, sprzedam willę i samolot i przyjadę do

Pani. Proszę tylko o znak...” Inny, z Westfalii, gotów był sprzedać swą stację benzynową tudzież dom i tylko błagał, żeby księżniczka jaguarowa nie powzięła

przedtem pochopnej decyzji, zanim jego nie zobaczy. Pięciu chwatów z Hannoveru

napisało wspólnie do niej konkretny list: „Liebe Jaguarprinzessin, przyślij nam tysiąc dolarów. Nas pięciu junaków przyjedzie natychmiast do Ciebie i rozweseli Ci

samotność”. Przecież znaleźli się i entuzjaści, w gorącej wodzie kąpani, którzy, chcąc uprzedzić innych, wsiadali w Bremie na statek i przybywali nim do Manaus, by stąd pędzić dalej ku swemu szczęściu.

— Wielu z tych wariatów tu, w Manaus, trzeźwiało i stąd żałośnie wracało do Europy

— opowiadał mi w maju 1967 roku doktor Walter Pratorius, od wielu lat łowca

rzadkich motyli w Manaus — ale nie wszyscy chcieli wracać do domu: niektórzy,

niezdolni uwolnić się od swych błogich złudzeń, płynęli lub lecieli dalej do Iqutitos, by dopiero po miesiącach smętnie wracać, odarci z marzeń. Niejeden gdzieś tam marnie ginął i wcale nie wracał...

Niesamowici w naszych czasach narwańcy! Dobrze jeszcze, gdy pomyłeńcy z tych stron Europy ubrdali sobie czarowną Amazonkę w dalekiej puszczy. Gorzej, gdy wmawiali w siebie przymioty nadludzi.

151

35. Guapore, rzeka niesamowitości

Gdy Sarah Bernhardt, zaproszona przez kauczukowych milionerów do Manaus, występowała w operze amazońskiej, deklamując słynny wiersz w sztuce Rostanda „L'Aiglon”, tysiąc dwieście słuchaczy doznawało wzruszeń, a wielu miało łzy w oku.

Obecny na przedstawieniu dziennikarz z Paryża, człek

o złośliwej wnikliwości, zastanawiał się, czy wtedy choć jeden widz uświadamiał sobie potworną cenę życia, jaką ludzie puszczy zapłacić musieli, by powstał ten luksusowy gmach opery

by można było sprowadzić „boską Sarę” do Manaus — i czy kto z rozrzuconych słuchaczy zdawał sobie sprawę z tego, że na każde z tysiąca dwustu foteli i krzeseł w gmachu przypadało stu zabitych w puszczy, zatorturowanych na śmierć

seringueirów, zbieraczy kauczuku?

W okresie szczytu kauczukowej gorączki straszne rzeczy srożyły się nad rzekami w głębi brazylijskiej puszczy wszędzie tam, gdzie zbierano kauczuk. Ale o tym w całej grozie dowiedział się świat dopiero wtedy, gdy kauczuk w angielskich plantacjach na Wschodzie doszedł do dojrzałości i był gotowy do zadania śmiertelnego ciosu

brazylijskiemu rywalowi.

Natomiast rolę moralnego dobicia amazońskiej hevei rząd brytyjski powierzył swemu konsulowi w Rio de Janeiro, Rogerowi Casementowi. Onże udał się na czele komisji śledczej nad rzeką Putumayo i w roku 1913 ogłosił białą księgę o nieludzkich

torturach, zadawanych tam Indianom, zmuszonym pod zmorą śmierci do zbierania

kauczuku. Tępono tubylców tak srogo, że w niewiele lat z ludności

pięćdziesięcioletniej pozostało tu zaledwie osiem tysięcy niedobitków. Co ciekawe, większość tych okrutnych przedsięwzięć należała do kapitału brytyjskiego, ale widocznie oficjalnym

Brytyjczykom opłacało się piętnować morderstwa nad

Putumayo, by tym większe zbierać korzyści gdzie indziej.

Rzeka Putumayo, na skutek raportu Casementa, okryła się złą sławą i narobiła szumu na całym świecie, ale nad innymi

rzekami dorzecza Amazonki, zarówno w Brazylii jak w sąsiednich państwach, działy się nie mniejsze tragedie i łotrostwa. Założona przez Rondona w 1910 roku Służba Ochrony Indian zwalczała tu i ówdzie nadużycia, jednakże nadużyć było zbyt wiele, rzeki zbyt odległe, a lasy zbyt nieprzystępne.

Ale coś innego przyszło dręczonej ludności z pomocą, mianowicie koniunktura

rynków światowych. Okrucieństwa nad rzekami zelżały dopiero wtedy, gdy nie warto było zbierać kauczuku tak łąpczywie jak do tego czasu: cena jego katastrofalnie spadała, a już w 1920 roku plantacje na Wschodzie produkowały kauczuku dziesięć razy więcej niż całe dorzecze Amazonki. Znaczyło to nie tylko złamanie monopolu Brazylii, ale zupełną klęskę gospodarczą Amazonii.

Okolice nad górną Madeirą, w których obecnie przebywaliśmy, przechodziły okresy zawrotnych fortun i grozy podobnie jak nad innymi rzekami. Może przechodziły

nawet dramatyczniej, gdyż Dziki Zachód Brazylii tudzież granica boliwijska pobudzały do brutalniejszych wykroczeń i ściągały najgorsze szumowiny. Ściągały przestępców nie tylko kiedyś, w czasach kauczukowej gorączki, ale do dnia dzisiejszego kłębiła się tu koszmarowa romantyka typów spod ciemnej gwiazdy. Przykładem tego choćby

niedawne dzieje Saldania Leona, boliwijskiego adwokata z Santa Cruz, zbrodniczego hultaja ostatniego rzędu.

„Doctor” Saldania Leon był ongiś senatorem w La Paz i jako taki dygnitarz nie tylko miał na sumieniu moc łajdactw i zabójstw, normalnych w tych stronach i do pewnego stopnia uznanych, ale zbyt pewny siebie przebrał miarkę i naraził się możniejszym od siebie aferzystom. Musiał uciekać z Santa Cruz. Uciekał tam, gdzie jedynym prawem był Smith-Wesson za pasem — nad graniczną rzekę Guapore, i osiadł niedaleko ujścia Rio Cabixi, zwanej również Rio Branco. Osiadł dla pewności już na terenie Brazylii.

Miał ze sobą niezły majątek, mianowicie sześćdziesięciu indiańskich niewolników, których pilnowało mu kilkunastu zaufanych kapangów-zabijaków, przeważnie

bliższych i dalszych

152

153

krewnych senatora. Indianie zbierali dla niego w brazylijskim gąszczu pogranicza korzenie poai, krzewu — jak już pisałem — rosnącego tylko w tej okolicy Ameryki, a będącego źródłem cennych

leków, między innymi ipekakuany. Leon sprzedawał

zbiory do miasta Caceres w stanie Mato Grosso i dobrze mu się powodziło. Ale diabeł

nie spał i Boliwijczyk łakomił się na więcej. Świadomy swej bezkarności, nie ukrywał

już bandyckich nawyków i miał luźną kulę w rewolwerze: niejakiego Acostę z zimną krwią potrafił zastrzelić i ograbić.

Drażnił go również sąsiad, żyjący o kilkadziesiąt kilometrów w górę rzeki Cabixi, Brazylijczyk Joaquin Soares de Almeida, indywidualizm tak samo jak Leon o

podejrzanej przeszłości i również zbieracz poai. Almeida miał trzydziestu

niewolników, Indian, ongiś gwałtem wywleczonych z głębi Boliwii, i na ów smakowity kęs Leon bardzo, bardzo ostrzył sobie apetyt.

Okazja wydała mu się dogodna, gdy Brazylijczyk wypłynął w daleką podróż do

Guajara Mirim z częścią swych kapangów, a Indian pozostawił w rancho jedynie pod nadzorem swej kobiety, Metyski Izabeli. Leon, dowiedziawszy się o tym, pomknął do rancho w towarzystwie niektórych swych ludzi niby to z sąsiedzką wizytą i już

nazajutrz po przybyciu stwierdził, że nie potrzebował uciekać się do gwałtu: Indianie Almeidy łatwo spiknęli się z jego ludźmi, tak samo jak tamci pochodzącymi z głębi Boliwii, i zdradzali chęć ucieczki z rancho. Ucieczki do wolności, jak mniemali. Nie znali jeszcze Leona.

Gdy konszachty doszły do uszu Metyski Izabeli, wysłała w stronę Guajara Mirim

zaufanego posłańca, by szybko odszukał Almeidę i ostrzegł go o tym, co się działo w rancho, sama zaś, grając na zwłokę, starała się powstrzymać groźnego gościa

wyszukaną gościnnością i obiecującymi uśmiechami. Leon dał się omotać, ale mimo to, opuszczając po tygodniu rancho, zabrał ze sobą wszystkich niewolników Almeidy, jacy dali się namówić do ucieczki, i chętnie porwałby także rozkoszną Me-tyskę, gdyby ona w czas nie zniknęła w gąszczu i tam się ukryła.

Leon stracił miarę czasu. Zbyt długo korzystał z niesamowitej gościnności na rancho i zbyt nieopatrnie przewracał oczami do Metyski. Posłaniec jej wcześniej natrafił na Almeidę i jego ludzi, gdy byli na irzece Guaporé już w drodze powrotnej. Brazylijczyk zerwał się jak oparzony i nie marnował ani chwili. Zwołał po drodze jeszcze innych kumpli, a między nimi i swego murzyńskiego kumotra, komisarza policji Frutuoso o przydomku Pe de Gancho, który był subdelegatem nad środkowym biegiem Guaporé.

Mściciele, zgrają dobrze uzbrojoną, zaczęli się nad brzegiem Rio Cabixi, niedaleko jej ujścia do Guapore, i gdy flotylla Leona nadpłynęła, a w pierwszej łodzi sam prowodyr siedział — dali ognia. Padło kilku, w tym siostrzeniec Leona, natomiast on sam, lekko raniony w obojczyk, rzucił się do

wody i dał nura wśród nadbrzeżnych zarośli.

Uciekających Indian szybko wyłapano, lecz Leonowi udało się zbiec: uciekł pod osłoną gąszczu i w kilka dni później osłabiony, ale żywy, pojawił się u swego rodaka

Francisco Blanco na farmie Libertad, na boliwijskim brzegu Guaporé. Tam też kazał

przybyć swym pięćdziesięciu Indianom (dziesięciu przypadło w zamęcie) i tym

kapangom, którzy z oparów wyszli obronną ręką.

Trudno zrozumieć, dlaczego stary wyga Leon na farmie Libertad przestał logicznie myśleć. Stracił tam swą zwykłą, bandycką roztropność i pozostanie to chyba

psychologiczną zagadką. Czyżby to był skutek porażki, jaką poniósł u ujścia rzeki Cabixi? Czyżby zaszły go oczy Izabeli? Głupstwo; Leon niejedną ponosił w życiu porażkę i niejednej donnie zaglądał w oczy, więc tym dziwniejsze, że on, były adwokat szpakami karmiony, były senator-kanciarz, a obecnie wilk drapieżny, morderca

wielokrotny — nagle w Libertad zbaraniał, zmatoczał.

Nie pojął się w tak prostej sprawie jak ta, że Francisco Blanco, gospodarz farmy, złakomił się na jego Indian-niewolników i knuł przeciw niemu zdradę. Ażeby pojąć tych niewolników, szwendających się po farmie jak stado cennych zwierząt, Blanco musiał się pozbyć Leona. Więc gospodarz uderzył w senatorsko-zbójcką dumę swego gościa. Co? Strzelali do niego jak do kaczki, jak do kapibary? — podburzał Blanco Leona. — I to kto strzelał? Delegado, czarnuch Pe de Gancho, oficer policji, stróż porządku? Strzelał i zabijał ludzi jak pierwszy lepszy opryszek?

Leon, podbechtany przez Francisco Blanca, oburzony coraz bardziej na tych, co

strzelali do niego, a dufny w siłę swej gotówki i łapówek, przepłynął ponownie przez granicę, by złożyć u właściwych władz brazylijskich skargę na nikczemnego delegada, nadużywającego swej władzy. Lecz za ledwie Leon znalazł się na brazylijskiej ziemi, wpadł w ręce tegoż delegada, widocznie czyhającego na niego, i nastąpiło to, co nawet dziecko nad Guapore przewidziałoby bez pudła: Pe de Gancho zwołał naprędce sąd, składający się z niego, oczywiście także z jego kumpla Joaquina Soares de Almeidy i z niejakiego Apolonia de Franca, przypadkowego włóczykija. Owa sądowa parodia,

rzecz prosta, skazała niesfornego aferzystę na śmierć, bo miał na sumieniu win wiele, a ludziom pogranicza zbyt się naraził.

Leon w ostatniej chwili swego życia błagał o litość, zalewał się łzami i padał na ziemię do stóp swych sędziów, ale nic nie wskórał. Strzał w skroń zakończył nad brzegiem rzeki Guaporé jego burzliwe życie, ażeby zaś sprawę załatwić czysto i bezbłędnie, również zastrzelono jego dwóch pechowych towarzyszy, młodych krewnych, właściwie Bogu ducha winnych, których przewinieniem jednak było, że razem z Leonem



przepłynęli rzekę Guaporé z Boliwii do Brazylii.

Można by przypuszczać, że opis powyższych perypetii boliwijskiego adwokata-

senatora-bandyty wniikał zbyt drobiazgowo w szczegóły, gdyby to nie był pouczający rzut światła na stosunki na pograniczu brazylijsko-boliwijskim: przecież to wszystko działo się w drugiej połowie naszego dwudziestego wieku, w dwóch nowoczesnych

państwach, należących do Organizacji Narodów Zjednoczonych, a jednak na tym

niesamowitym pograniczu żyli Indianie do niewoli zmuszeni, było łatwe mordowanie ludzi i był groteskowy wymiar sprawiedliwości.

156

Przypominały się fantazje i Edgara Poe, i Baudelaire'a, i Rimbauda, a może nawet sarkastycznego Hitchcocka. My, Zygmunt Pniewski i ja, przebywaliśmy na skraju

oblędnego pogranicza. Mimo woli wydawało nam się, że wciąż musieliśmy baczyć

dokoła, by nie dostać się w obstrzał rzeczywistych czy urojonych kul, nie nam

pisanych.

## 36. 0 rabunkowej gospodarce

Dzień był jak stworzony do wędkarstwa, parny, omdlały, bezwietrzny, do sennych rojeń pobudzający. Deszcz wisiał w powietrzu, ale jeszcze nie padał. Motyle od samego rana w ogóle nie wyleciały z puszczy, więc podążyłem nad rzekę ze spinningiem. W pobliżu przystani znaczna głębia i kotłujące się przez nią wiry zapowiadały pomyślne łowy, ale niestety żadna ryba tego poranka nie wzięła, a błystka wędkę, pięknie ciśnięta na środek rzeki, daremnie nęciła.

Nagle w pobliżu brzegu coś silnie plusnęło, a rzucając tam spojrzenie, zobaczyłem w ostatniej chwili zanurzającego się wielkiego żółwia. Na ten widok ogarnęło mnie radosne zdumienie: więc żyły tu jeszcze takie olbrzymy, nie wszystkie wytępiono?

Duszny dzień skłaniał do zadumy i kierował myśli ku przeszłości. Owe żółwie z rodzaju *Podocnemys*, dochodzące do kilkudziesięciu kilogramów wagi, były dawniej tak pospolite w rzekach Amazonii, że należały do najbardziej typowych zjawisk w.

krajobrazie. „Więcej tu żółwi niż komarów”, mawiali dawni podróżnicy. Czym bizony dla Indian preryjnych, tym od niepamiętnych wieków dla Indian amazońskich były

rzeczne żółwie: głównym pokarmem szczepów przez cały rok. Niestety tak samo jak na północy, biały człowiek i tutaj wtargnął jak okrutny burzyciel i przyrodzie zadał

niewygodne rany. W swej bezrozumnej chciwości wytępił pożyteczne gady niemal do reszty.

157

Jeszcze przed trzydziestu czterema laty, gdy po raz pierwszy płynąłem Amazonką, było ich pełno. Na parowcu linii Amazon River Steamship Company codziennie

karmiono nas ich mięsem, podobnym w smaku do drobiu. Kiedyś rzuciwszy okiem do

kuchennego luku na tym statku, osłupiałem: transportowano tam kilkadziesiąt

żywych, wielkich żółwi, przewróconych do góry brzuchami.

Ale nie tędy kroczyła zagłada. Stare żółwie, bestie czujne i płocze, dałyby sobie radę z normalnymi wrogami. Natomiast gdy Brazylijczycy ze wschodnich stanów, zwłaszcza wygłodniałcy z Ceara, zaczęli przybywać do Amazonii i osiedlać się nad brzegami rzek, przyszedł równocześnie wilczy głód na żółwie jaja i przyszła klęska na całe to plemię.

, Żółwie miały fatalny zwyczaj znoszenia jaj na piaszczystych plażach, zazwyczaj w miesiącach października i listopadzie, kiedy woda była najniższa. Wtedy całymi

stadami parły samiczki na ulubione brzegi, zawsze co rok na te same, by w piasku znieść i zakopać jaja. Nie było mocy, która by je od tego powstrzymała, a na niektóre plaże, jak na przykład kilka kilometrów powyżej Porto Velho, tłoczyły się rocznie dziesiątki tysięcy niepohamowanych gadów.

Wiedzieli o tym ludzie i zaczajali się w pobliżu. Wiedziały o ludzkich zasadzkach żółwie i ponoć starały się oszukać prześladowców, wykopując i zasypując w mrokach nocy wiele dołków, ale tylko w jednym składając jaja. Do jajecznych frykasów rwały się także jajożerne zwierzęta. Gdy z nielicznych jaj, które ocalały z takiego pogromu, wykluwały się młode żółwiątka, pędraki pędziły co sił w nóżkach do wody, bo już w tej krótkiej drodze na plażę czekały na nie głodne ptaki. A w wodzie następował koniec dramatu: młódki, nie umiejące jeszcze należycie pływać ani nurkować, wpadały do paszcz drapieżnych ryb.

Samiczki składały co rok po sto do stu pięćdziesięciu jaj i taką rozrodczością

wyrównywały straty, zadawane im przez naturalnych wrogów, ale ludzkiemu

łakomstwu żółwie nie potrafiły stawić czoła. Uległy chciwości dwunożnych wrogów i ich

158

obłądnej pogoni za jajami. Chmary ludzi całymi rodzinami szły na plaże i zbierały tyle jaj, że nieraz żółtkiem wypełniały całe łodzie. Tłuszcz z jaj dobyte służył ludziom za pokarm i do światła w kagankach. Obliczano, że rocznie dwieście pięćdziesiąt

milionów żółwich jaj szło w Amazonii na ten cel z wiadomym skutkiem: niepomniernie zdębiałem, gdy w rzece Mutum Parana zobaczyłem jednego żółwia.

Naturalne bogactwo Amazonii nie ulegało wątpliwości i dla wielu wydawało się

niewyczerpalnym rogiem obfitości, ale biały czy półbiały człowiek, który tu się zjawiał, nie był światłym pionierem i pozostał do dnia dzisiejszego niszczycielem o

konkwistadorskich narowach. Był barbarzyńcą, uprawiającym okrutnie rabunkową gospodarkę.

Wytepił nie tylko żółwie, ale i szlachetne manaty, wielkie wodne ssaki amazońskie, zwane przez Brazylijczyków rybą--wołem. Wytepił także dziesiątki tysięcy przyjaznych Indian nad Amazonką i w Paragwaju, łowiąc ich do niewoli, której znieść nie mogli. W

okresie gorączki kauczukowej zginęło w puszczy przeszło sto tysięcy zbieraczy

kauczuku, trzymany w niewoli dłużniczej, zginęło na skutek głodu i nadmiernej pracy. W puszczy nad dolną i środkową Amazonką nie było już dziś drzew

kauczukowych; bezmyślnie zniszczono je nadmierną eksploatacją.

A stosunek trzystu oligarchicznych rodzin, posiadających całą prawie Brazylię,

stosunek ich do milionowych mas, które nic nie posiadają, a chronicznie jprzymierają głodem i chorobami — czy to nie rabunkowa gospodarka życiem ludzkim? A bezkarne zastrzeliwanie jednego chciwego drania przez drugiego, bardziej chciwego (o czym przed kilkoma tygodniami donosiła prasa w Recife, gdy wpływaliśmy do Brazylii) —

do jakiej kategorii procesów społecznych to zaliczyć? A groteska zabicia z zimną krwią pewnego dziennikarza w Goianii tylko za to, że w drobnej notatce zgodnie z prawdą doniósł, iż kierownik lokalnej elektrowni puścił dodatkowo prąd elektryczny, by dentysta mógł jemu świdrować w zębie, i za które to zabójstwo ani włoszek nie spadł z głowy kierownika-zabójcy — czy to nie opętane skutki ducha rabunkowej gospodarki?

Amerykanin William Lytle Schurz, chyba najwybitniejszy z obecnych znawców

Ameryki Łacińskiej, w swym podstawowym dziele o „Brazylii, bezmiernym kraju”

(wydanym w Londynie w 1962 roku) opisując Amazonię, nie obwijał sprawy w

bawełnę: postęp i nowoczesne pojęcia tu jeszcze nie dotarły do świadomości

polityków, hołdujących wciąż doktrynom gospodarczym z XVI wieku i mentalności

kolonialno-feudał-nej... We wszystkich dziedzinach życia ludzkiego panuje tu

rozbójnicza eksploatacja i wyzysk przez klasy kierownicze... Brazylia to potencjalnie jedna z najzasobniejszych krain na ziemi, ale jeszcze wcale nie umiała zużytkować swego największego bogactwa: ludu..."

Tyle Amerykanin William Lytle Schurz.

### 37. Wesołe i smutne zwierzęta

Po południu nam wszystkim zrobiło się lepiej: ciśnienie zelżało, chmurność uszła, słońce rozblęzło, więc pojawiły się i motyle, i dobre myśli. Na świecie, pełnym naraz radości, stało się znowu przyjemnie, a gdy nad nami przelatywało stado papug,

swarliwiej wrzeszczało niż zwykle.

Mieszkańcy Mutum Parana, powszechnym u kabokli i Indian zwyczajem, trzymali

wiele oswojonych zwierząt z lasu. Więc gdy wyszliśmy spacerem na główną ścieżkę osiedla, wnet przyłączył się do nas młody ostronosek, który wybiegł z chaty. Był to wesoły urwis i figlarz nad figlarze. Ni to, ni sio, ni kuna, ni jamnik; ni szczur, ni świnia; ni pokraka, ni gładysz; ni wyrodek, ni goguś; ni Kydryński, ni Niemen, a raczej wszystko to razem wzięte, do kupy złożone w zwierzątku,

które nazwać by

można śmieszoną parodią poronionego niedźwiadka. W istocie nauka umieściła ostronosą gdzieś na chybotliwym pomoście między plemieniem szopów pracy a rodziną niedźwiedzi.

160

..Ludzie Verissima, wypływając w górę rzeki, zawsze pod ręką trzymali wielostrzałowe karabinki...  
(str. 101)

t&^t

.Wtargnęliśmy w istną orgię zielonego uroczyska. Tysiące owadów, motyli, chrząszczy... (str. 172)

Ostronosy znałem od niepamiętnych czasów i rozkosznym wesołkom oddawałem

doszczętnie swe serce, tak samo zresztą jak wszyscy mieszkańcy Ameryki Środkowej i Południowej. Trzpioty, zawsze do figli skłonne, rozśmieszały ludzi dwoma

komicznymi częściami ciała: wydłużonym, wąskim nosem, ogromnie ruchliwym i

wścibskim, oraz dużym, puszystym ogonem, trzymanym sztywno do góry, gdy

zwierzak chodził lub biegł: wtedy przedziwnie przypominał chorążego z uroczyście niesioną chorągwią w czasie pochodu w dniu narodowego święta.

Więc gdy ostronosek wyskoczył ku nam niby kula wesołości, złapałem go za kark i przyjaźnie podniosłem, głaszcząc po miękkim futerku. On tych ludzkich pieszczot piekielnie nie lubił i starał się gryźć mnie jak wściekły, a zęby miał diablo ostre — ale gdy go puściłem, wcale nie uciekał. Pełen ucieznego humoru i żartobliwych

wyskoków dalej nam towarzyszył aż do samej rzeki: miał gagatek niezniszczalną

pogodność duszy i rzadki dar niebrania niczego nikomu za złe.

Był to hedonista i żartowniś, jakich mało na naszej ziemi, ale

0 kilkadziesiąt kroków dalej — co za biegunowe przeciwieństwo! Siedziała tam

dziewczynka, mając małpkę kapucynkę na łonie, a ta kosmata biedula czterołapna

przez cały dzień nic tylko narzekała i biadoliła, popłakując na swój sposób. Nawet gdy ludzie przemawiali do małpki pieszczotliwie albo dawali jej banany, ona, jedząc jak z łaski, nie

przestawała lamentować. Kadziłem dziewczynce, żeby to półtora

nieszczęścia, może beznadziejnie chore, puściła do lasu na wolność, ale podobno małpka nie chciała uciekać i wołała swój weltschmerz wylewać na łonie ludzkiej istoty.

Budziła współczucie, o co jej może chodziło, i był to przejmujący kłębek smutku, ale gdy to niebożę częściej widziałem i lepiej poznawałem jego wymowę, utwierdzałem się w przekonaniu, że małpka ukrytą przyjemność czerpała ze swych skarg

i zawodzeń. Frapującą przyjemność, nieobcą wielu ludziom.

Po dojściu do rzeki czekał nas widok krajobrazu nieoczekiwanie miły. O tej porze popołudniowej słońce oświetlało różo-11 — Piękna, straszna Amazonia

161

wo powierzchnię rzeki, że nawet wiry już mniej straszyły, a przeciwległy brzeg

rozpływał się w tak ciepłych tonach, jak gdyby Watteau malował tu swe słodkie

pejzaże parkowe. Teraz było tu radośnie i błogo, nie tak mrocznie jak rano tego dnia, toteż sielankowe cisnęły się myśli do głowy, a nie gorzkie żale o wytępianiu żółwi, nie cierpkie dumania nad rabunkową gospodarką.

Więc sielanka? Więc liryzm pejzaży francuskiego malarza? Jakiś bajkowy fragment przyrody amazońskiej, boska chwila upojenia?

Chwila, tak, ale potwornie krótka. Nie stało czasu na rozmarzenie się. Nadleciały komary tak gęstą i kłującą falangą, że zerwaliśmy się jak oparzeni (aż ostronosek podskoczył z przerażenia) i pośpiesznie zmykaliśmy od wrogiego nagle brzegu.

ETAP ÓSMY-MAOIZA, KOPALNIA GYNY

MOTYLE, WAMPIRY I BOHATERSKI POLAK

12 — Piękna, straszna Amazonia

38. Błoga pasja wspomnień

Niezdrowy klimat dawał nam się wciąż we znaki. Ów osławiony klimat znad brzegów Madeiry, który, nie zapominajmy, tysiącami zabijał robotników przy budowie kolei, a nawet teraz jeszcze niedawno siał choroby i śmierć wśród polskich inżynierów. Dla nas zwłaszcza podwieczorne godziny były przykre i pełne melancholii.

By zwalczać chandrę, uciekaliśmy się do różnych sposobów. Rum, działający na

krótką chwilę, niewiele pomagał i raczej szkodził. Natomiast wypróbowanym

środkiem, by trzymać się w garści, było rozbijanie Avyobrafeii i ucieczka ochoczą myślą w inne, dalekie rejony. W przyjazne strony.

Przecież istniały gdzieś łąki bez komarów, istniało słońce bez kąpieli w pocie, powietrze bez duszności. Po łące uwijał się szczęśliwy chłopiec i miał siatkę ma motyle, a była niedziela, rosły stokrotki, kwiaty ponętnej nadziei, i blisko był ojciec...

— Przed rokiem, w maju, kiedy byliśmy pod dębami rogaińskimi, czy wtedy kwitnęły tam stokrotki na łąkach? — pytałem Zygmunta Pniewskiego, gdy wieczorem leżeliśmy już pod moskitierami.

Kwitnęły, ale pamiętniejsze okazywały się motyle aurory, latające wówczas na łąkach, owe zorzynki rzeżuchowce, jak je nazwali nasi sadyści językowi z plejady

entomologów. Zorzynki były nieduże, ale śliczne, samczyki miały na skrzydłach

pomarańczowe plamy jak dwa miniaturowe słońca. I chociaż tamte, pod dębami, były dziesięć razy mniejsze niż zorzynek w Mutum Parana (wytworne Gonepteryx

menippe), to przecież wydały nam się teraz sto razy wspanialsze i były tysiąc razy ważniejsze.

Bo poprzez „aurory” już łatwo dało się wybiec w ojczyste lasy nad Wartą czy na błonia Rogalinka i znaleźć się w zdumiewająco sympatycznej kompanii zagorzałych łowców motyli, boskich postrzeleńców i maniaków piękna przyrody. Dziwna rzecz:

przebywaliśmy tu w tropikalnym rajku przyrodnika, gdzie królowały dynastie

Morphów i gdzie bujna roślinność nieustannie płonęła rozrodczym żarem, a przecież bywało, że chłód ścinał nam serca. Wtedy musieliśmy przywoływać na pamięć ludzi z północy, owych opętanych łowców motyli, by ogrzać się ich ciepłem.

Więc w niektóre wieczory przywoływaliśmy wspomnienia tak mocno, że były jak

zaklęcia i tych dalekich czcicieli Ca-tocal i Vaness widzieliśmy tuż przy sobie, o krok od nas. Zygmunt Pniewski pomimo młodego wieku znał osobiście prawie ich

wszystkich i miał wiele do opowiadania.

— Nestorem poznańskich motylarzy był Karol Pluciński — wyjaśniał towarzysz leżąc w hamaku. — Umarł przed rokiem, w wieku dziewięćdziesięciu trzech lat...

Siły, zainteresowania entomologiczne i pogodny humor zachował Pluciński do

ostatnich dni życia. Często zaglądał do naukowych pracowni przy poznańskim

Muzeum Przyrodniczym i wnosił zawsze uśmiech i ciekawą dykteryjkę. Ów dawny

dyrektor banku był żywą księgą wiadomości o Poznaniu z końca XIX wieku.

Znał w tym mieście, rzecz prosta, wszystkich wybitniejszych miłośników przyrody.

Także z ojcem moim niejedną odbył wycieczkę do lasów Puszczykowa i serdeczną pamięć zachował o nim do końca życia.

Pewnego lata przed pierwszą wojną światową Pluciński przywiózł z Bawarii piękną kolekcję niepylaków apollów, złowionych na halach alpejskich, i na najbliższym

zebraniu poznańskiego towarzystwa entomologicznego pokazał cały zbiór swym

kolegom. Ci — a byli to przeważnie Niemcy — na widok rzadkich motyli nie mogli

wyść z podziwu i obskoczyli szczęśliwego łowcę, a każdy napierał się, by mu sprzedał

jednego apolla lub zamienił go na inne, rzadkie motyle. Pluciński, człowiek wielce układny i dbały o dobre maniere, zdumiony taką natarczywością, hojnie

zapropozował obecnym: kto zechce apolla, proszę, niech go sobie wybierze. Chcieli wszyscy, rozebrali całą kolekcję, >nie zostawili ani jednego motyla.

— To znaczy — Pniewskiemu przed laty oznajmiał Pluciński, rozbawiony i ze

znaczącym uśmiechem — to znaczy, że motyle apollo były nie lada filutami. Potrafiły wzruszać ludzi dwukrotnie: mnie w chwili łowienia i mych kolegów w chwili

rozdrapywania tego, co złowiłem...

Pniewski zawdzięczał swą pasję motylową Antoniemu Lewandowskiemu, byłemu

pracownikowi urzędu skarbowego w Poznaniu, pięknej postaci, ze wszech miar

niezwykłej. Poznali się obydwaj tuż po drugiej wojnie światowej na którejś łące puszczykowskiej, gdy Pniewski miał siedemnaście lat, a Lewandowski siedemdziesiąt kilka.

Ówże, podeszły wiekiem, ale pełen werwy i wszechstronnej wiedzy, był nie tylko łowcą motyli, ale ich serdecznym obserwatorem i hodowcą, i biologiem, a przy tym

świetnym botanikiem, który zbierał cenne zielniki. Stracił wszystko podczas drugiej wojny światowej w zbombardowanym domu, ale po wojnie podjął zbieranie z

podwójną energią. Wzrok miał tak doskonały, że na trawach z daleka odkrywał

maleńkie jajka modraszków. Wychowywał z nich motyle, by czynić obserwacje

poszczególnych faz rozwoju.

Młodzika Pniewskiego ujął tym, że mu niczego nie narzucał, natomiast wszystko



pokazywał i chętnie objaśniał. Umiał opowiadać ciekawie o każdym złowionym

motylu, a gdy razem w pracowni siedzieli, patrząc na barwne ilustracje dzieła Lam-perta, doznawali tych samych uczuć i poddawali się czarowi motylego świata. W

takich chwilach mała, rzadka sówka ze szmaragdowymi plamami na przednich

skrzydłach, *Calotaenia celsia*, wydawała się najsubtelniejszym wcieleniem owadziego piękna.

Antoni Lewandowski już nie żył od wielu lat, ale dwaj jego

167

synowe poszli za godnym śladem ojca: profesor doktor Anzelm Lewandowski,

chemik, wybił się jako gorliwy zbieracz motyli, a brat jego, Marcei, jako świetny znawca mikrolepidopterów.

Entomologiem, równie zapalonym jak Antoni Lewandowski, był Józef Zimny,

popularny ongiś, już przed pierwszą wojną światową, poznański introligator, który przed kilku laty zmarł w wieku przeszło osiemdziesięciu lat. On także stracił na skutek bombardowań podczas drugiej wojny światowej swe olbrzymie zbiory, w tym

bezcenną kolekcję apollów, jedną z najbogatszych w Europie, ale po wojnie

niestrudzony łowca nie dał za wygraną. Ponownie sięgnął do siatki i łowił, a zanim dokonał życia, miał już znowu przeszło dwa tysiące okazów.

I nie urywał się wątek naszych wspomnień, nowe myśli napływały nam do głowy: oto Puszczykowo pod Poznaniem. Puszczykowo szczęciło się do dnia dzisiejszego

zasłużonym, a sędziwym mieszkańcem, Jerzym Wojciechem Szulczewskim, zwanym

często poznańskim Fabre'em. Był on nie tylko wszechstronnym przyrodnikiem,

zbierającym tudzież opracowującym owady i rośliny, ale także płodnym etnografem, chociaż bez oficjalnych dyplomów. Wcześniej, bo już gdy pełnił obowiązki młodego nauczyciela w Janowcu na Kujawach, powstały jego zainteresowania fizjograficzne.

Osiągnięcia jego na tym polu zaskarbiały sobie zasłużone uznanie uniwersyteckich kół

naukowych. A pięknie świadczyło o wszechstronności uzdolnień Szulczewskiego, że z tego też okresu pochodziła obszerna, bojowym duchem przepojona publikacja: „Co

lud polski śpiewał przeciw Bismarcowi”.

Już przed pierwszą wojną światową, a zwłaszcza w okresie międzywojennym, miał Poznań sporą paczkę zawołanych zbieraczy motyli. Budhik (Pniewski nie przypominał sobie, jak mu było na imię), z zawodu geometra, dziś przeszło osiemdziesięcioletni emeryt, zelektryzował przed pierwszą wojną światową koła naukowców złowieniem w Puszczykowie czarnego pazia królowej. Marian Szmyt, mieszkający dziś przy ulicy Walki Młodych w Poznaniu, z zawodu kupiec, uchodził od kilkudziesięciu lat za największego w Polsce amatora-zbieracza drobiazgu motylego, mikrolepidopterów.

A Tadeusz Burian, inżynier petrograf, łowiący motyle tylko w Puszczykowie i w Prom-nie pod Poznaniem, zasłynął z tego, że posiadał kolekcję najpiękniejszą pod względem doboru barwnych okazów, przy zbieraniu bowiem kierował się przede wszystkim względami estetycznymi. W Kalifornii miał przyjaciela rodaka, który znając upodobania Buriana, przysyłał mu stamtąd przez długie lata najdorodniejsze motyle i chrząszcze. Szczególny ustęp należał się Józefowi Klonowskiemu, wiolonczeliście Filharmonii Poznańskiej, chyba jednemu z najgorętszych miłośników naszej przyrody. Był zbieraczem o zacięciu wyraźnie naukowym. Pociągały go zwłaszcza dwa ulubione tematy, w których tajniki od lat się wgłębiał: była to motyla fauna Wielkopolskiego Parku Narodowego, skrupulatnie przez niego opracowywana, i było zagadnienie zmian, jakie zachodziły wśród motyli Wielkopolski w ciągu ostatnich osiemdziesięciu lat.

Klonowski, namiętny czciciel wszystkiego, co ciekawe na naszych łąkach i w lasach, trawiony nieustanną pasją poszukiwania, nie znał wytchnienia, nie dosypiał, nie dojadł. Nie wytrzymał tego tempa: w połowie swej drogi entomologicznej, w sile wieku zszedł ze sceny życia, w roku 1967; umarł przedwcześnie, bojownik o wzniosłe rzeczy, chorąży szlachetnego frontu.

Byli to ludzie przeważnie starsi lub sędziwi, choć do końca krzepcy ciałem i nieposkromieni duchem. Stare pokolenie bohaterów odeszło lub było na odejściu, ale odchodząc, nie pozostawiało za sobą pustki. Miało godnych następców, młodych entomologów równie płomiennych i zapalczywych, jeśli nie zapalczywszych niż tamci dawni.

Oto Kazimierz Sławiński, poznański artysta plastyk, zagorzały zbieracz motyli, ich hodowca i poważny tych dziedzin znawca. Oto Adam Kochanowski, redaktor Polskiego Radia w Poznaniu, równie gorliwy łowca, ale mający specjalny afekt do niektórych motylich rodów. Więc urzekały go dostojne wstępówki, gwałtowne

zawisaki, pękate barczatki, i żeby sprawiedliwości stało się zadość, także niepokażne kopciuszki domeny motylej, garbatki-Notodontidae. A oto przemili bracia Mrowiń-

scy, kolekcjonerzy entomologicznych ciekawostek; Czesław, budujący fortepiany

pracownik starej poznańskiej firmy Drygasów, i Stanisław, utalentowany artysta

grafik, jeden z czołowych w Polsce, szczególnie rozmiłowany w sprawach przyrody, twórca snujący czarowne wizje zwierząt i roślin, człowiek bliski zagadnieniom

ogrodów zoologicznych — i zakochany w moim okazie *Urania madagascarensis*,

przywiezionym w 1966 roku z Madagaskaru.

Tak to nawiedzał nas świat ujmujących fanatyków, kochanków rajskich kolorów,

odkrywców łąkowych tajemnic, świat romantyków dzisiejszej doby. Jakże dobrze było przywoływać sympatyczne bractwo do naszej amazońskiej dziczy w wieczory

melancholią dojmujące.

A gdy dość sobie naopowiadaliśmy i nasycili się pożywną manną, wracaliśmy, już

odporniejsi, do naszej rzeczywistości, tej nocnej i końskiej. Koniska osiedla, upartym nawykiem, nie ustawały w, wycieraniu swych kleszczy o ściany naszej kwatery,

powodując, jak zwykle, trzęsienie chałupy. Trząśł się nasz świat z kruchych desek, ale my byliśmy teraz przygotowani na wszystko.

## 39. Droga dwustu czterdziestu Morph

Nadszedł umówiony z inżynierem Pałąk dzień wypłynięcia do kopalni w Macizie. W

nocy jak zwykle padało i gdy rano kroczyliśmy ścieżką do rzeki, trawa i krzewy

przemoczyły nas do ostatniej nitki. Ale od tygodni przyzwyczajeni do chlapaniny śmialiśmy się z takiej kąpeli, tym bardziej że było nam ochoczo na duszy: żona Raimonda Verissima na śniadanie zaparzyła wyjątkowo dobrą kawę, która, w myśl

brazylijskiego porzekadła, była czarna jak noc, mocna jak miłość, słodka jak całus, a gorąca jak piekło.

170

Po wyruszeniu dużą motorówką, zwaną tu lanczią, płynęliśmy zrazu rzeką Mu tum

Parana dobry kilometr aż do jej ujścia do Madeiry i wtedy okazało się, że kawa wciąż jeszcze działała: bujna puszcza nad brzegiem wody wydała mi się szczególnie piękna.

Tu z niezwykłą mocą przychodziło na pamięć utarte w Amazonii porównanie, że rzeka i puszcza to dwóch olbrzymów, wzajemnie się Obejmujących w gigantycznym uścisku.

Uścisku, o którym nigdy nie było wiadomo, czy był to uścisk miłosny i płodny, czy wrogi i niszczący.

Gdy wypłynęliśmy na rozległe wody Madeiry, przyłączyło się do nas stado kilku

delfinów i towarzyszyło nam przez kawał drogi obok lanczii. Zwierzęta wesoło

wyskakiwały z wody, podobnie jak delfiny morskie, tylko były o połowę mniejsze niż tamte.

Widziane tu delfiny, zwane przez Brazylijczyków botos, uchodziły za istoty

niesamowite, przepojone magicznymi przymiotami. Przypomniałem sobie, jak przed

laty młody Metys Valentin nad Ukajali potrzebował koniecznie skórki delfina, by za jej pomocą zmusić swą dziewczynę do wierności.

Nad innymi rzekami Amazonii inne przypisywano botom właściwości, ale zawsze

nadprzyrodzone i z lekka monstrialne. Dzięki temu różne zwierzęta miały się dobrze, korzystały bowiem z powszechnego immunitetu, a nie tępione przez ludzi, rozmnażały się we wszystkich rzekach.

Przede wszystkim przypisywano im niezwykłą rozwiąłość i dość gorszące praktyki.

Taki siaki, owaki i sprośny delfin wychodził na ląd, zamieniał się w urodziwego młodziana i dybał

na cnotę kobiet, spotykanych nad rzeką. Nie "było takiej, która by się oparła jego czarowi. Chytry spryciarz przy młodych mężatkach często upodabniał

się do ich mężów, więc one łatwo dawały się nabrać. Dopiero urok pryskał, a niektóre uwiedzione nawet uderzały na alarm, gdy amant, po dokonaniu nieobyczajności,

musiał się ujawnić, odchodząc do rzeki i zamieniając się znowu w zwykłego delfina.

Takie to były gagatki, krążące dokoła naszej lanczii. Uwijały się jak gdyby w

niewinnych igraszkach, a przecież okropne siedziały w nich uwodziciele. Nas także uwodziły: ich nieustanna wesołość i wdzięk ujmowały za serce.

W Bom Futuro, dokąd dopłynęliśmy po półtoragodzinnej jeździe, powitaliśmy z

radością Jerzego Pałkę, który wyjechał swym jeepem nam naprzeciw, a bez radości chmury komarów, od razu wściekle rzucające się na nas. Nie marudząc, wsiedliśmy do samochodu i leśną drogą zaczęli przebijać się przez puszcę. Rosła na tym brzegu wyjątkowo bujna, pełna zdumiewająco olbrzymich drzew i pełna strasznych

mokradeł.

— Nie dziwię się — burknął przejęty Pniewski — że tu tyle morderczych dla człowieka chorób...

Od rzeki do kopalni Maciza mieliśmy 24 kilometry i na tej przestrzeni było chyba pięćdziesiąt mostków, mniej lub więcej nadgniłych. Ludzie mówili nam, że gdy spadał

deszcz, to nie można już było przejeżdżać samochodem, lecz tylko na mułach. Przy rześzystych ulewach także i muły zawodziły i wtedy pozostawał już tylko sam człowiek na własnych nogach: pieszo przebijała się do Macizy przez błota. Trwało to osiem godzin, ale w końcu piechur zawsze niezawodnie docierał do celu, bo jednak on,

człowiek, okazywał się najbardziej upartym ssakiem i najwytrzymalszą machiną.

Na tej drodze Zygmunt Pniewski i ja wpadliśmy w trans, dostaliśmy jak gdyby

gorączki. Owa leśna dzicz nad Madeirą, tak zabójcza dla ludzi, nam dwom,

niepoprawnym zapaleńcom puszczy, wydała się rajem. Wtargnęliśmy oto w istną

orgię zielonego uroczyska. I mieliśmy szczęście, bo akurat wyszło słońce i nagle dokoła nas zaczęły się dziać cuda. Owady, tysiące owadów wyleciało na drogę. Sunęły w powietrzu, pełzały po gałęziach, przemykały w trawie, ganiały po ziemi, wpadały w jeep. Były tam urzekające motyle, chrząszcze dziwaczne, gniewne szerszenie i

pszczoły, buczące bąki i gzy, zwiewne ważki, kąśliwe muchy, wielkie szarańcze, także modliszki. Jakieś ich niepojęte, nieprzebrane rojowisko. Gdy jeep na chwilę

przystawał, dochodził nas głośny szum niby od rzeki, do której spływały tysiące owadzych dźwięków. Owe szelesty, bzyki,

172

chroboty na ogół nie były głosem miłości ani uradowania, ani igraszek. Tu, wśród owadziej czerni, srożył koszmar. Bujność życia objawiała się w morderczych

gonitwach, w zabijaniu. Jedne stwory z pasją ścigały, by złapać i pożreć, inne w panice uciekały, by nie być pożarte.

Puszcza amazońska należała do owadów, nie do ludzi — zapewniali wciąż podróżnicy od trzystu z górą lat. Człowiek czuł się ziarnkiem wobec tych tytanicznych potęg —

przypominały się słowa Willarda Price'a i tegoż stwierdzenie, że to głównie owady uniemożliwiały podbój Amazonii.

Ale w tej puszczy najwięcej w oczy rzucały się motyle. Latały całymi stadami, bez liku, we wszystkich kolorach tęczy. Było to ich nieprzebrane królestwo. A szczególnie roiło się od niebieskich olbrzymów, Morph, przeciw motyli gdzie indziej niezbyt

pospolitych. Wielkie niby ptaki, niby jakieś oczarowane zimorodki, czarowały i nas także. Dosłownie co kilkadziesiąt metrów olśniewały nas swoją metaliczną krasą.

Rzekłbyś: gwiazdy z baśni; rzekłbyś: naziemskie istoty; żywe, świecące meteory.

Przedziwna siła w tym pięknie Morph! Chociaż setki razy od wielu lat spotykałem je we wszystkich moich włóczęgach po kniei południowoamerykańskiej, to jednak

zawsze, za każdym razem, nie mogłem powstrzymać się od zachwytu. I nie mogłem

powstrzymać się od częstego o tym pisania, narażając się na słuszny zarzut

nieustannego powtarzania. Cóż, rozliczałem się tylko sumiennie ze swych wzruszeń.

Słusznych wzruszeń. Widząc motyle Morpho w naszych muzeach, nieżywe, w

gablotach rozpięte, trudno było sobie wyobrazić wrażenie, jakie sprawiały za życia, gdy tam w puszczy latały w tropikalnym słońcu i tak nieprawdopodobnie błyszcząły.

Zabawialiśmy się w rachmistrzów i obliczali, ile Morph widzieliśmy na tej drodze.

Chyba dwieście czterdzieści, stwierdziwszy, że co sto metrów pojawiał się co najmniej jeden Morpho. Jednak na tej pełnej drodze było nie tylko mnóstwo motyli 173

i innych owadów, ale również niezwykle wiele jaszczurek. Zresztą nie dziwić się: jaszczurki nienasycone pożeraczki owadów, miały tu fantastyczną wyżerkę przy

nieustannie pełnej spizarni. Szczególnie Pniewski nie mógł się dość nacieszyć

gadzinową obfitością i, obezwładniony, raz wraz wpadał w zachwyty.

Co kilka metrów płoszyliśmy jakiegoś gada, a on w panice uciekał przed nami.

Najczęściej pędził wzdłuż drogi, zanim zbaczał i przepadał w gąszczu, a mknął jak szalony, podnosił się z przodu i biegł już tylko na dwóch tylnych nogach. Było to nad wyraz przejmujące i wyraźnie świadczyło o dziedzictwie sprzed stu pięćdziesięciu milionów lat, z jurajskiego okresu naszej ziemi. Przecież owe jaszczurki na drodze przypominały jak żywo dawne tyranozaury czy iguanodony, bestie o krótkich

przednich nogach, a potężnych tylnych łapach, na których biegały — tylko że wtedy gady były tysiąc razy większe niż dzisiejsze skarłale potomstwo.

Pniewski siedział na brzegu jeepa i raz po raz prosząc Pałkę o zatrzymanie

samochodu, śmigał z siatką na drogę. Zdobywał nie tylko Morpha, ale i wieloogonowe Uranie i Papilia, zwłaszcza dostojnego telesilaus — i był w swoim żywiole.

Raz zeskoczywszy na ziemię, wypłoszył spod nóg węża, wygrzewającego się na drodze.

Gdy gad uciekając dostał się pod samochód, Pałka zwawo cofnął wehikuł, ażeby kołem roz-miażdżyć intruza. Nie udało się. Wąż — zapewne jadowity, bo

o trójkątym kształcie głowy — szurnął dalej, w stronę przydrożnego zielska. Wtedy Pałka błyskawicznie dobył rewolweru

i z odległości trzech, czterech metrów kilkakrotnie do niego wystrzelił. Także daremnie. Nie trafił. Wąż uciekał co sił i zaszył się w gęstwinie, a tam ścigać go byłoby bez skutku i może niebezpiecznie.

Daliśmy za wygraną.

Gdy pierwsze uniesienie minęło, spojrzałem na otaczające nas leśne olbrzymy, jak gdybym je widział po raz pierwszy. Kolosy sprawiały niepokojące wrażenie. Stały nad nami jak złowróźbni wartownicy, Strzegący swej tajni przed maleńkimi

174

natrętami. Wielkie drzewa po prostu nie dopuszczały nas do

siebie.

Nigdy człowiek nie wydał mi się tak kruchym robaczkiem, nigdy puszcza tak

nieuchwytną potęgą.

40. Czy to bohater? Na pewno, na modłę brazylijską

Około południa wyjechaliśmy na rozległą porębę, na której niedawno temu

wytrzebiono kawał puszczy i gdzie tu i ówdzie pobudowano kilka drewnianych chałup dla ludzi kopalni i dla sprzętu. Ale stara puszcza, nieposkromiona w swej żywotności, od razu przypuściła wściekły kontratak na porębę i wnet pokryła ją wtórnymi

chaszczami. Jednak tam, gdzie stał bungalow kierownictwa kopalni, także i chaszczce musiały ustąpić. Tam zieleń trzymano w ryzach, tępiąc ją zajadle na obszarze dwóch hektarów w codziennej, nieprzerwanej walce.

Na tym ogołoconym placyku, niby na wysepce zdrowia, stał na wysokich palach

obszerny bungalow. Wyglądał dziwnie, jak obłożona warownia: wszystkie otwory,

okna, drzwi były szczelnie zatarasowane drucianą siatką, ażeby przez gęstą barykadę nie dostał się do środka wróg człowieka najgroźniejszy — komar. W bungalowie

człowiek w pozornym bezpieczeństwie kładł się do snu, ale czy także do spoczynku?

W porównaniu z mizernymi chałupami w Mutum Parana bungalow wydał nam się

pałacem i w istocie był to na dziesiątki kilometrów najpokaźniejszy w tych stronach budynek.

Oczywiście budowany tylko z drzewa i bambusów, ale o trzech czy czterech przestronnych pokojach i werandach.

Żebyśmy nie zapomnieli, że dokoła zewsząd była złowroga puszcza, powitały nas zaraz na wstępie wieści o wampirach, t tych prawdziwych, krwiożerczych, z rodzaju

Phyllostoma. Małe były, ale wredne, bo napastliwe i dość liczne. W Macizie

upuszczały krwi ludziom i domowym zwierzętom. W czasie snu delikatnie nadgryzały ofiarom skórę, przeważnie u palców

175

nóg, i spijały sączącą się z rany krew. Rano budzili się ludzie, odkrywając kałużę krwi pod nogami, i potem przez kilka dni słaniali się osłabieni.

Ostatniej nocy kura wykrwawiła się na śmierć, i tak zdarzało się wśród drobiu co kilka dni. Także świniom, hodowanym przez ludzi kopalni, a nawet mułom srogo dokuczały nietoperze i jakoś trudno było obronić się pladze. Siatki, zasłaniające wszystkie otwory bungalowu, strzegły mieszkańców nie tylko od komarów, ale przede

wszystkim od wampirów.



Gdy weszliśmy do bungalowu i drzwi na sprężynach automatycznie zamknęły się za nami, doznaliśmy ulgi po raz pierw- Y | szy od wielu dni: tu byliśmy bezpieczni od wszelkiego kłującego gałęństwa, które na dworze bez przerwy nas dręczyło. Tu nasuwały się przyjazne myśli, robiło się miło na sercu i można było dzielić radość z innymi. Jerzy Pałka, bardzo rad, że byliśmy znowu razem, chętnie opowiadał o sobie i o kopalni. Rozgrywały tu się ongiś zdrożne dzieje, gwałtem i bezprawiem nacechowane, jak wszędzie w Brazylii tam, gdzie znajdowano bogactwa, a jedni drugim chcieli je wydrzeć. Bogacz z Manaus, Libańczyk Sabba, pierwszy posiadał w tym lesie kopalnię kasyterytu, Sao Lourenco, i do tego rozległe tereny puszczy, ale inni również złakomili się na gratkę i prawem kaduka weszli na północną część terenów Libańczyka. Owymi innymi było konsorcjum brazylijsko-zagraniczne, które stworzyło kopalnię Maciza.

Działo się to kosztem Sabby i pod bokiem jego kopalni Sao Lourenco.

Więc utartym zwyczajem wybuchła leśna wojna. Ludzie zaczęli do siebie pukać, ten i ów odnosił rany, ale przybysze w Macizie nie dali się wykurzyć. Gdy przeciwnicy z Sao Lourenco zamknęli im drogę do rzeki Madeira, jedyne go wyjścia na świat, macizanie wykarczowali pas puszczy i wygładzając teren stworzyli prowizoryczne lotnisko. Małe samoloty mogły lądować, więc przywoziły prowiant, wywoziły kasyteryt.

Jeszcze trochę postrzelano, ale kule-już raczej świstały koło uszu, a nie godziły na życie. Z biegiem czasu wrogość stopniała,

176

zabójstw i wendett nie było, toteż przeciwnicy zmęczeni wojowaniem i

przyzwyczajeni do siebie. Maciza się ostała, wyszła obronną ręką. Indian,

przebywających na jej obszarze, wydusiła normalnymi w tych stronach sposobami, a następnie sprowadziła polskich inżynierów, by zorganizowali wydobywanie

kasyterytu na większą skalę.

Gdy przybyliśmy do Macizy, kopalnia dzięki staraniom inżyniera Pałki przechodziła reorganizację. Zaniechano starej, zabójczej metody przebywania w wodzie przez cały dzień, przerwano prace i lada tydzień oczekiwano nadejścia machin, które miały

unowocześnić wydobywanie kasyterytu.

Oprócz Pałki był tu drugi, młodszy inżynier, miły Peruwiańczyk, i poza tymi dwoma nikt inny nie mieszkał w bungalowie. Dawniej niektórzy garimpeiros przybywali do kopalni z żoną lub z

dziewczyną (także i bungalow, jeśli się nie mylę, miał

odpowiednią gosposię), ale okazało się, że obecność niewiast na tym leśnym

pustkowiu nie wychodziła na dobre Macizie: wiodła do wykradania sobie kobiet i do krwawych porachunków. W obecnej chwili nie było tu żadnej kobiecej kości niezgody, a boy, mieszkający w odległym budynku kuchennym, obsługiwał dwóch inżynierów.

Po południu naszły chmury, posiąpił deszcz i wiatr snuł się nad puszcza, ale pod wieczór znowu pięknie się wypogodziło i nastąpiła cisza. Dienne motyle pochowały się około czwartej godziny; Wkrótce zniknęły natrętne muszki boraszudy, a wieczorne komary jeszcze się nie wyroiły: była to w przyrodzie przyjemna chwila wytchnienia.

Wyszedłem na werandę bungalowu i nic mnie nie napastowało. Słońce, bliskie

zachodu, oświetlało niedaleki skraj puszczy i powietrze było tak przezroczyste, że pomimo odległości dwustu kroków widziało się wyraźnie i dziwnie plastycznie każdą gałązkę, każdy liść. Równocześnie okolicę zalegała cisza idealnie niezmacona: nie było żadnego bzyku osy ni kumkania żaby, ni gwizdu ptaka. Cisza prawie grobowa. I

absolutnie nic tam się nie ruszało, jak gdyby wszystko zamarło w przyrodzie.

17?

1

Często nachodziły takie wieczory w tropikach i sączył się od nich męczący smutek.

Rozumiałem rozpijanie się tylu Brytyjczyków w koloniach, by przezwyciężyć chwile nostalgii. Kto nie miał przy sobie zaufanego przyjaciela, a jeszcze lepiej miłej przyjaciółki, zaglądał mocno do kieliszka.

Jerzy Pałka nie pił. Nie miał tu przyjaciela ani dziewczyny, na domiar bytował w niezwykle ciężkich warunkach, osaczony mrowiem chorób, i jasno to sobie

uświadamiał; a jednak nie pił. Był to charakter silny, przy tym typowy krakowianin, pełen praktycznej wyobraźni. Pałka wyżywał się w marzeniach, ale choć odważnie

marzył, bynajmniej nie odrywał się od ziemi. Myślał o Rio de Janeiro i o

przyjaciołach, jakich tam miał, i liczył: pracując w Macizie, zarabiał siedemset dolarów miesięcznie, więc za pięciomiesięczną pensję można było kupić nowoczesny apartament przy wytwornej ulicy Copacabana w Rio. Natomiast za oszczędności z

dwudziestomiesięcznej pracy Pałka mógł w Rio urządzić się już na stałe, a otoczony serdecznym gronem przyjaciół, pracować tam jako inżynier i założyć rodzinę.

Owi rioscy przyjaciele, przypominam, byli również i moimi przyjaciółmi, więc w Macizie znowu, tak samo jak niedawno w Mutum Parana, wybiegaliśmy myślami do

nich — w naj-naturalniejszej potrzebie wspomnień. Znowu sobie uświadamialiśmy,

jak przytulna rezydencja przy Rua de Visconte Itauna wydawała nam się stąd

prawdziwym rajem serdeczności, a jej kulturalni gospodarze, inżynier Tadeusz i jego żona Zofia, najsympatyczniejszymi Polakami w Brazylii.

Człowiek o pewnym poziomie duchowym, duszący się w oparach nad Madeirą, nie

mógł inaczej, musiał stąd pędzić sercem na szeroki świat. Jerzy Pałka harował wi tej matni leśnej, by zdobyć zasoby, pozwalające mu wejść mocną stopą między

roześmianych przyjaciół. Już zrobił pierwszy krok. Nabył wymarzone mieszkanie w Rio. Mieściło się przy Avenida Copacabana. Ale żeby dopiąć ostatecznego celu, musiał

pozostać nad Madeirą jeszcze przez dwadzieścia miesięcy, w tych warunkach istną wieczność. Żaden z inżynierów nigdy dotychczas

178

tak długo tu nie przeżył. Pałka był tego świadomy, ale nie uląkł się. Wybrał walkę, zaryzykował. Rzucił wyzwanie puszczy, chociaż wiedział, jak trudną miał szansę

wygrania.

Czy był to bohater? Na pewno. Na modłę brazylijską.

## 41. Lukrecja Borgia w Mutom Parana

Po powrocie do Mutum Parana wpadliśmy w nastroje nowej sensacji. Rodzina naszego gospodarza Raimonda Verissima wplątała się w kabałę cichej wojny domowej. Tarapaty sprawiła Maria Jose Rocha Bentes, dwudziestoletnia flireiarka.

Na chwilę zamigotał trójkąt małżeński; trwał krótko, po czym, przy pomocy przykładowej makabry, wygrała cnota i wygodne łoże małżeńskie.

Z trojga bohaterów pociesznej hecy trudno było wybrać sobie faworyta, każde z nich miało swe dobre i naganne strony, a działo się to wszystko w mutumparańskiej aurze intrygi i miłości, zazdrości i medycyny.

Maria, która przyjechała razem z nami z Porto Velho, była w Mutum Parana już przedtem, mieszkając wtedy u Raimonda Verissimo i w Macizie, a swych wdzięków także wówczas nic chowając pod korcem. Albowiem Maria pochodziła z miasteczka

Manicore nad środkową Madeirą, które przed kilkanaście laty wslawiło się jako miasto przedsiębiorczych dziewczyn.

Wtedy jakiś rzeczny parowiec osiadł na mieliźnie tuż w pobliżu Manicore i stał tam uwięziony przez dwa tygodnie. Piętnastu jurnych marynarzy okrutnie rozbrykało się w mieście i miało raj, bo dziewczęta były im diabło chętne i łapczywie sobie wrywały amantów. Doszło do Sodomy i Gomory. Ojcowie miasta wydzielali sobie włosy i

rzucali klątwy, ale nic to nie pomagało i dopiero przybór wody i odpłynięcie statku położyły kres płochym szaleństwom.

Takiego to miasta hożą córą była Maria. Przyjechała do Mutum Parana na dziewczęcy podbój, ażeby dać się komuś

179

uwieść? Ale komu? Dwom dorodnym spryskiwaczom przeciw-komarowym? Mieli co prawda zabójcze wąsiki, ale pustaki gustowali w skakaniu z kwiatka na kwiatek.

Dwom przybyszom z Polski? Mieli nieboraki swą wrzodowatą aklimatyzację i ani im w głowie skoczne amory. Pozostawał tylko jeden godny obiekt, człek poważny, zasobny, mąż, jak się patrzy: Raimondo Verissimo. Toteż u niego Maria umiejściła się jako pomoc pani domu i była tam miła, skromnie uśmiechnięta, a kształtna naturalnym

powabem.

Z dawnych czasów lubiła Polaków, więc chcąc zrobić przyjemność dziewczynie, postanowiłem darować jej tanią, wykutą z mosiądzu bransoletkę, kupioną ongiś na murzyńskim targowisku w Dar es-Salaam.

•— Jeśli pragniesz być szczęśliwa, to bez przerwy noś tę bransoletkę! — zażartowałem, ofiarując Marii prezent.

Żona Raimonda, usłyszawszy to, srodze zainteresowała się podarkiem.

— Ja też chcę być szczęśliwa! — zadyszała, doskakując do nas, i bransoletkę wyrwała z rąk Marii. Maria, z natury układna, nie broniła jej.

Żona Raimonda była czterdziestoletnią niewiastą, w sam raz otyłą i ruchliwą, miała troje dzieci, karmiła nas nieźle i raziła szorstkim, swarliwym głosem. Stanowiła typ przekupki, chociaż typ w miarę złagodzony.

Niestety bransoletka nie dopisała: była zbyt ciasna na tęgie łapska pani domu i talizmanu nie dało się nasunąć. Ale także pamiątka Marii, zbyt mocne, nie mogły przecisnąć znaku szczęścia. Więc sprawiedliwości stało się zadość, nikt nikomu nie miał nic do pozazdroszczenia, a bransoletkę dostała sześciolatnia córeczka Verissima i dziewczynka wzięła na siebie brzemień szczęścia.

Ów błahy incydent musiał jednak poruszyć jakieś tam gwiazdy na niebie losu, bo wkrótce szczęście jak gdyby uśmiechnęło się do Marii, a odwróciło od pani domu.

Może Raimondo, zmienna chorągiewka męska, będący w sile rozrodczego wieku, z nagłą odkrył, że Maria była warta grzechu? Może kochliwy

180

...Zamigotał na chwilę trójkąt małżeński; trwał krótko...

(z prawej strony Raimondo Verissimo, z lewej Metyska Maria, po środku żona Raimonda).

Dajcie pięć tysięcy cruzeirów! — warknął Uatau złowieszczo...

mąż zauważył, że Maria miała o dwadzieścia lat mniej niż jego żona, a kibić kształtniejszą?

Cokolwiek było, w rodzinnym stadle nastąpiła zmiana. Nie tragiczna, nie

katastrofalna, po prostu brazylijska: w Brazylii, uświęconym zwyczajem, każdej

głowie rodziny, jeśli tylko zbiła nieco grosza, wolno było mieć konkubinę; o tym doskonale wiedział Rairondo Verissimo i wszyscy inni.

Przed naszym wyjazdem do Macizy naprężyły się stosunki w domu Raimonda. Nad

żoną zawisła niewierność męża. A połowica nie chciała z tym się pogodzić. Chodziła po domu milcząca i zacięta, dusiła w sobie gniew, na twarzy miała wyraz zgorznienia.

Gdy się czasem odzywała, głos jej zgrzytał gderliwiej niż kiedykolwiek. Jeszcze na razie krzątała się po gospodarstwie i wszystko robiła jak dotychczas, ale widać było, że traciła animusz i ubywało jej zwykłego zacięcia. Przegrywała.

Maria nosiła swe zwycięstwo z pewną godnością i wielką dyskrecją. Nie okazywała ani cienia triumfu. Była spokojna i równie grzeczna dla wszystkich, a szczególnie grzeczna dla porażonej przeciwniczki. Żona w napiętym stanie chętnie wywołałaby awanturę, ale przezorna Maria nie dopuszczała do chryi. W jej spokoju przebijała dumna

pewność siebie: czy zwycięstwo nie należało jej się według wszelkich praw natury, jej, która była powabniejsza i o tyle młodsza niż rywalka?

W takiej fanaberyjnej atmosferze wyjechaliśmy do Macizy, a wracając po kilku dniach do Mutum Parana, spodziewaliśmy się u Verissima histerycznych wrzasków i

rodzinnej burdy. Tymczasem nic podobnego. Zbliżywszy się na odległość głosu,

usłyszeliśmy wesoły śpiew, wypływający z domu, a był to — o nieba łaskawe! — był to śpiew żony Raimonda.

Zdębieliśmy, zaparło nam oddech. Żona najwyraźniej zdobyła przewagę i nie

poznawaliśmy jej. Pozbyła się smutku, buchała częstym śmiechem, krzyczała

gardliwiej niż kiedykolwiek i śpiewała, do pioruna! raz w raz podśpiewywała sobie z uciechy. A Maria? Była złamana: osowiała, o zgaszonych oczach, przycupnięta na

zydelku pod ścianą przedstawiała żaloszny widok.

— Piękna, straszna Amazonia

— Do diabła, co tu się stało? — zbaraniały, parsknąłem do Pniewskiego. — Co za licho w nich strzeliło? Skąd ten nagły przeskok?...

Pniewski był równie zdziwiony jak ja, bo nie ulegało wątpliwości, że tu coś

przewróciło się do góry nogami: stara żona była górą, młoda dziewczyna przegrała. A zwycięska

żona mściła się z nie ukrywaną przyjemnością i zuchwale demonstrowała swój dobry humor.

Rzecz, nie pozbawiona makabrycznego komizmu, wydała nam się mniej śmieszna,

gdy podeszliśmy do Marii:

— Co tobie?

Znękany wzrok z trudem na nas podniosła, miała wypieki na twarzy.

— Odjeżdżam... najbliższym pociągiem odjeżdżam! — bąknęła. — Nie chcę umierać!

— Dlaczego zaraz umierać, Mario? Co ci się stało, gadajże! Posępnie spojrzała w stronę sąsiedniego pokoju, gdzie śpiewała żona Verissima.

— Dała mi... trucizny! — wymamrotała Maria.

Ładna heca! Niestety były poszlaki, wskazujące na to, że dziewczyna się nie myliła, a zazdrosna żona prawdopodobnie ją podtruła.

Nie wiedząc, czy to pomoże, czy zaszkodzi, dałem Marii środek na przeczyszczenie i pewnie wyszło jej to na dobre. W każdym razie czuła się lepiej, gdy następnego dnia odjeżdżała do Porto Velho. Równocześnie z jej odjazdem żona Verissima przestała śpiewać, jak gdyby nie było już potrzeby rzucania uroku. W tym czasie Raimondo

znajdował się poza domem.

Tak więc poznaliśmy mutumparański sposób rozwiązywania trójkąta małżeńskiego.

Niestety, coś z tajemniczej trucizny i nam się udzieliło. Świadomość mieszkania pod jednym dachem z lokalną Lukrecją Borgią powodowała, że za każdym razem na

podawany nam przez żonę Verissima ryż mimo woli patrzeliśmy dziwnie i w

skupieniu.

ETAP DZIEWIĄTY-AMAZONIA

NIE POZWÓLMY WYTEPIĆ INDIAN

. Puszczony fantazji

Jeśli gdziekolwiek przystanąć to Mutum Parana i ogarnąć jednym spojrzeniem

zarówno osadę jak puszcę, wciąż narzucał się uderzający kontrast między wątłością człowieka i jego chudoby a przepychem puszczy. Wobec ogromu drzew i tak

nieprzebranego ich mnóstwa o2ł<7w^e^ zawsze czuł się mały I zmieszany. Puszcza amazońską rosła

w jego pojęciach do mistycznej potęgi, jej bogactwo popierało

fantastyczne wymiary i zapładniało rozpasaną wyobraźnię.

Prostacy, jakimi przeważnie byli hiszpańscy \* portugalscy konkwistadorzy, ulegali nienasyconej żądzy złota i nie dziw, że chciwość zdobycia skarbów podsuwała im

chorobliwe wizje. Ale po nich przychodzili tu ludzie rozumniejsi i mniej zaborczy, bardziej światli i kulturalni przychodzili odkrywcy, badacze, przyrodnicy,

etnografowie, « jednak i oni tknie nie uchronili się od dziwacznych marzeń. I również puszcza dorzecza Amazonki bezlitośnie csar<?wa\*a i oni tak samo jak ongiś konkwistadorzy, nie mogli oprzeć się jej złowieszcemu urokowi. Nawet

najprzezorniejsi z nich dali się uwieść i z poważną miną wygłaszali prorocтва które ,w doświadczeniu następnych wieków okazywały się bzdurą. Puszcza amazońska,

brutalna, drapieżna, nie tylko zaćmiewała rozum i zabijała ludzi, ale urągała im.

Zmuszała ludzi do niepoczytalnych rojeń, dawniej i dziś tak samo.

Pierwszy dokładniejszy opis ^Amazonki zawdzięczaliśmy jezuitce Pedro Cristovalowi de AćtJ.nha, który żył tu w pierwszej połowie siedemnastego wieku ma słuszne spojrzenie

185

na wiele spraw, ale w swym dziele „Nuevo Descubrimiento" nie mógł uchronić się od zbyt pięknych marzeń. „Amazonka — oto pisał z zapalem — hojnie wynagrodzi

wszystkich, którzy tu przywędrują. Biednemu zapewni utrzymanie, robotnikowi —

godziwe wynagrodzenie; kupiec będzie miał krociove obroty, żołnierz znajdzie pole do odznaczeń. Bogaty pomnoży tu swój majątek, szlachcic — swe zaszczyty; obszarnik zdobędzie nowe latyfundia, a król nowe bogate imperium".

Były to rojenia mniej lub więcej logiczne jak na owe czasy, tylko ten żołnierz jakoś wypadł z sielanki i trochę psuł harmonię obrazu.

Największy badacz Ameryki Południowej, najwszechstronniejszy umysł, jaki tu

przebywał, Aleksander von Humboldt, w swych pracach stosujący „zarówno wnikliwą analizę, jak i śmiałe syntezy"-^Wielka Encyklopedia Powszechna, tom 4), niestety nie był wolny od budowania zamków na lodzie. Czar puszczy amazońskiej także i jego

uwiódł i zbałamucił do tego stopnia, że uczony zaczął pochopnie prorokować o

przyszłości Amazonii jako krainy, która stanie się „centrum kultury światowej": zuchwała



przepowiednia, popędliwa wróżba, chyba że polarne lody tu się zbliżą — jak sto lat później z przekąsem sarknie rodak Humboldta, niejaki Werner Hopp.

Ale Humboldt nie poprzestał na ogólnikach i dał się porwać osobliwości Casiquiare, łączącej dorzecze Rio Negro z Orinokiem. „Dla przyjaźni między narodami Zachodu nastaje nowa era! — zapewniał niemiecki uczonek. — Po udręce wojen zapanują

dobrodziejstwa pokoju i szybszy rozwój cywilizacji wtedy, gdy europejski świat

handlowy wykorzysta bifurkację Orinoka, z której łatwo zrobić najdonioślejszą arterię komunikacyjną. Casiquiare przeobrazi się w drogę wodną pierwszej wagi. Zboże z

Kolumbii dostanie się łatwo do brzegów Rio Negro; od źródeł rzek Napo i Ukajali, od Andów spod Quito i z Peru popłyną statki do ujścia Orinoka — na przestrzeni tak wielkiej jak od Timbaktu do Marsylii. Naturalne łożysko Casiquiare obsłuży krainę dziewięć lub dziesięć razy większą niż Hiszpania. Więc miejmy bacznie na oku ów fenomen przyrody, który kiedyś stanie się tak niezmiernie ważny dla politycznego scalenia narodów”.

Niestety na to „kiedyś” Ameryka Południowa daremnie czekała dotychczas przez półtora wieku — i chyba nadal czekać będzie.

Wzmianka Humboldta o europejskim świecie handlowym, który odniesie korzyści z istnienia Casiquiare, srodze rozdrażniła pół wieku później amerykańskiego oficera W.

Lewisa Herndona, badającego gospodarcze możliwości dorzecza Amazonki.

Zazdrosny o amerykańskie wpływy, Herndon z oburzeniem zastrzegł się w swym

dziele, że nie Europa, lecz Stany Zjednoczone Ameryki Północnej miały

pierwszeństwo do bogactw Ameryki Południowej. Po czym wieszczym tonem

przepowiadał niebotyczny rozkwit Amazonii, jeśli nią się zajmą odpowiedni ludzie (tj.

jankesi), i malował urzekającą wizję niedalekiej przyszłości: „Wszelka potęga i cały dobrobyt starożytnego Babilonu czy obecnego Londynu (!) okażą się śmieszną

błahostką, bagatelą wobec niezmierniejszej zamożności, jaka zapanuje u ujścia

Amazonki i Orinoka”.

Już przeszło sto lat minęło bez spełnienia sit; horoskopów.

W tym samym czasie, w połowie XIX wieku, Anglik Alfred Russell Wallace, wybitny przyrodnik,

badacz Amazonki i Rio Negro tudzież zwolennik Darwina, nie mógł się powstrzymać od wygłaszania zdumiewających dub smalonych: „Jest to głęboko

zakorzeniony błąd, jakoby w tropikach bujna roślinność tłumiała pracę człowieka. W

istocie rzecz ma się wręcz odwrotnie: przyroda i klimat tropików nigdzie tak nie sprzyja robotnikowi rolnemu jak tutaj. Śmiem odważnie zapewnić, że tu, nad

Amazonką, pierwotny las można zamienić w bogate pastwiska i orne ziemie, w

wydajne ogrody i sady, gdzie różne produkty rolne uzyska się przy pracy połowy

robotników niż u nas i, co ważniejsze, w okresie dojrzewania o połowę krótszym niż w naszym klimacie... Liczna rodzina chłopska, która przywędruje nad Amazonkę, będzie mogła w niedługim czasie nieźle się dorobić..."

Rodak Wallace'a, Herbert H. Smith, piszący o swej podróży

187

po Amazonce w dwadzieścia lat później, w 1879 roku, pomimo szacunku dla słynnego przyrodnika, pozwolił sobie wyrazić wątpliwości co do dobrobytu i szczęścia owej chłopskiej rodziny imigranckiej w Amazonii — i miał słuszność.

Ale ten sam ostrożny H. H. Smith, już trzydzieści stron dalej w swej książce,

oczarowany roślinnym przepychem nad wielką rzeką, puszczał wodze fantazji i

przysięgał, że Amazonia to z natury najbogatszy region rolniczy świata; że tu rośnie najprzedniejszy gatunek kawy, jaki będzie można produkować w wielkich ilościach, że wobec tego północne prowincje Brazylii staną się najważniejszym ośrodkiem

rolniczym tego kraju...

Jak się okazało, terefere kuku. Kawy tu nie było ani wtedy, ani nie ma jej dzisiaj.

Po drugiej wojnie światowej z kolei Amerykanie objęli rolę ognistych entuzjastów i głosicieli przesady na temat Amazonii. Caryl P. Haskins, groźny fantasta i polityk o pobożnych życzeniach

Zjednoczone, snuł w 1945 roku w swej książce marzenia o nie znanych jeszcze a

niezmierzonych zasobach naturalnych Amazonii. Następnie precyzyjniej już ustalał, że nad dolną Amazonką powstanie najbogatszy spichrz nowoczesnego świata, o

decydującym znaczeniu dla obronności całej półkuli. Jednak, ażeby to bogactwo

powstało, Haskins, z pozorną rzeczowością, polecał swym rodakom rzucić w region amazoński olbrzymie, miliardowe sumy inwestycyjne: rzucić w błoto?

Willard Price, inny wojujący Amerykanin, również przejęty obsesją obrony Ameryki przed zachłannością reszty świata, zapowiadał w 1953 roku bez zajknięcia, że

Amazonia stanie się pępkiem naszego globu, a Amazonka — Rzeką Świata. Na

poparcie swej wiary Price przytaczał androny pisarza Carle-fona Beslsa o powstaniu w przyszłości bezprzykładnej super-suitury nad Amazonką, dalej powoływał się na

zapewnienia na słowo honoru) brazylijskiego generała Gorgasa, że Ama-Eonia

wyprodukuje kiedyś więcej żywności niż cała reszta świata. A chyba szczytem

tromtadracji były brednie innego

oryginała, tym razem z Organizacji Narodów Zjednoczonych, zapowiadającego, że

Amazonia może pomieścić miliard mieszkańców, ni mniej ni więcej: miliard

mieszkańców — co Willard Price za tamtym poważnie powtarzał bez komentarza.

W łonie ONZ, nabitej w pewnych kołach pomysłami i walutą, zrodził się około 1955

roku w następstwie radosnotwórczych nastrojów plan rozpoczęcia wielkiej

przebudowy gospodarczej puszczy amazońskiej w myśl najszlachetniejszych założeń: że Amazonia to obszar niemal bezgraniczny dla milionów szczęśliwych osiedleńców.

Na pierwszy ogień wybrano miścinę Benjamin Constant, gdzie Amazonka wpływa w

granice Brazylii. Tu przybyli międzynarodowi eksperci ONZ-etu do spraw postępu

rolniczego, przywieźli pieniądze, traktory i inną maszynię. Zaczęli rażno żłobić drogi w puszczy, stawiać zdrowotne domy, trzebić puszcze i siać pożyteczne ziarna. Mieli funduszków w bród, więc lokalna ludność im przyklaskiwała, natomiast rząd

brazylijski w Rio mniej radośnie patrzył na poczynania, które poza jego plecami miały na teren jego państwa ściągnąć z całego świata miliony obcych obywateli.

Nie ściągnęły. Rząd brazylijski niepotrzebnie się trwożył. Już najbliższa pora

deszczowa zniweczyła animusz, fundusze i maszyny zapaleńców tudzież gigantyczny projekt. Jeden dyrektor po drugim zaczęli uciekać z Benjamin Constant, przeklinając niewdzięczny klimat i kraj. Ostatni z nich, Australijczyk, zabrał ze sobą wszystkie pozostałe rupiecie i zardzewiałe żelastwo, ażeby rozliczyć się z centralą ONZ-etu — i tak pomysł amazońskiego edenu spalił na panewce.

Ale nie całkowicie, nie wszędzie, nie u wszystkich. Oto Brazylijczyk Eduardo Barros Prado rozpuścił (w 1959 roku) język, kręcąc starą katarynkę o spichrzu ludzkości, o bajecznych zasobach i miejscu dla dwustu milionów mieszkańców. Oto Amerykanin

Peter Matthiesen rozbajdurzył się (w 1962 roku) o oślepiającej przyszłości tej krainy, o najczarowniejszym regionie na powierzchni ziemi. Oto Francuz Yves Manciet (w

1964 roku) ubolewał, że obecnie żyło tu tylko 3 miliony ludzi, a mogło żyć 800

milionów. Nawet ostrożny Szwajcar Frank Arnau, wciągnięty w ogólne upojenie,

zaczął wyobrażać sobie masowe zaludnianie Amazonii osadnikami z Malajów, z

Indonezji, z południowej Japonii i z Chin.

Tylko jeden jedyny z wybitniejszych współczesnych autorów, William Lytle Schurz, Amerykanin bliski Białemu Domowi, nie dał się omamić i w 1962 roku odważnie

przeciwstawił się zachwytom fantastów. W swej książce o Brazylii stwierdził, że Amazonia to nie raj dla białego człowieka, to nie rezerwat dla przyszłej ludzkości, to domena owadów dziś i na daleką przyszłość. Nawet tam, gdzie Amerykanie uparli się kosztem nadmiernych milionów dolarów wtargnąć do puszczy amazońskiej, wyniki

były nikłe, jak na przykład w przereklamowanej kopalni manganu w Amapa.

Ale głos Schurza, jak głos wołającego na pustyni, ginął wśród wrzawy hymnów

pochwalnych i na to nie było rady. Oszołomione Humboldty i Wallace'y, i różne

Haskinsy uparły się, by nam tubalnie słać korzyści, jakie puszcza amazońska miała przynieść ludziom kiedyś, w przyszłości. W przyszłości, kiedyś, ale co teraz, co na razie?

Teraz stałem oto w Mutum Parana na brzegu tej puszczy i wpadałem w szczerzy

zachwyt na widok Morpha menelaus, który właśnie wyprysł z gąszczy i przefrunął

obok. A tuż w pobliżu wścibska tanagra poila moje oko tęczowym upierzeniem.

Niestety poza urzekającym motylem i barwnym ptaszkiem były w tym miejscu

chmary wściekle gryzących komarów i nie wiedziałem, czy się rozkoszować czy

złościć, czy mieć żal do puszczy czy mieć humor szubieniczny. Chyba humor

szubieniczny, bo naszła mnie przekorna myśl, ile spośród tej zgrai dokuczających mi właśnie komarów było zarażonych potomków tego owadziego huncwota, który

spowodował śmierć inżyniera Chlebowskiego?

43. Co na to sumienie świata?

Wśród żądz posiadania, jaka w ostatnich latach szczególnie brutalnie ogarnęła

panujące klasy narodu brazylijskiego, i wśród ich obłądnej gonitwy za *dolce vita* zapadł okrutny wyrok śmierci na Indian Brazylii; wyrok na resztki wszystkich

niezależnych dotąd indiańskich szczepów. I to śmierci nie w przenośni, nie w

retoryce, lecz śmierci całkiem realnej i niezwłocznej, tej od kul karabinowych i od podrzucanych zarazków.

Brazylia, o obszarze przeszło czterech piątych Europy, przestała być krajem

niezmierzonym, nie miała już białych plam na mapach. Nawet ziemie w

najodleglejszych ustroniach stanów Mato Grosso, Amazonas czy Para i także ziemie terytoriów Rondónii, Acre, Roraima i Amapa — nabrały ceny. W drugiej połowie XX

wieku stały się obiektem gorączkowej wyprzedaży; Brazylijczycy wyzbywali ich się na rzecz kapitału zagranicznego, zwłaszcza ze Stanów Zjednoczonych, Japonii i Włoch (Octaviano Cabral: *Historia de uma regio*, 1963). A sprzedawane ziemie osiągały wyższe ceny w dolarach wtedy, gdy były czyste, nie obciążone obecnością

kłopotliwych Indian. Stąd nieodwołalny, nieludzki wyrok: ziemie należało oczyścić.

Znamienne było pierwsze spotkanie Europejczyków, Hiszpanów, z ludnością tubylczą u ujścia Amazonki. Odkrył rzekę w początkach 1500 roku Vincente Yañez Pinzon.

Zastał tam wielu Indian. Tubylcy przyjaźnie powitali przybyszów zza morza i hojnie obdzielili ich żywnością, zwłaszcza pożądanymi owocami. Niestety Hiszpanie tylko niewiele dni wytrzymali w przyjaźni i wnet gospodarzom kraju odpłacili się czarną niewdzięcznością: przy odjeździe Pinzon zdradziecko napadł na najbliższą wieś i uprowadził trzydziestu Indian do niewoli. Dał wzór na całe wieki.

Portugalczyki, którzy wkrótce przyплыnęli na to wybrzeże, jak wiadomo, postępowali nie lepiej. Od samego zarania swej bolonizacji ludność indiańską uważali za

zwierzynę, którą łowiło

191

się do ciężkich robót na plantacjach. Indianie nie znosili tych robót i szybko

wymierali.

Zrekapitulujmy w jednym krótkim rozdziale wszystkie ważniejsze wiadomości, jakie dotarły do nas z całej historii Indian w Brazylii.

Więc przede wszystkim: było ich w XVI wieku stosunkowo wiele. Dominikanin

Gaspar de Carvajal, kronikarz wyprawy Orellany, dziwił się w połowie XVI wieku

ilości indiańskich wsi nad Amazonką, wsi ciągnących się prawie nieprzerwanym

pasmem przez setki kilometrów.

Gdy kilkadziesiąt lat później Portugalczycy obsadzili ujście Amazonki, powtórzyli kubek w kubek praktyki Pinzona. Najpierw, gdy byli nieliczni, okazywali Indianom przyjaźń; potem następowały łapanki, potem wojny i w końcu wytępienie. Kronikarz Mauricio de Heriarte podawał w 1662 roku, że gdy Portugalczycy zakładali osiedle Para (dzisiejsze miasto Belem), istniało w okolicy sześćset kwitnących wsi indiańskich z wielotysięczną ludnością, ale już po 20 latach pozostało tylko 15 małych wiosek.

Od początku XVII wieku jezuici zakładali nad górną Amazonką i w jej dorzeczu swe misje indiańskie, w których potrafili skupić sto sześćdziesiąt tysięcy Indian w 74

osiedlach — idealne zbiorowisko dla oficjalnych zabijaków portugalskich znad ujścia Amazonki. Oni to w zbrojnych wyprawach łapali tam dziesiątki tysięcy krajowców do niewoli, masakrując wielu innych.

Owe wyprawy na Amazonce, niebywale okrutne, trwały przez kilkadziesiąt lat, zanim Portugalczycy się połapali, że gra nie warta była świecy, bo Indianie ginęli w niewoli jak muchy i, w przeciwieństwie do Murzynów, nie znosili robót na plantacjach.

Zbrojne wyprawy, rzecz prosta, wydały przeraźliwe żniwo: w wielu okolicach nad

Amazonką do nogi wygubiono Indian już w XVII i XVIII wieku, do czego przyczyniły się w wielkiej mierze także zabójcze epidemie ospy, zawleczonej przez ludzi z Europy.

Takie epidemie srogo dziesiątkowały Indian w dorzeczu Amazonki co dwadzieścia, trzydzieści lat.

191

Portugalscy gubernatorzy i koloniści, ze wstydliwie małymi wyjątkami, patrzeli na Indian tylko jak na dzikie zwierzęta leśne. Często odmawiano im duszy ludzkiej, decydującego w tych czasach miernika; zawsze uważano ich za bezrozumne istoty,

niegodne litości, a stworzone do wyzysku przez gente de razao.

Mniej więcej w tym samym okresie XVII wieku, kiedy na północy Brazylii tępiono

Indian amazońskich, to samo działo się na drugim, południowym skrzydle

portugalskich posiadłości. Z Sao Paulo wypadały na zachód watahy bandeirantów, by, łupiąc w Paragwaju i Boliwii indiańskie misje jezuitów, łowić Indian do niewoli, a osiedla obracać w perzynę. Antonio Raposo zasłynął jako najzuchwalszy chwata, bo najwięcej, ponoć wiele tysięcy, przywłókł jeńców. Jest rzeczą charakterystyczną dla dzisiejszych czasów, że owych bandeirantes wciąż w Brazylii podziwia się jako

zasłużonych bohaterów narodowych.

Wyprawy amazońskie i najazdy bandeirantów to — powie kto dla swego uspokojenia

— dawne, odległe czasy konkwistadorów, to kolonialne wieki burzy i naporu, już na dobre przebrzmiały. Nic podobnego. Gorączka kauczukowa trwała do czasów

pierwszej wojny światowej i akurat w pierwszych kilkunastu latach naszego wieku rozgrywały się w puszczy amazońskiej najgorsze bezprawia. Była to trzecia w historii Brazylii wielka faza eksterminacyjnych prześladowań żywiołu indiańskiego.

Z tej masakry Indianin wyszedł do cna zdruzgotany. Gdzie przedtem żyły tysiące, pozostały setki albo dziesiątki istot, gdzie żyły setki, ocalało tylko kilka rozbitych rodzin.

Po ekscesach przeciw Indianom w okresie kauczukowym Brazylia jak gdyby się

ocknęła. Do głosu doszli ludzie o szlachetniejszych zasadach. Candido Rondon,

pomimo utrudnień na każdym kroku, mógł poprzez swą rozgałęzioną Służbę Ochrony

Indian zdziałać wiele dobrego, ukrócić brutalność niejednego Brazylijczyka. Ale zapalne kresy ciągnęły się na wielu tysiącach kilometrów, wrogie parcie zaś było zbyt silne.

A oto doszliśmy do najnowszych czasów. Nie kto inny tylko

198

Brazylijczyk E. B. Prado w swej książce z 1959 roku przytaczał przykłady zbrodni w interiorze Brazylii. Nad rzeką Tapajóz, w zachodnich rejonach stanu Para, w wiele lat po drugiej wojnie światowej, mordowano Indian Corobo i Munduruku.

Wyjątkową nienawiścią do tubylców odznaczało się w tych stronach dwóch

zasiedziały zbieraczy kauczuku, Paxiuba i Timoteo Cearense, którzy strzelali da każdego napotkanego w terenie Indianina i do każdej Indianki. Obydwaj mieli po

kilkadziesiąt ofiar na sumieniu i tym się otwarcie chełpili. A jednak krwawego

procederu nikt im nie ukrócał, żaden agent Służby Ochrony Indian nie wkraczał,

choć wszyscy znali ich zbrodnie, a Timoteo dzięki nim zdobył sobie przydomek Władcy nad Tapajóz.

Inni autorzy, dosłownie: wszyscy autorzy-podróżnicy ostatnich czasów, z przerażającą jednomyślnością notowali akty świadomego zabijania Indian. Najmniejszy, a jakże zrozumiały odruch obrony ze strony krajowców wywoływał u brazylijskich osadników na kresach historyczne krzyki, by wytępić plugastwo — i wytępiano. Ubolewał w swej książce Hernano Ribeiro da Silva, że w XX wieku powtarzały się sceny eksterminacji indiańskich szczepów, zupełnie jak to się działo ongiś, przed wiekami, u wybrzeży Brazylii. A jednocześnie zapewniał pułkownik Fawcett (ów, który później tajemniczo zaginął) o pokojowym i przyjaznym usposobieniu większości Indian brazylijskich, którzy, jeśli sięgali do broni, sięgali z rozpacz, brutalnie prowokowani przez najeźdźców.

Więści prasy całego świata, nadchodzące z Brazylii w ostatnich już nie latach, lecz miesiącach, wskazywały na to, że roz-pasała tam się czwarta, i zapewne ostatnia faza wzmożonego terroru wobec Indian. Ostatni akt tragedii. Pozostałym resztkom

szczepów pięknej i wartościowej rasy pisano zagładę.

Więc międzynarodowa prasa donosiła w latach 1967 i 1968 o powszechnym ludobójstwie nad Amazonką, o świadomym zarażaniu Indian ospą i zatrucaniu arsenikiem, o systematycznej ich eksterminacji „na miarę narodowej tragedii Brazylii”. Według informacji tejże prasy wymordowano w ostatniej dobie

194

70 tysięcy brazylijskich Indian, przeważnie przy użyciu broni maszynowej i granatów, zrzuconych z samolotów.

New York Times i setki innych gazet, informując o tych wypadkach, często

wymieniały Mato Grosso, gdzie dotychczas żyło najwięcej niezależnych Indian, i gdzie na przykład jeden plantator, niejaki Antonio Mascarenhas, potrafił wytępić do nogi przy pomocy swych zbirów cały sąsiedni szczep. Podobnych plantatorów było w

Brazylii mnóstwo i nikt nie pociągał ich do odpowiedzialności.

Ale koszmarna groteska, trudna do uwierzenia dla przeciętnego Europejczyka, tkwiła w tym, że obecnie głównymi zabójcami Indian byli ludzie zobowiązani do ich obrony, mianowicie urzędnicy Służby Ochrony Indian. Pułkownik Luis Vi-nhas Neves,

dyrektor Służby Ochrony Indian, oficer lotnictwa — podawał dziennik New York

Times — przez dwa lata bezkarnie kierował wyprawami eksterminacyjnymi, zanim



sprawa urosła do takiego skandalu, że musiał zaniechać tej akcji.

Gdy chryja nabrała rozgłosu także poza granicami kraju i weszła na łamy prasy

międzynarodowej, generał Albuquerque Lima, minister spraw wewnętrznych Brazylii, uznał za wskazane, by wdrożyć śledztwo. Ponoć zebrano tysiące raportów i zeznań w dwudziestu tęgich tomach o dwucetnarowej wadze. Ale — jak to zwykle tu bywało —

awantura musiała rozejść się po kościach. Z wielkiej chmury nie będzie nawet małego deszczu: pałce w brudnej aferze, jakże by inaczej, maczały wielkie figury, więc wiadomo, jak to się skończy. W lecie 1968 roku już próbowano zniszczyć cały materiał

dochodzeniowy pałac akta.

Zresztą nie w tym sęk. Chodziło o to, że olbrzymie, nie spieniężone dotychczas

obszary puszczy znajdowały chętnych nabywców za granicą. A ponieważ na tych

obszarach buszowali niewygodni Indianie, więc należało ich usunąć. Stąd tylko jeden prosty wniosek: das Ausrotten geht weiter — pisał w swej książce Szwajcar Frank Arnau.

Ale co na to sumienie świata? Gdzie Organizacja Narodów Zjednoczonych?

195

. Ostatni azyl Indian nad Xingu

Ma się rozumieć, że w Brazylii nie wszyscy chcieli zagłady Indian i nie wszyscy łakomili się na ich ziemię, a wrogowie Indian tylko w interiorze kraju trzymali prym.

Natomiast sfery kulturalne, zwłaszcza brazylijska inteligencja humanistyczna, broniły mniej lub bardziej stanowczo ludności tubylczej. Anty-indiańscy rasiści, którzy zadomowili się w Brazylii, jak historyk Varnhagen czy antropolog von Ihering, budzili powszechny niesmak i protesty.

Nie od dziś w obronie autochtonów odważnie stawali ludzie dobrej woli; był wśród nich i Goncalves de Magelhaes i Afonso Taundry; ujmowali się za krzywdzonymi co wybitniejsi pisarze brazylijscy, a przede wszystkim walczył o Indian najgorliwszy ich orędownik, bohater narodowy Candido Rondon. Dopóki on żył, można było trzymać

jako tako w karbach zachłanność wrogów, a dopiero po jego śmierci w 1958 roku

rozzuchwiała się wszelka kombinatorska hołota i zaczęła na dobre „oczyszczać”

puszczę.

Do najbliższych współpracowników Rondona, jego gorących zwolenników i uczniów

należeli bracia Vilas Boas. Byli synami postępowego adwokata w Sao Paulo i od

wczesnej młodości wytknęli sobie za życiowy cel obronę Indian. Więc rychło wstąpili w szeregi Servico de Proteccao aos Indios.

Rondon, ceniąc ich zapał i zdolność obcowania z prostymi ludźmi, powierzył im w roku 1944 kierownictwo pionierskiej wyprawy „Roncador-Xingu”, mającej zbadać mało dotychczas znane okolice nad górnym Xingu. Zbadali, pozyskali zaufanie i

przyjaźń tamtejszych Indian, zwłaszcza szczepów Calapalo i Camaiura. Nad górnym Xingu, z dala (dotychczas) od chciwych grabieżców, zachował się ostatni w Brazylii wielki matecznik pierwotnych szczepów, żyjących tu tak samo jak w najdawniejszych czasach. Owych szczepów pozostało w tych stronach stosunkowo wiele, kilkanaście.

Bracia Vilas Boas objęli nad nimi opiekę w ramach Servico

i nieśli im pełną poświęcenia pomoc. A im dłużej to trwało, tym większą budziło w nich miłość do podopiecznych. Kochać owe proste, dziecięce natury stawało się ich pasją, całkowitym zaparciem się siebie, ich cichym szalem ofiarności. Bracia z biegiem czasu zaczęli rozumieć, że tylko od ich energii i ofiarności będzie zależało dalsze istnienie tych Indian. Więc dobywali sił i byli ofiarni.

Po śmierci Rondona nastąpiły dla nich i dla szczepów trudne czasy. Wezbrały wilcze apetyty ciemnych typów; przeciwnicy nabrali tupetu i coraz zuchwalej nasyłali

przeciw niewygodnym wioskom samoloty z karabinami maszynowymi i napalmem.

Także korupcja i zdrada wdarły się nagminnie w szeregi Służby Ochrony Indian.

Sprzedawano cynicznie ludzi i ich ziemię.

Rejon górnego Xingu leżał z dala od centr kombinatorów, na północnym krańcu stanu Mato Grosso. Ta ziemia Indian nikomu nie była zdatna, żadnych minerałów w niej nie znaleziono, a jednak wpływowi aferzyści w stolicy Cuiaba także i na nią ostrzyli sobie chciwe zęby. Złowieszczą pętlą zaciskała się coraz bardziej dokoła losu Indian.

Wtedy rozpacz podsunęła braciom Vilas Boas myśl utworzenia dla pozostałych przy życiu szczepów jakiejś ostatniej deski ratunku, jakiegoś sanktuarium nad górnym Xingu, umysł uzyskał aprobatę i prezydent Brazylii Janio (Jiilufun) dekretem,

podpisanym w 1961 roku, utworzył Park Narodowy Xingu na wieczną ojczyznę

Indian, przebywających na tym obszarze. Nie pierwszy to raz przyznano brazylijskim Indianom prawo do wiecznej ojczyzny na ziemi, na której przebywali, ale tym razem sprawa nabrała bardziej odświętnej mocy, stała się ponoć honorem całego narodu

brazylijskiego. Qui vivra, verra.

Park Narodowy Xingu leżał w samym centrum Brazylii, na pograniczu stanów Mato Grosso i Pars i obejmował 22 000 kilometrów kwadratowych, czyli czterechsetną część całej Brazylii. Wydawało to się mało, jak na wieczną ojczyznę pra-mieszkańców tej ziemi, a jednak wiele: żyło w Parku w obecnej chwili zaledwie tysiąc dwustu Indian, należących do czternastu szczepów.

Nad bezpieczeństwem i zdrowiem tej gromady czuwało, z iście ojcowską miłością, dwóch czujnych, pełnych pasji, niezawodnych przyjaciół czerwonego człowieka, Orlando Viias Boas, kierownik Parku, i jego młodszy brat Claudio. Pół tysiąca kilometrów bezdroży oddzielało Park od najbliższego miasteczka, lecz dwa razy w tygodniu przylatywał z cywilizacji samolot wojskowy FAB, przywożąc artykuły pierwszej potrzeby, a zwłaszcza lekarstwa. Wojskowe lotnictwo (w odróżnieniu od pułkownika Nevesa) zawsze otaczało Indian troskliwą opieką i Orlando Vilas Boas nie skąpił lotnikom najgorętszych słów uznania.

Mówił o nich także i w ów dzień marcowy 1967 roku, gdy go odwiedziłem w jego okresowej siedzibie w Rio de Janeiro. Okresowej, gdyż Orlando co roku opuszczał Park na kilka miesięcy, zazwyczaj na czas od listopada do marca, by osobiście użerać się z centralnymi władzami o byt swych Indian.

Był to człowiek słusznej postawy i raczej tęgi, o zaroście na twarzy, a oczach żywych i dobrodusznych. Dziennikarz Carlos Azevedo podkreślał jako znamienne trzy jego cechy: humor, bystrość, wytrwałość charakteru. Takim w istocie go poznałem.

Przywitał mnie uprzejmie, jednak z chłodem; on nieufnie witał każdego intruza, który chciał dostać się do jego obszaru nad Xingu. Ale miałem w ręku nieodparte argumenty: pokazałem mu zaraz na wstępie moje książki w językach angielskim i niemieckim, z ilustracjami Indian, z którymi spotykałem się w mych podróżach — i książki podziały. Orlando natychmiast odtajał i uznał mnie za kogoś w rodzaju bratniej dżiszy. Więc chętnie wyraził zgodę na mój przylot do Parku, tylko prosił o odroczenie odwiedzin o jakieś dwa miesiące, do maja, kiedy ustaną deszcze i można będzie swobodnie poruszać się w terenie. W dalszej serdecznej rozmowie zapytałem się, jakie najważniejsze problemy stały przed nim.

— Z całej centralnej Brazylii ściągnąć do Parku wszystkich zagrożonych Indian, nad którymi zawisło widmo zagłady z rąk

wrogich sąsiadów białych! — oświadczył Orlando Vilas Boas. — Już uratowaliśmy resztki szczepu Caiabi, dając im w Parku bezpieczne siedliska...

— Czy w Parku Indianie żyją na zupełnej swobodzie, niczym nie krępowanej?

—• Absolutnie niczym, tylko muszą pogodzić się z zasadą pokojowego współżycia z innymi szczepami. Gorliwie zachęcamy Indian do pielęgnowania dotychczasowych

obyczajów. Mają żyć tak jak dawniej. I żyją jak dawniej; łowią ryby w Xingii...

—! A zdrowotność?

— Większość naszych Indian i szczepów w Parku przeszła szczęśliwie przez krytyczną barierę ospy, która do niedawna tak dziesiątkowała wszystkie szczepy. Mając dobrze zaopatrzone apteki na obydwóch placówkach Parku, staramy się zwalczać w zarodku każdą chorobę czy epidemię. Rośnie zaufanie Indian do nowoczesnych lekarstw. W

Parku Narodowym dzieci już nie umierają tak jak dawniej...

— Czy uda się ściągnąć do Parku wszystkich brazylijskich Indian, pozostałych przy życiu, a będących w rozproszeniu?

Pytanie pokryło chmurą twarz Orlanda:

— Nie. Nie zdążymy ściągnąć wszystkich. Taka migracja, technicznie dość trudna, nie tylko od nas zależy. Wielu obszarników uważa, że jest prostszy sposób pozbycia się Indian: ołowiem. Ale robimy, co się da...

— Czy istnieją dla Indian w Parku jakieś plany na dalszą przyszłość?

— Istnieją: powolne i wyrozumiałe, a bardzo delikatne wdrażanie ich na ścieżkę — jak to się mówi — cywilizacji, wdrażanie rozciągnięte na dziesiątki lat...

— Na dziesiątki lat? A czy kombinatorzy w Cuiabie nie będą w tym czasie przypuszczali ataku na ziemie Parku Narodowego?

— Deus ąizer — jak Bóg zechce! Będziemy się opierali. Mamy zęby i pazury.

Stawimy opór. Będziemy walczyli! Deus quizer!

Możliwość zagrożenia samego Parku, widocznie rzecz niewykluczona, wręcz

prawdopodobna — rzuciła cień i owiała naszą rozmowę melancholią. Ażeby złagodzić nastrój, uderzyłem w pogodniejszy ton: chciałem usłyszeć coś miłego o ludziach

Parku, jakiś weselszy epizod albo historię z łezką.

— Z łezką? — uśmiechnął się Orlando. — Mam taką. Proszę. Królowie belgijscy mieli sentyment do Indian i do Rondona

jako obrońcy krajowców. W 1922 roku król Albert serdecznie ścisnął dłoń Rondona, a w 1964 inny monarcha belgijski, były król Leopold, (ten od niezbyt chlubnej

kolaboracji z hitlerowcami w okresie drugiej wojny światowej) przybył na pewien czas do Parku nad Xingu. Chcąc postępować jak zwykły człowiek, przyjaźnił się z

Indianami. Szczególnie polubił Acanaina, chłopczyka ośmioletniego, i w jego

towarzystwie urządzał codzienne spacerowanie dokoła placówki.

Pewnego poranku król ucieszył się, słysząc w listowiu miły śpiew ptaka sabia, i zwrócił

na niego uwagę małego przyjaciela. Tenże, źle rozumiejąc gest białego człowieka, strzelił z łuku do ptaka i zabił go. Leopold odruchowo gniewnie krzyknął. Acanain ogromnie się przeraził i wybuchnął płaczem. Na to król czule objął go ramionami i, sam zmieszany, również się rozpłakał.

— Oto — kończył z uśmiechem Orlando Vilas Boas swą opowieść — oto historia pełna łez...

Nad Xingu nie poleciałem. Stała temu na przeszkodzie konieczność

przedwczesnego zwinięcia naszych żagli w Brazylii i powrotu do Europy.

Farsa i tragedia dokoła Indianki

Zagadnienie integracji, wejścia Indian na drogę cywilizacji, ich zlania się ze

społeczeństwem białych, o czym napomknął Orlando Vilas Boas w naszej rozmowie —

zaprzętało od kilku pokoleń umysły wielu ludzi i wszystkim nastęrczało huk kłopotów i bólu głowy.

W Ameryce Północnej sławę zdobyła urocza Pokahontas ze szczepu wirginijskich

Algonkinów. Rzewny los młodziutkiej Indianki wszedł do romantycznych dziejów i

legend, wielce popularnych jeszcze do niedawna w społeczeństwie

północnoamerykańskim. Iluż jankesów z dumą mniej lub bardziej otwartą chlubiło

się pochodzeniem od owej dzielnej a tragicznej ślicznoty, córki naczelnego wodza południowych Algonkinów?

Żyła w początkach XVII wieku, w okresie przybycia pierwszych Anglików na ziemię amerykańską. Młodziutka, ale rezolutna, zakochała się w ich dowódcy, zuchwałym

Johnie Smithie, broniła jego życia, osłaniała go przed słuszną zemstą swych rodaków i niejedną raz wybawiała Anglików od zguby. Ale nieco później przez nich łajdacko porwana do niewoli, przez Smitha opuszczona, przez swoich odtrącona, nie mając

innego ratunku, zgodziła się wyjść za mąż za młodego angielskiego szlachcica, Johna Rolfe'a. Wyjechała z nim do Anglii, tu wdziękiem i ogładą podbiła serca londyńskiego towarzystwa, zachwyciła dwór królewski, ale obcy klimat i obcość kraju tudzież ludzi zadały jej zabójczy cios. W Londynie powiła synka Tomasza i wkrótce umarła na

gruźlicę i tęsknotę za lasami ojczystymi, mając dwadzieścia jeden lat.

Szlachetna, tragiczna bohaterka uosabiała wszystko co uchodziło za wzniósłe i

nieszczęsne w czerwonej ruitlc. Pokuhontai stała się cklwym symbolem nie tylko indiańskich zaltit, ulu i symbolem tragedii Indianki, wchodzącej na drog<; buile^o człowieka. Taką też postać przyswoiła sobie zarówno historia, jak i legenda.

W latach pięćdziesiątych naszego wieku brazylijscy dziennikarze w Rio de Janeiro pozazdrościli Ameryce Północnej historii urodzivej Pokahontas i postanowili mieć swoją własną, brazylijską heroinę. Nadspodziewanie, choć okrutnie opacznie, im się udało i wzniecił kapitalną superhecę, przechodzącą wszelkie oczekiwania. Przez całe miesiące dostarczali stolicy Rio sensację, jakiej nie było tu od wielu lat. Coroczne karnawałowe szaleństwa okazywały się dziecinadą wobec zgiełku i uniesień, jakie owładnęły metropolią. Zwariowana potęga rozhukanej prasy!

301

Działo się to w ostatnich latach życia Rondona, który wszelkimi sposobami usiłował

zapobiec awanturze, ale prasa okazała się silniejsza niż autorytet sędziwego

marszałka. Prasa chciała rewelacji, ofiary, frenezji i kapitalnie dopięła swego.

Pewien urzędnik Servico de Proteccao aos Indios zakochał się w piętnastoletniej Indiance, zupełnie prymitywnej dziewczusce jednego ze szczepów nad rzeką Araguaia, i chcąc się z nią ożenić i ją wykształcić, postanowił wybrankę zabrać ze sobą do Rio de Janeiro. Wszelkie przestrogi jego położonych na nic się nie zdały, gdyż sprawą zajęła się prasa stolicy, żadna sensacji. Prasa uderzyła we wszystkie dzwony i

przeprowadziła swoje: narzeczonego i bogdanę, i kilku jej krewnych ściągnięto

samolotem do Rio.

Tu prasa, niezawodnie chcąc dopędzić jankesów na polu ich romantycznej

Pokahontas, rozdmuchała sprawę skromnego podlotka do absurdalnych rozmiarów.

Zagrały ambicje, rozhulały się pretensje, wytoczono tyrawy patriotyzmu: należało naprawić zaniedbania historii.

Gdy zatem prasa wznieciła żar, sfery towarzyskie stolicy się rozpały. Poczciwa Diacui, jak dziewczusce było na imię, urosła do gwiazdy na miarę kontynentalną.

Uznana za symbol czerwonej rasy, stała się przedmiotem ogólnego uwielbienia, była wyrazem zbratania się ras, ażeby zaś zmazać dawne krzywdy, wyrządzone Indianom, zasypywano dziewczynę mnóstwem różnych darów. Więc zewsząd dostawała

jedwabne koszulki, suknie, futra, buciki, klejnoty. Zapraszano ją do teatru, do salonów, do pałaców, do gabinetów kosmetycznych. Sztafirowano ją jak na pokaz w cyrku.

Rio wyżywało się w dziwactwach filantropii, a znudzony, highti-life miał swą zabawę, prześcigając się w autoreklamie dobroczynności. Imię sławnej z dnia na dzień

dziewuszki rodziło intratne hasła. Fabryki zarabiałały nieźle, wypuszczając na rynek na cześć Indianki mydło Diacui, puder Diacui, jedwab Diacui i wiele innych podobnych specjałów. Powstał nawet taniec Diacui.

A sama dziewczyna? W tym wrogo obcym świecie, który za-

203

głaszał ją grozą niepojętych wrzasków i zgrzytów, którego języka prawie że nie znała, a którego ulice, pełne pędzących demonów, przerażały ją na śmierć — w tym

straszonym świecie dziewczyna ruszała się jak odrętwiała i bezwładna. Tam w Mato Grosso była rezolutnym podlotkiem, umiała śmiać się i hasać, tu była półmartwa.

Otępienie jej doszło do tego stopnia, że czasem ledwo poznawała swego narzeczonego.

A orgia uniesień włoskich wielbicieli i wielbicielek trwała i nie ustawała egzaltacja ich dobroczynności. Bawiono się zafukaną dziewczyną jak małpką, która przybrała kształt człowieka. Prasa zaś nie próżnowała, pasjonując społeczeństwo stolicy co rusz nową sensacją dokoła Indianki.

Nastąpił ślub, a kilka miesięcy później Diacui urodziła chłopczyka: nowy wybuch entuzjazmu w kołach towarzystwa i w prasie; huczliwa radość, że oto połączenie

dwóch ras dało wspaniały owoc.

W tydzień później Diacui umarła. Dostała gorączki poporodowej. Według oficjalnego komunikatu padła ofiarą swej indiańskiej rodziny, która przybyła z Araguai i rzekomo nie chciała dopuścić lekarzy do chorej, sama kurując ją magicznymi

sztuczkami. Natomiast bliżej prawdy był fakt, że Indianka legła na marach w wyniku rozstroju psychicznego. Zamęczyła ją swą brutalnością, bezlitosną adoracją

rozhisteryzowana elita towarzyska w Rio.

Więc zamiar stworzenia brazylijskiej Pokahontas spełznął na niczym. Wynikła z tego tylko farsa i tragedia.

Pewien europejski świadek tych wydarzeń wyraził się wtedy, że „prawdziwi brutale i dzicy nie grasowali w puszczy”.

#### 48. Złowróźbna propozycja w Belem

Gdy w maju 1967 przybyliśmy do Belem, krążyły tam u ujścia Amazonki alarmujące

wieści o prześladowaniu Indian w niektórych częściach interioru. Jak można było przypuszczać

203

z napływających nowin, akcja „oczyszczania” terenów i likwidowania niewygodnych tubylców była w pełnym toku, Odważniejsi spośród misjonarzy nie ukrywali swego

oburzenia i występowali z protestami. Ale tych odważnych było bardzo mało a ich protesty — bezskuteczne, jak na przykład w okolicach Ma-raba nad rzeką Toeantins, gdzie działały się wyjątkowo przykre gwałty, a brudne palce mieszały w tym interesie już bez ogródek agenci Servico de Protecção aos Indios.

W Belem poznaliśmy szereg ciekawych ludzi, szczególnie z kół słynnego Muzeum

Goeldi, a poza tym zetknęliśmy się z trojgiem osób, które pozostaną nam w trwałej pamięci. Byli to: młody inżynier architekt Bogdan Bujnowski i jego matka, obydwójce pełni szlachetnego serca i wylanej gościnności — oraz mniej wylany i nie wiadomo, czy szlachetny, Jose Marinho Te-les Filho. Za to miał ów Jose nieodgadniony wyraz twarzy tudzież coś grząskiego w skrytych oczach. Był zastępcą kierownika

inspektoratu Służby Ochrony Indian w Para, a zwróciłem się do niego, bo po drodze do Rio de Janeiro zamierzaliśmy zatrzymać się nad rzeką Araguaia i poznać Indian Karaża.

Teles Filho zachowywał się dziwnie. Nie mógł sprzeciwić się naszym odwiedzinom u Karażów, bo ich wioska Santa Isabel była dostępna dla wszystkich turystów, ale gdy przeglądał ilustracje moich książek o Kanadzie i o Ukajali, gdzie wiele było o

Indianach, zaczął z lekka marszczyć czoło i zdradzać niezadowolenie. Starał się nie pokazywać swych uczuć, ale jednak coś z niego wyciekało: podejrzany wydał mu się podróżnik, który szwendał się w tych czasach po Brazylii, interesował się Indianami i pisał o nich książki.

W ciągu dalszej rozmowy oschła twarz inspektora jak gdyby jeszcze bardziej chłodem się zaciągnęła,



a w nim samym jakby wezbrała wroga czujność. Toteż niepomniernie się zdziwiłem, gdy następnego dnia, kiedy powtórnie do niego przybyłem, on z

uśmiechem, który miał być zachęcający, zaproponował mi niezwykłą T7&C.7:.

żebyśmy, Zygmunt Pńiewski i ja, wzięli udział w trzytygodniowej wyprawie, w którą w najbliższych dniach

204

wyruszy dwóch urzędników Służby Ochrony Indian, płynąc na motorówce do Indian Cayapo nad środkowym Xingu.

Zapachniało piękną przygodą.

Może Teles Filho nie żywił mętnych zamiarów, może pod maską twardej skorupy

tkwiło miękkie ziarno, ale wolałem nie kusić losu, nie wywoływać wilka z lasu:

przecież w tym okresie w interiorze Brazylii panował zbyt szpetny klimat, w którym krępujących facetów likwidowano na krótkim toporzysku. Na motorówce na Xingu

łatwo było o naturalną kntustioft,1.

Dokuczliwa myśl wprawiła mnie w wisielczy humor.

— Nie, dziękuję: to zanadto niebezpieczni! — 7.aśminł< ni się zaczepnie w oczy inspektora.

— Dlaczego niebezpieczne? — zdziwił się.

— Tam jeszcze padają deszcze i można dostać katuru... — parsknąłem.

hl. U Indian Karaża

Wykonując pierwotny zamiar, w drodze do Rio de Janeiro wylądowaliśmy w Santa

Isabel nad! rzeką Araguaia, gdzie na wyspie Banana] żył sławetny i wystawny szczep Karaża. Owa wyspa, utworzona rozwidleniem się rzeki Araguaia, stanowiła nielichy szmat ziemi, była bowiem długa na przeszło trzysta kilometrów, a mierzyła prawie sto

-kilometrów w najszerszym miejscu. Leżała na zachodnim krańcu stanu Goias, mając po drugiej, zachodniej stronie rzeki stan Mato Grosso.

Nie było przesady w nazwaniu Karażów najpopularniejszym w Brazylii szczepem.

Żyjąc nad rzeką, płynącą głęboko w interiorze, a jednak zwiedzaną przez

Brazylijczyków już w siedemnastym wieku, Knrażowie stykali się z białymi ludźmi od wielu pokoleń. Od trzech pokoleń wyzbyli się wojowniczych popędów, a wspólny

stnich przed groźnymi Szawantami, grasującymi nieco dalej na zachód, zbliżył ich jeszcze bardziej do białych przybyszów, liyll pogodnego w zasadzie usposobienia, 205

skorzy do śmiechów i zabaw, rozmiłowani w tańcach i uroczystościach. Mężczyźni

uchodzili za najzagorzalszych wśród Indian strojnisiów, pysznie malujących swe ciała i ozdabiających je barwnymi piórami ptaków, a kobiety za zdolne rzeźbiarki w glinie i wykonawczynie ślicznych garnków. Ciała mieli zdrowe, przystojne i muskularne od wiosłowania i kąpieli, twarze przyjemne i dorodne, u młodzieży zaś, zwłaszcza

dziewcząt, wręcz urodziwe. Utrzymywali się z rybołówstwa, zżyci z jedną z

najpiękniejszych rzek o rozległych plażach i niezwykłym bogactwie ryb — oto

Karażowie.

Oto pupile etnografów, faworyci wszelkich badaczy, globtrot-terów, dziennikarzy, przynęta dla literatów, nieustanny przysmak ekip filmowych i magnes,

nieprawdopodobny magnes dla turystów, atrakcja turystyczna numer pierwszy

Brazylii: by przyciągnąć tysiące turystów ze Stanów Zjednoczonych, prezydent

Juscelino Kubitschek kazał zbudować około roku 1958 w pobliżu Santa Isabel nad

brzegiem Araguaí olbrzymi, supernowoczesny hotel-gigant, przeznaczony na tysiąc turystów z dolarami. Architekt Niemeyer, który projektował kształt hotelu, nie był w dobrej formie: odwalił olbrzymie pudło do cygar na licznych betonowych palach. A na Karażów włożono święty obowiązek odgrywania roli najbardziej wesołych, fotogenicznych i barwnych, więc jednocześnie prymitywnych i nagich Indian w Brazylii.

Tak to szczerp Karażów, zachowując swe dawne obyczaje, więcej: do starych tradycji kombinując nowe atrakcje widowiskowe, wszedł we współczesną Brazylię jako

czynnik nowoczesnej turystyki. Więc nie prześladowany, przeciwnie, specjalnie

uprzywilejowany, a jednak nie uniknął losu wszystkich innych szczerpów w Brazylii: Karażów było coraz mniej. Przed stu laty liczyli ponoć około\* stu tysięcy (Peter Matthiessen), przed sześćdziesięciu laty było ich już tylko dziesięć tysięcy, a mniej więcej od 1930 roku liczba ich pozostała niezmienna, wynosząca co najwyżej dwa

tysiące istot (Hernano Ribeiro da Silva).

Spośród licznych książek, opisujących Karażów, zwłaszcza dwie zasługiwały na

dana także w Polsce w 1936 r.) Anglika Petera Fleminga, uroczego snoba, i książka pod tytułem: „Karaja” Ericha Wust-manna, wydana w 1959 w Niemieckiej Republice Demokratycznej w niezwykle bogatej szacie graficznej. Książka ta zawierała świetne zdjęcia Indian, a szczególnie urzekające reprodukcje kolorowe. Bohaterem książki Wustmanna był kacyk Karazów, według słów autora: „wspaniały wódz zwany Uata-u”, przekupiony przez gościa hojnymi darami Indianin-brylant, Indianin-ideał. Pod

niebiosą wychwalał go przybysz. I słusznie: dzięki pomocy kacyka autor mógł dokonać tych pysznych fotografii.

Po naszym wylądowaniu samolotem w Santa Isabel klapa: miejscowy agent Servico

de Proteccao aos Indios zakazał nam fotografowania Indian w ich wiosce, a

specjalnego pozwolenia ze stolicy Brazylii nie mieliśmy. Wobec tego z Wyspy

przepełniliśmy na teren stanu Mato Grosso i tu zamieszkaliśmy w maleńkiej

mieścinnie Sao Felix, oddalonej zaledwie o kilka kilometrów od Santa Isabel i często odwiedzanej przez Indian. Na tym brzegu zaczęliśmy się na nich jak przydrożni

rozbójnicy.

Przez kilka następnych dni mieszkaliśmy tu w tanim hoteliku i wiedli najśłodsze życie, pełne miłych wrażeń. Już od tygodni przestały nas dręczyć wrzody aklimatyzacyjne.

Mieszkańcy miejsciny (podobno zazwyczaj straszne zabijaki) byli nam przychylni;

słońce i łagodne powietrze wprost wymarzone, widok na rozległą rzekę i jej plażę niezapomniany, a rzeka w istocie rojąca się od ryb. Zapamiętałem łowili je z brzegu na wędkę tutejsi chłopcy.

No i Indianie. Codziennie przyplływało ich kilku na swych kanu, ale tylko mężczyzn, żadnych kobiet. Podobno w Santa Isabel chodzili obnażeni; tu pojawiali się po

obywatelsku, w koszulach, portkach, nawet w zdartych sandałach. Załatwiali drobne sprawunki u brazylijskich kupców i wracali do siebie.

Prawie wszyscy mieli na policzkach koła, wytatuowane lub malowane barwnikiem

genipapo, znak charakterystyczny całego szczepu. Byli przyjaźni, przystępni i

rzeczywiście nieszpetni, a zachowywali się z godnością. Wyprzedzała ich fama, że to nachalni żebracy, ustawicznie wyciągający rękę. Nic podobne-207

go: ci w Sao Felix chętnie dali się fotografować jak sławne gwiazdy, przyzwyczajone do tego od lat. Robiliśmy zdjęcia raczej przygodnie, mało ich krępując, więc zadowalali się zapłatą niewielu cruzeirów, a gdy nic nie dostali czasem, też się nie zrażali. W Sao Felix widocznie czuli się poniekąd nieoficjalnie, prywatnie, tu widowiska z siebie nie robili, toteż nie chodziło im o zapłatę.

W Sao Felix dowiedzieliśmy się od Brazylijczyków bliższych szczegółów o owym kacyku Uata-u, tak gloryfikowanym przez Wustmanna. Okazało się, że właściwie był

to nie lada obwieś i spryciarz, kuty na cztery nogi i niemiłosiernie okpiwający swych Indian.

Ambitny cwaniak znakomicie umiał pozyskać zaufanie Brazyli jeżyków i przypaść im do gustu. Oni, rozbawieni, podziwiali barwność jego indiańskiego fiokowania się i jego tupet, z jakim chłopek-roztropek wygłaszał swe komunały. Prasa robiła mu tęgą reklamę, wężąc widoki lukratywnej turystyki, więc przeróżne dary nie tylko z

Brazylii, ale i ze Stanów Zjednoczonych i nawet z Europy zaczęły spływać jak z rogu obfitości nad Araguaię, by osłodzić życie Karażom. Osładzały tylko jednemu,

kacykowi. Uata-u, wyjątkowy siłacz, trzymający swych ludzi za mordę, lwią część tych zapomóg sobie przywłaszczał, a buntujących się ziomków głuszył prawem pięści.

Trwało to całe lata, Uata-u tyranizował i się bogacił, a Brazylijczycy przez palce patrzeli na jego machlojki, przecież nieobce im także i na własnym podwórku. Ale w końcu przyszła kreska na groźnego wygę: Karażom było już za wiele jego terroru i na rok przed naszym przybyciem z krachem go spławili, wybierając na wodza niejakiego Arutanę.

Oto dzieje kutego na cztery nogi Indianina-zawadiaki, spryciarza, któremu niejeden Brazylijczyk i obcy podróżnik sypał pochwały, ale żaden nie napisał tak pięknie wydanej książki jak Wustmann. Nieprzeciętny wyga upadł tak samo, jak diabli wzięli

— przynajmniej na razie — piękne nadzieje na rozkwit turystyki nad Araguaią:

wspaniały hotel „John Kennedy” (jak go kusząco nazwali brazylijscy marzyciele) stał

wysoko nad rzeką. pusty jak zamek-widmo. Obecnie był sezon, a nikt, tam nie gościł; nic nie ruszało się, gdy codziennie przepływaliśmy obok. Gigant hotel, gigant złuda, przepych w dziczy, absurd obok skromnej, raczej nędznej indiańskiej wioski, która miała go karmić swą egzotyką, studnia utopionych dwunastu milionów dolarów.

Bogaci Brazylijczycy woleli jechać na Riwierę niż do swych Indian, a dla janlkesów atrakcja była wątpliwa i leżała zbyt na uboczu.

My, Zygmunt Pniewski i ja, mieliśmy także spotkanie z osławionym Uata-u, niestety trochę zgrzytliwe. Pewnego przedpołudnia wałęsając się nad! brzegiem Araguai w Sao Felix, ujrzeliśmy przepływającą łódkę z dwoma Indianami. Oni, widząc nas z

aparatami fotograficznymi na szyi, powitali nas przyjemnym okrzykiem i zaraz

przyplłynęli do brzegu, pełni ożywionych . uśmiechów, by ich sfotografować. Był to ojciec i wyrostek syn. Nie poznałem ojca, bo nosił na sobie szmatławą koszulę i zwykłe spodnie.

Podobnych Karażów mieliśmy już więcej na błonie, więc po kilku prostych zdjęciach, nie trwających dłużej niż kilkadziesiąt sekund, chcieliśmy im dać pięćset cruzeirów (blisko dwadzieścia centów amerykańskich) i odejść.

Na to przemocą zatrzymał nas ojciec, który znienacka z uśmiechu przeszedł w groźny grymas twarzy.

— Pięć tysięcy! — warknął złowieszczo i zuchwale podsunął mi pod nos wyciągniętą dłoń.

Pięć tysięcy to prawie dwa dolary. — Czy z byka spadłeś? — zawołałem wesoło. Jeszcze wciąż go nie poznałem, bo wyglądał srogo, a na zdjęciach Wustmanna był zawsze

szlachetny i dostojny — i, naiwny, zaproponowałem mu tysiąc cruzeirów. Na to

rozzłoszczony Uata-u, bo on to był, wyrwał Pniewskiemu z ręki rolleiflex, mnie, wkraczającego w to, obezwładnił żelaznym chwytem swej łapy (był piekielnie silny, jucha!) i rzucił aparat synowi, który z łupem uciekł do łodzi. Akcję przeprowadzili obydwaj z niezwykłą sprawnością, jak zawodowi gangsterzy z amerykańskich filmów.

209

Na szczęście, nasze szamotanie się zauważyli mieszkańcy Sao Felix i niektórzy

przybiegli nad brzeg rzeki, wyraźnie stając po naszej stronie. Uata-u widocznie obawiał się przykrych konsekwencji ewentualnego rozboju, więc warcząc kazał synowi zwrócić nam aparat. Nastąpiło to wśród zażartego pyskowania między

Brazylijczykami a Uata-u, który nieźle władał językiem portugalskim. Kacyk, skoro nie dostał pięciu tysięcy cruzeirów, machnął pogardliwie ręką na jakąkolwiek zapłatę.

I na tym zakończyło się nasze doświadczenie ze słynnym z książek wodzem Karażów.

Mieliśmy z nim po prostu pecha.

A morał tej hecy? Naszej cywilizacji, jak widać, łatwiej udało się przeistoczyć niektórych Indian aniżeli puszcę amazońską. -

\*\_\_\_\_\_

SPIS ROZDZIAŁÓW

ETAP PIERWSZY — RIO DE JANEIRO: WYPĘDZONY Z RAJU

1. Brazylijskie cło..... t
2. Kult kontrastów..... II
3. Chrystus na Corcovado..... 14
4. Parąe Lagę..... 16
5. Pniewski wypędzony z raj..... 18

## ETAP DRUGI — PORTO VELHO: ZBIEGOWISKO DON KISZOTÓW I AL CAPONÓW

6. Szlakiem bandeirantów..... 23
7. Zbikowane miasto Porto Velho..... 29
8. My: ni psem ni wydrą..... 33
9. Słoneczni ludzie i okrutne słońce..... 37

## ETAP TRZECI — KOLEJ MADEIRA-MAMORE: WOJNA Z PUSZCZĄ

10. Ku wojnie między człowiekiem a puszcza ... 43
11. Miła książka Kellea..... 46
12. Pierwszy atak na puszcę — chybiony .... 50
13. Drugi atak i męka Włochów..... 53
14. Zwycięstwo puszczy i męka Amerykanów ... 57
15. Trzeci atak: kto wygrał?..... 61

## ETAP CZWARTY — KOLEJĄ MADEIRA-MAMORE: PODROŻ NIESAMOWITA I ABSURDALNA

16. Raj wyrzutek i awanturników..... 69
17. Diabło romantyczna kolej..... 72
18. Trzech gachów i Metyska..... 75

## ETAP PIĄTY — MUTUM PARANA: DESZCZE I SŁOŃC®

- 18. O przyjaciółach, małpach i węzach..... 81
- 20. Gehenna polskich inżynierów..... 85
- 21. Mroczny deszcz i jasne wspomnienia .... 89
- 22. Owady, sępy i ludzie..... 84
- 23. Zdziorny szczep Karipuna..... 97
- 24. Gubili się w puszczy..... 102
- 25. Konie a sprawa snu..... 106
- 26. Piękno motyli i wdzięk sępów..... 108

## ETAP SZÓSTY — CANDIDO MARIANO DA SILVA RONDON: ŻARLIWY PRZYJACIEL INDIAN

- 27. Rondon, obrońca Indian..... 115
- 28. Wyprawa Rondona i Roosovelta..... 119
- 29. Złoto w Urumaqua ..... 125

## ETAP SIÓDMY — RZEKA GUAPORE: KRAJ OPĘTANY, LUDZIE SZALENI

- .30. Bujność puszczy i nędza ludzi ..... 131
- 31. Gauleiter nad Guapore..... 135
- 32. Chwile szału i hysterii.....\* . 141
- 33. Amazonki..... 145
- 34. Nidoszli uwodziciele księżniczki jaguarowej . . 149
- 35. Guaporf, rzeka niesamowitości..... 152
- 36. O rabunkowej gospodarce..... 157
- 37. Wesołe i smutne zwierzęta..... 160

## ETAP ÓSMY — MACIZA, KOPALNIA CYNY: MOTYLE, WAMPIRY I BOHATERSKI

- 88. Błoga pasja wspomnień ..... 165
- 39. Droga dwustu czterdziestu Morph..... 170
- 40. Czy to bohater? Na pewno, na modłę brazylijską . 175
- 41. Lukrecja Borgia w Mutum Parans..... 179

#### ETAP DZIEWIĄTY — AMAZONIA: NIE POZWÓLMY WYTEPIĆ INDIAN

- 42. Puszczone cugle fantazji..... 185
- 43. Co na to sumienie świata?..... 191
- 44. Ostatni azyl Indian nad Xingu..... 196
- 45. Farsa i tragedia dokoła Indianki ... y^
- 46. Złowróźbna propozycja w Belśm .... f-L iSf)3 "
- 47. U Indian Karaża.....

i>

m